

PETER KRASSA

REINHARD HABECK



ŚWIATŁO
FARAONÓW

NAJWYŻSZE TECHNOLOGIE
I PRĄD ELEKTRYCZNY
W STAROŻYTNYM EGIPCIE



Peter Krassa

Reinhard Habeck

ŚWIATŁO FARAONÓW

**Najwyższe technologie i prąd elektryczny
w starożytnym Egipcie**

przełożyła

Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska

*Niesiemy nowe nie po to,
by mącić umysły,
lecz by je oświecać;
nie po to, by niszczyć naukę,
lecz by ją prawdziwie podbudować.*

Galileusz, 1564-1642

Spis treści

Słowo wstępne

I. Cud z kamienia

II. Zagadka Chefrena

III. Tysiąclecia przed Edisonem

IV. Władcy Synaju

V. Pionierzy, badacze, rabusie

VI. Dendera wzywa

VII. Bóg zstąpił z nieba

VIII. Skrzydlata tarcza słoneczna

IX. Feniks z Heliopolis

X. Testament

XI. Dendera przemawia!

XII. On przyniósł światło

Posłowie

Słowo wstępne

Światło rozjaśniające ciemność

Pomieszczenie, w jakim się znaleźliśmy, zalegały ciemności, które z powodzeniem można by określić mianem „egipskich”. Nikt nie przeczuwał, że za chwilę stanie się coś tak nieprawdopodobnego. Wydarzenia, jakie tu nastąpiły, były dla nas całkowitym zaskoczeniem. Nagle przestrzeń wypełniła się przypominającym błyskawice światłem, które wśród niesamowitych trzasków, niczym ogień św. Elma, układało się w powyginane gałęzie. Następnie między obydwoma końcami dużej szklanej kolby zaczął wic się zniecać wąski ogień, wydając jednocześnie syczący dźwięk, przypominający odgłos jadownego węża. Pomieszczenie zalało się jasnym blaskiem, w którym na kilka sekund widoczne stały się zarysy umieszczonej w laboratorium aparatury.

Jak płonący dywan albo jaskrawo świecąca skóra ładunek elektryczny wypełniał od wewnątrz szklane ścianki gruszkowatego przyrządu. Wszystko dookoła pogrążone było w widmowym, niebieskawym świetle.

Obserwowaliśmy to osobliwe zdarzenie w całkowitym milczeniu, niezdolni do jakiegokolwiek reakcji. Choć nikt z nas nie spodziewał się takiego wyniku eksperymentu, wszelkie nasze przypuszczenia potwierdziły się: korzystanie z energii elektrycznej nie było bynajmniej odkryciem dopiero co minionego stulecia. To nie Duńczyk Hans Christian Oerstedt (1777-1851), nie Anglik Michael Faraday (1791-1867) i nie Amerykanin Thomas Alva Edison (1847-1931) byli pionierami w tej dziedzinie – wiedzę o istnieniu energii elektrycznej i umiejętność jej zastosowania egipcscy kapłani posiadali już wiele tysięcy lat temu. Już oni potrafili uczynić z nocy dzień, rozświetlić ciemne pomieszczenia. I to nie tylko za pomocą prymitywnych pochodni, lamp oliwnych czy naftowych. Stosowane przez nich źródło światła już w tamtych czasach opierało się na – elektryczności.

Hipotezę tę potwierdzają zarówno przekazy plastyczne, jak i pisemne, które dostarczają dowodów na to, iż wysocy słudzy egipskiej świątyni na długo przed naszą erą potrafili wykorzystać istniejące w przyrodzie możliwości. Gdy na naszym kontynencie nie było jeszcze nawet śladów cywilizacji, gdy ogromne połacie Europy leżały pod pokrywą lodu, w kraju nad Nilem rozkwitała wysoka kultura. Czyją to było zasługą, dowiadujemy się od greckiego historyka i dziejopisarza Herodota. Gdy w 440 r. p.n.e. odwiedził on dolinę Nilu, kapłani ówczesnego imperium faraonów opowiedzieli mu o wydarzeniach z zamierzchłej przeszłości swego kraju, kiedy to Egiptem zafundowali bogowie o ludzkiej postaci. Herodot przyjął to ze zdumieniem. O jakich „bogów” mogło chodzić? Jeden z nich cieszył się wyraźnie szczególnymi względami. Nosił imię „Dehuti” albo Tot. Przez starożytnych Greków czczony był jako „Hermes Trismegistos” (po trzykroć wielki Hermes).

Informacje na temat Tota zawarte w przekazach są dość osobliwe, nikt bowiem nie widział go nigdy w jego właściwej postaci. Zawsze występował „zamaskowany”, przyjmując wygląd pawiana lub ibisa. Mimo to spotkał się z falą sympatii i kultu (zgodnie z legendą, niebiańskiego pochodzenia), która w równym stopniu objęła lud i kapłanów.

Tot wyróżniał się wręcz uniwersalnymi umiejętnościami. Współcześni mu widzieli w nim boga mądrości i nauk. Wzniesiona ku jego czci świątynia w Hermopolis co prawda już nie istnieje, podobnie jak i samo miasto, jednakże inne liczne miejsca kultu, które (jak piramidy) przetrwały tysiąclecia, świadczą o szczególnej pozycji tego bóstwa.

Na przykład Dendera.

Jest to świątynia bogini Hathor, budowla nie mająca sobie równych. Potężna, nad powierzchnią pustyni wznosi się zaledwie w dwóch piątach; znacznie większa część budowli znajduje się pod ziemią. Podzielona na trzy kondygnacje, posiada w sumie dwanaście krypt zdobnych w niepowtarzalne płaskorzeźby. W następstwie różnych przykrych okoliczności zwiedzającym udostępniona jest obecnie tylko jedna z nich, ale doprawdy warto ją zobaczyć. I choć samo przebywanie w wąskim i dusznym pomieszczeniu nie jest ani przyjemne, ani wygodne, to jednak znajdujące się tu zabytki – zagadkowe rysunki na ścianach pełne osobliwych wizerunków, a wśród

nich konstrukcje podobne do żarówki, zdające się zawierać wszystko to, co niezbędne dla wytworzenia energii elektrycznej – w pełni rekompensują wszelkie niedogodności. Z wielką wnikliwością zajęliśmy się tą tajemniczą spuścizną, wielokrotnie odwiedzając świątynię bogini Hathor, i dzisiaj jesteśmy głęboko przekonani, że udało nam się natrafić na źródło wiedzy, które to, co niewiarygodne, czyni prawdopodobnym: w murach Dendery rozwikłano tajemnicę elektryczności i znaleziono sposób, by wykorzystać ją dla własnych celów. Jednakże kapłani egipscy byli odkrywcami tej światłodajnej energii w równie małym stopniu jak później Oerstedt, Faraday czy Edison.

Chwała za to należy się bowiem bóstwu imieniem Tot. Jemu, którego geniusz i umiejętności wykorzystania niezwykłych zdolności doprowadziły do odkrycia źródła światła, uważanego przez najwyższych kapłanów za święte i strzeżonego przez tysiąclecia jako wiedza tajemna.

Prąd elektryczny!

O nim, a także o tym, któremu należy się wdzięczność za to odkrycie, chcemy tu opowiedzieć – o bogu Tocie, którego pochodzenie skrywają ciemności. Czy przybył z Atlantydy? Z gwiazd? Czy był człowiekiem – czy pozaziemską istotą?

I. Cud z kamienia

„Naukowe poglądy archeologów nie są dla mnie nietykalną świętością. To, co przez długi czas uznawano za obowiązującą interpretację, wcale nie musi być słuszne także dzisiaj czy jutro!”

Te obrazoburcze słowa, które usłyszeliśmy w czasie naszego ostatniego pobytu w Egipcie, były dla nas ogromnym zaskoczeniem, tym bardziej że padły one z ust cieszącej się uznaniem uczonej, wykładającej gościnnie na Uniwersytecie Kairskim. Graniczyło to niemal z upadkiem Wschodu...

Pani Chirine Akila – bo o niej tu mowa – jest doświadczonym egiptologiem. Mimo podeszłego wieku rok w rok oprowadza swoich podopiecznych po starych świątyniach i ruinach miast, chętnie dzieląc się z nimi swą wiedzą. Rozmowy z obcokrajowcami, chcącymi poznać zabytki starożytnego Egiptu, nie sprawiają jej najmniejszej trudności, albowiem ta energiczna, siedemdziesięcioletnia kobieta włada doskonale niemieckim, angielskim i francuskim. Najbardziej jednak zadziwiła nas jej gotowość do dyskusji na temat wszelkich, choćby najbardziej nedorzecznie brzmiących, spekulacji dotyczących istnienia i powstania kultury egipskiej.

Nie oznacza to bynajmniej, że była skłonna zaakceptować je bez zastrzeżeń. Także i nam zalecała pewną dozę sceptycyzmu wobec fantastycznej hipotezy o rzekomych umiejętnościach jej przodków. Mimo to odbyliśmy z nią wiele gorących dyskusji, zakończonych wreszcie zaskakującym wyznaniem naszej przewodniczki, które spowodowało, iż z żalem rozstawaliśmy się z tą mądrą i tolerancyjną kobietą. Przy pożegnaniu bowiem oświadczyła:

„Ostatnio zadaję sobie wiele pytań i chcę rozmawiać z ludźmi, którzy pomogą mi w ich rozwikłaniu. Będę szukać odpowiedzi..”.

Jednakże w jednej sprawie pani Akila doszła już, jak się zdaje, do dosyć osobliwego przekonania. Chodzi o sposób budowy piramid. Po bardzo żywej dyskusji na ten temat nasza przewodniczka wyjawiała nam swoją opinię. Trzeba przyznać, że byliśmy zaskoczeni, nie spodziewając się tak kontrowersyjnego punktu widzenia. A oto i jej słowa, wypowiedziane pewnym tonem:

„Jeśli o mnie chodzi, żadna z tradycyjnych teorii dotyczących budowy piramid z Gizy nie jest realna. Opisywane przez nie prymitywne metody zafałszowują tylko niewyobrażalną dla nas wiedzę techniczną i umiejętności. Świadczy o tym chociażby niepowodzenie japońskiego eksperymentu z 1978 r..”.

Piramida strajkuje

A co zdarzyło się wtedy, czyli licząc od dzisiaj, sześnaście lat temu?

Otóż w roku 1978 grupa naukowców pod kierunkiem wykładowcy tokijskiego Uniwersytetu Waseda, prof. Sakuji Yoshimury, postawiła sobie za cel dostarczenie dowodów na prawdziwość jednego z „dogmatów” egiptologii, dotyczącego budowy piramid. W oparciu o te założenia przeprowadzony został eksperyment, który wywołał ogromny rezonans i zainteresowanie w świecie.

Oto w Gizie, w pobliżu piramid i osamotnionej postaci tajemniczego sfinksa, owego znanego powszechnie symbolu znad Nilu, brygada tutejszych robotników podjęła prace nad odtworzeniem staroegipskich metod budowy. Obiekt ich wysiłków miał jednak w porównaniu z monumentalnymi wzorcami z dawnej epoki nadzwyczaj skromne wymiary. Zgodnie z projektem, wysokość tej piramidy miała wynosić dwanaście metrów – chodziło zatem o miniaturkę.

Pomiędzy robotnikami przemykali w zaaferowaniu mężczyźni, odróżniający się od spoconych Egipcjan nie tylko melodią języką, ale i wyglądem. Byli to towarzyszący profesorowi archeolodzy i inżynierowie z Dalekiego Wschodu.

Sakuji Yoshimura założył sobie, że wznosząc swój model piramidy, zrekonstruuje metodę budowy stosowaną przez starożytnych Egipcjan. Nie chodziło mu jednak wyłącznie o zaprezentowanie techniki budowy zaakceptowanej powszechnie przez fachowe kręgi egiptologów. Przy tej

okazji prof. Yoshimura chciał wykazać także absurdalność spekulacji współczesnych mu fantastów, zakładających technologiczne umiejętności przodków. Uważał bowiem, iż wie, jak budowano w epoce faraonów, tzn. przy użyciu drągów, lin i kołowrotów – w każdym razie ręcznie!

Japoński uczoney był tak przekonany o sukcesie swego eksperymentu, że bez wahania wyraził zgodę na zademonstrowanie go szerokiej publiczności. Z tego też powodu z ojczyzny profesora przybyli do Egiptu operatorzy jednej ze stacji telewizyjnych, by zarejestrować na taśmie każdą fazę budowy dwunastometrowej piramidy.

Otrzymanie pozwolenia na jej wzniesienie od władz egipskich nie było wcale łatwe, akurat bowiem na punkcie własnej historii sfery rządowe są niezwykle wrażliwe. Urzędnicy kairskiego ministerstwa tak długo i nieufnie studiowali plany budowy, że w końcu dla uzyskania ich zgody trzeba było uciec się aż do interwencji dyplomatycznych.

A jednak nie wszystko przebiegało tak, jak wyobrażali sobie Japończycy. Prace nad tą minibudowlą po prostu nie posuwały się naprzód. W murze zarysowały się szczeliny i chociaż osiągnięto dopiero połowę planowanej wysokości, całą konstrukcję należało natychmiast podeprzeć z wszystkich czterech stron. Groziła bowiem zawaleniem!

Na domiar złego przed zespołem archeologów zaczęły piętrzyć się kolejne problemy. Już samo choćby przetransportowanie kilkutonowych bloków skalnych z pobliskiego kamieniołomu okazało się niemożliwe do zrealizowania. Prymitywne drewniane wózki, przy użyciu których zamierzano przewieźć materiał na plac budowy, nie wytrzymały ciężaru kamieni.

Jeszcze bardziej zaś skompromitowała całe przedsięwzięcie próba obrabiania wszystkich bloków w sposób ręczny. Zakłada się przecież, że tak właśnie postępowali prawdziwi budowniczowie piramid. Niestety i ta metoda również zawiodła. Toteż żeby dotrzymać ustalonego terminu zakończenia eksperymentu, sfrustrowanemu profesorowi z Tokio nie pozostało nic innego, jak posłużyć się współczesnymi mu metodami.

A zatem bloki skalne transportowano teraz na ciężarówkach, a potężne kamienie frezowano na miejscu, dzięki czemu można je było układać piętrowo jedne na drugich, zgodnie z ich kształtem. Ponieważ czas uciekał, postanowiono w końcu wprowadzić do akcji dźwigi, aby pomóc wyczerpanym do ostateczności egipskim robotnikom.

Tego rządowi egipskiemu było już za wiele! Całe to przedstawienie przestało być dlań wiarygodne, w wyniku czego prof. Yoshimura otrzymał zakaz dalszej działalności. Nie ulegało wątpliwości, że w tamtych odległych czasach musiano posługiwać się innymi metodami. Czy takimi, o jakich mówi nam jedno ze starych arabskich źródeł? Czytamy w nim:

„Gdy król budował piramidy, z dalekich kamieniołomów sprowadzano ogromne kamienie. Kładziono je na papirusowe liście, na których napisane były odpowiednie symbole. Następnie każdy z kamieni, uderzony pałeczką, przemierzał w powietrzu odcinek równy strzałowi z łuku. W ten sposób budulec docierał na miejsce, gdzie wznoszono piramidę”.

Czyżby starożytni znali tajemnicę lewitacji – zniesienia praw ciężenia?

Kto ją zbudował?

Powierzchnia jej podstawy ma kształt kwadratu, każdy z boków mierzy 230 m. Licząc od podłoża w górę, piramida przypisywana faraonowi Cheopsowi ma 137 m wysokości. W konstrukcji pierwotnej była ona nawet o 12 m wyższa – jej wysokość wynosiła 140 m.

To obecne obniżenie da się wytłumaczyć w prosty sposób: jak wiele historycznych obiektów w Egipcie i w innych rejonach, również ta, tzw. Wielka Piramida – niewątpliwie najbardziej wystawny pomnik wielkości faraonów – była obiektem licznych rabunków. Profanatorów piramid nęciło przede wszystkim złoto, użyte ze szczególną obfitością do ornamentacji tej budowli. Wydrapywano je więc chciwie z hieroglificznych znaków wrytych w białych granitowych płytach, pokrywających ok. 2,3 mln bloków skalnych od dołu aż po sam czubek piramidy.

Szczególne jednak zainteresowanie wzbudzał swego czasu ów boski symbol, ozdabiający pierwotnie czubek piramidy Cheopsa i posiadający specjalne znaczenie. Była to złota kula o średnicy kilku metrów, służąca kapłanom za piorunochron. Tego rodzaju urządzenia chroniły również inne obiekty kultu. Niestety, także i ten złoty emblemat padł ofiarą chciwości profanatorów piramid.

Aby dostać się do złotego pyłu zawartego w inskrypcjach, rabusie zniszczyli stopniowo wszystkie płyty granitowe, rozbijając je na kawałki. To, co się uchowało, było już tylko „nagim” miejscem kultu epoki, która jeszcze dzisiaj okryta jest zasłoną tajemnicy. Ale mimo bezwzględnej wścieklizny zniszczenia Wielka Piramida pozostaje nadal tym, czym była na początku – budowlą o majestatycznej wielkości.

Co wiemy o tym pomniku, zaliczanym do siedmiu cudów świata? Niestety tylko tyle, ile przekazał nam grecki filozof i historyk Herodot. Przebywając ok. 440 r. p.n.e. w kraju faraonów, spisał wszystko, czego dowiedział się od egipskich kapłanów. Czy jednak przekazano mu pełną prawdę o wiedzy tego kraju?

Można mieć co do tego poważne wątpliwości. Jak bowiem wiadomo, posiadane przez kapłanów tajemne umiejętności były zazdrośnie strzeżone przed obcymi.

Nie jest również pewne, kogo należy uznać za rzeczywistych budowniczych trzech wielkich piramid w Gizie. Nauka akademicka zgodna jest co do trzech faraonów: Cheopsa (Chufu), Chefrena i Mykerinosa. Jeśli chodzi o Cheopsa, egiptolodzy powołują się głównie na Herodota. Według jego relacji, władca ten na czterdzieści lat zakuł swój naród w niewolę i zmusił poddanych do wzniesienia ku jego chwale na terenie Gizy nad Nilem imponującego grobowca. Inni zaś kronikarze przypisują Cheopsowi/Chufu jedynie dwudziestotrzyletni okres panowania. Kto ma rację?

Mimo że faraon Cheops uważany jest powszechnie za twórcę Wielkiej Piramidy, to jednak władca ten nie pozostawił po sobie niczego, co można byłoby uznać za świadectwo wielkich dokonań jego rządów. Również o jego synu Chefrenie nie ma w przekazach jakichkolwiek konstruktywnych informacji. Nie pozostawił potomności żadnych epokowych dzieł, podobnie jak Mykerinos, którego uważa się za twórcę najmniejszej z trzech budowli w Gizie. I choć to właśnie w przypisywanej mu piramidzie znaleziono jego sarkofag, brak jest przekonującego dowodu na to, iż władca ten rzeczywiście kazał wznieść ów monument, a nie „przywłaszczył” go sobie po prostu, jak uczynili to jego obaj poprzednicy. Za bardziej prawdopodobne należy uznać przypuszczenie, że trzy piramidy w Gizie powstały na długo przed objęciem władzy przez Cheopsa, Chefrena i Mykerinosa.

Wiele środowisk ezoterycznych uważa niezmiennie wnętrza tych budowli za miejsca kultu religijnego. Jeden z najbardziej znanych przedstawicieli tych poglądów, Paul Brunton, opowiada w swej książce „Tajemniczy Egipt” (*Geheimnisvolles Ägypten*, Zurych/Stuttgart 1966) o doświadczeniach nocą w piramidzie Cheopsa mistycznych przeżyciach. Jego samotny pobyt w komnacie króla wymagał silnych nerwów, albowiem – jak twierdzi – w czasie spędzonych tam godzin nawiązały z nim kontakt duchy zmarłych kapłanów i wszelkie inne nocne zjawy. Niezależnie od tego, czy akceptuje się twierdzenia Bruntona, czy nie – nadal pozostaje tajemnicą, czemu naprawdę służyły niegdyś owe komnaty i sklepienia. Czy miały one, podobnie jak sama piramida Cheopsa, jakieś szczególne znaczenie?

Na tropie zagadki

Ostatnio w piramidzie Cheopsa japońsko-francuski zespół badaczy, złożony z fizyków i inżynierów, odkrył kolejne puste komory i podziemne sale. Ekipa naukowców, pod kierunkiem znanego nam już uczonego z tokijskiego Uniwersytetu Waseda, prof Sakuji Yoshimury, posłużyła się w swych poszukiwaniach najnowocześniejszymi komputerami, prowadząc dodatkowo pomiary przy użyciu najczulszych radarów.

Dzięki tym elektronicznym urządzeniom badaczom udało się wytropić na zewnątrz piramidy – pod sfinksem – ogromną, dotychczas nie znaną pustą komorę. Odkryto ponadto, że idący z niej podziemny korytarz prowadzi wprost do sanktuarium faraona.

Istnienie dalszych ukrytych pomieszczeń stwierdzono także w pobliżu tzw. „komory grobowej królowych”. Jedna z galerii przebiega w kierunku zachodnim.

Zaskakujące i zupełnie nieoczekiwane przez naukowców wskazówki, sugerujące istnienie połączeń z nieznanymi pomieszczeniami, odkryto w pobliżu „komór próżniowych”, położonych powyżej pomieszczenia określanego jako „grobowiec królewski”. Ponieważ szczeliny przebiegają ze wschodu na zachód, egiptolodzy uważają za możliwe istnienie kolejnego pustego pomieszczenia, znajdującego się – według ich przypuszczeń – we wschodniej części budowli.

Również za ścianami korytarza królowych stwierdzono liczne puste pomieszczenia, których wielkości nie udało się jeszcze określić. Pewne jest jedynie to, że znajduje się wśród nich wypełnione piaskiem wnętrza, kryjące szereg nieznanych przedmiotów i wiodące ku niższym regionom piramidy. Sam piasek zaś, który udało się wydobyć dzięki precyzyjnym wierceniom, a następnie poddać analizie laboratoryjnej, pochodzi bez wątpienia z epoki przedlodowcowej. Wykazuje on znaczną zawartość metali ciężkich. Co zadziwiające, piasek taki znaleziono nie w bezpośredniej bliskości piramidy, lecz sześć kilometrów na południe od niej. Można więc mniemać – zgodnie z raportem profesora – że piasek ów został przesiany.

Również jeśli chodzi o wapień, użyty swego czasu do wyłożenia komory, japońsko-francuska grupa archeologów nie znalazła jego śladów wewnątrz piramidy, lecz tylko poza nią. Niektóre z odkrytych dopiero teraz pomieszczeń są tak ogromne, że nie zdołano jeszcze ustalić ich wymiarów, ponieważ głębokość, na jakiej znajduje się dno, do dziś pozostaje nieznaną.

Kiedy powstała piramida?

Badacze obdarzeni bogatą fantazją twierdzą, że twórcy kultury starożytnego Egiptu byli istotami pozaziemskimi, a Wielka Piramida została rzekomo zbudowana pod ich kierunkiem.

Co prawda nie ma na to dowodów, ale wystarczy dokładniej, niż czyniono to do tej pory, przestudiować podania i legendy Starego Państwa. Istnieje na przykład wśród nich mit o „ogromnych białych ptakach”, które przybyły z nieba, aby króla i określonych wybranych mężów (prawdopodobnie najwyższych kapłanów) zabrać ze sobą w kosmos. Czy w tego rodzaju legendach należy szukać źródła egipskiego kultu słońca, pojawienia się „boga słońca” Ra?

W oksfordzkiej Bodleian Library można znaleźć manuskrypt pisany w języku koptyjskim, znanym wyłącznie grupie pierwotnych chrześcijan egipskich, którzy oparli się nawróceniu na islam. Jego autorem jest Abu'l Hassan Ma'sudi. Twierdzi on, iż zarówno piramida Cheopsa, jak i piramida Chefrena zostały zbudowane już trzysta lat „przed wielkim potopem” (katastrofą, która doprowadziła do zaginięcia Atlantydy) – dokładnie w roku 3537 p.n.e. Zgodnie z przekazem arabskiego historyka Ibrahima ben Ibn Wasuff Szacha, inicjatorem budowy Wielkiej Piramidy miał być przedpotopowy król Surid (lub Saurid). Według jego relacji, król dowiedział się we śnie, że na ziemię spadnie ogromna planeta, a nastąpi to w chwili, „gdy serce lwa osiągnie pierwszą minutę głowy raka”. Ów koszmarny sen skłonił władcę do wzniesienia najstarszego z siedmiu cudów świata i zawarcia w nim zalety mądrości swej epoki. Surid ukazany jest tu jako król mądry i dobry. Wskazówki dotyczące budowy piramidy – jak głosi inna legenda – otrzymał on od bogów.

Czy mit ten jest prawdziwy, nie da się stwierdzić z całą pewnością. Nie jest to też jedyny istniejący przekaz na ten temat. I tak, inny historyk arabski, Abu Zejd el Balkhy, cytuje inskrypcję, zgodnie z którą piramida Cheopsa powstała w czasie, gdy gwiazdozbiór północny znajdował się w znaku Raka, czyli jak głoszą interpretacje – „dwa razy 36.000 lat słonecznych przed hidżrą”. Chodzi tu o ucieczkę proroka Mahometa z Mekki do Medyny w 622 r. p.n.e. Dwa razy 36.000 daje 72.000. To (hipotetyczne) obliczenie oznaczałoby, że Wielka Piramida powstała już ponad 70.000 lat temu...

Istnieje, oczywiście, jeszcze więcej różnorodnych przekazów o powstaniu piramid i ich rzekomych budowniczych. Od znanego arabskiego podróżnika Ibn Battuty (żyjącego w XIV w.) dowiadujemy się na przykład, że prapoczątki tych imponujących budowli wiążą się z postacią Hermesa Trismegistosa. I również w tym przypadku utrzymuje się, że jego plan dojrzał dopiero wtedy, gdy układ gwiazdozbioru wskazywał na nadejście rychłej katastrofy w postaci potopu.

Hermes Trismegistos, pojawiający się w licznych legendach, stał się pojęciem mitologicznym, znanym również pod innymi nazwami. Jego sława ma swój właściwy początek w Egipcie, gdzie czczony był pod imieniem Tot (egip. Dehuti). Spotykamy go ponownie w Biblii – w Starym Testamencie i jego apokryfach – tym razem pod imieniem Henoch. Jak pisze Ibn Battuta, Tot/Hermes/Henoch zdążył jeszcze w porę zgromadzić w piramidach wszystkie „księgi nauki i poznania” i uchronić je od zniszczenia przez wody potopu. W ten oto sposób zdołał ocalić przed zapomnieniem i całkowitą zagładą cenną skarbnicę wiedzy. Istnieją jednak wątpliwości, czy tę Wielką Piramidę wznosił którykolwiek z faraonów.

II. Tajemnica Chefrena

Pod koniec lat sześćdziesiątych wybitny fizyk amerykański i późniejszy laureat Nagrody Nobla dr Luis Alvarez skonstruował przyrząd umożliwiający komputerowe rejestrowanie promieni kosmicznych, a tym samym dokładne prześwietlanie – jak aparatem rentgenowskim – dowolnych przedmiotów. Ideę tego pionierskiego dokonania podsunął mu jego przyjaciel, profesor astronomii William Kingsland, który gorąco namawiał go do wyemitowania w komnacie królewskiej piramidy Cheopsa fal radiowych o długości pięciu metrów. Uczony ów był przekonany, że w ten sposób można byłoby po raz pierwszy stwierdzić także na zewnątrz Wielkiej Piramidy, czy w jej wnętrzu znajdują się jeszcze jakieś inne, dotychczas nie odkryte komory i puste pomieszczenia.

Propozycja przyjaciela zaintrygowała dra Alvaręza, toteż nie zwlekając, przystąpił do pracy nad projektem. Przeprowadzono pierwsze doświadczenia i wreszcie, po długich badaniach, powstał przyrząd nazwany przez jego konstruktora „aparatem iskrowym”. Prof. Kingsland okazał nie mniejszy entuzjazm niż sam wynalazca. To, co stworzył Alvarez, całkowicie odpowiadało jego wyobrażeniom.

Następnym krokiem amerykańskiego fizyka było wypróbowanie aparatu na miejscu. Ogarnięty pasją odkrywcy, udał się zatem wraz z kilkoma asystentami do Egiptu. Po uprzedniej analizie terenu postanowiono umieścić „aparat iskrowy” nie w piramidzie Cheopsa, lecz Chefrena. W niej to właśnie zamierzano wytropić nieznane jeszcze komory.

Co wiadomo nam o Chefrenie? Faraon ten żył ok. 2520 r. p.n.e. i był czwartym władcą 4 dynastii. Przypuszcza się, że właśnie w tej epoce osiągnął swoje apogeum kult boga słońca Ra. Herodot nie ma o Chefrenie nic dobrego do powiedzenia, a wręcz przeciwnie: nazywa go odrażającym tyranem. Ale czy ma rację – trudno to dzisiaj ustalić jednoznacznie.

Stwierdzić jednak można bez wątpienia, że Chefren jeszcze w wiele tysiącleci po swej śmierci sprawiał amerykańskiemu zespołowi badaczy pod kierunkiem dra Luisa Alvaręza niemało kłopotów.

Eksperyment miał miejsce w 1967 r. W tym kosztownym przedsięwzięciu uczestniczyło finansowo aż dwanaście instytucji amerykańskich i egipskich, m.in. Agencja Energii Atomowej z Waszyngtonu, Centralny Zarząd Zabytków Zjednoczonej Republiki Arabskiej oraz Wydział Nauk Przyrodniczych Uniwersytetu Ein Shams w Kairze.

Alvarez oparł swe doświadczenie na założeniu, że promienie kosmiczne, które „bombardują” Ziemię swymi cząsteczkami nieprzerwanie dwadzieścia cztery godziny na dobę, tracą jednak część swej energii przy przenikaniu przez ciała stałe, proporcjonalnie do ich gęstości i ciężaru. Uczony całą swą nadzieję pokładał w aparaturze i stopniu jej wrażliwości. Zamierzał umieścić „aparat iskrowy” w jednej z licznych komór piramidy Chefrena, licząc na to, że precyzyjnie wykaże on przenikające budowlę promienie kosmiczne i jednocześnie odsłoni po raz pierwszy ewentualne puste pomieszczenia. Założenie to opierało się głównie na przypuszczeniu, że cząsteczki kosmiczne, które natrafiają na swej drodze na nieznane dotychczas puste komory, z konieczności częściej docierać będą do „aparatu iskrowego” niż te, które mają do pokonania zwarty blok skalny czy mur.

Wynikające z tego zróżnicowane natężenie promieniowania – komputerowo wymierzalne – wskaże badaczom istnienie tajemnych komór i korytarzy w piramidzie Chefrena.

Jako rzetelny naukowiec Alvarez nie chciał niczego pozostawić przypadkowi. Dlatego też każda cząsteczka promieni miała być uwidoczniona elektronicznie i zarejestrowana na taśmie magnetycznej, po czym taśmy te zamierzano poddać analizie przez wyspecjalizowany komputer w Kairze.

Aby mieć całkowitą pewność, w ramach eksperymentu przewidziano kilkakrotną zmianę miejsca „aparatu iskrowego” w celu precyzyjnego potwierdzenia ewentualnych nowych pomieszczeń.

Następnie, nie powodując żadnych znacznych szkód w murach piramidy, Alvarez chciał wykonać wąskie podkopy w kierunkach wskazanych przez aparat. Zespół miał dodatkowo do dyspozycji nowoczesne przyrządy optyczne, nic złego zatem nie mogło się zdarzyć.

Aparatura Alvaręza okazała się rzeczywiście znakomita. Czyniła widzialnymi dla ludzkiego oka

promienie kosmiczne – tzw. miony – pod postacią pomarańczowych kaskad ognia. Fizyk amerykański umieścił najpierw swój „aparat iskrowy” w środkowej komorze piramidy – podziemnym pomieszczeniu, odkrytym w 1818 r. przez Włocha Giovanniego Belzoniego, oczyszczonym z gruzu bezpośrednio przed przybyciem amerykańsko-egipskiego zespołu badaczy. Nie chcąc opóźnić eksperymentu, pozwolono sobie także na luksus wyposażenia kilku komór i korytarzy piramidy w światło elektryczne, doprowadzone tu z pobliskiego domu Mena. Wydawało się, że wszystko przebiega jak należy. Do września 1968 r. udało się zarejestrować trajektorie około dwóch milionów cząsteczek promieniowania kosmicznego. Odkrycie utajonych dotychczas pomieszczeń stanowiło dla Alvareza i jego współpracowników jedynie kwestię czasu. Gdy w kairskim centrum obliczeniowym po raz pierwszy poddano analizie taśmy magnetyczne, wszyscy uczestnicy eksperymentu liczyli na wspaniały rezultat. Taśmy ukazywały wyraźnie szczegóły z wnętrza piramidy – zakamarki i ściany, zarejestrowane przez „komorę iskrową”.

Potem jednak doszło do zagadkowych wydarzeń i świat nauki zachwiało się w swych posadach...

Nieznana siła?

Udostępnienie opinii publicznej informacji o tych wydarzeniach należy zawdzięczać wyłącznie angielskiemu dziennikarzowi, korespondentowi londyńskiego *Timesa*, Johnowi Tunstallowi. Jednak szum w prasie, do jakiego później doszło, nie był przez niego bynajmniej zamierzony. Tunstall wybrał się do Kairu po prostu na zlecenie swej gazety w celu poznania szczegółów pozornie udanego eksperymentu Alvareza. W tym czasie amerykański noblista opuścił Kair i wraz ze swoim najbliższym współpracownikiem i asystentem, drem Laurenem Yazolino, udał się do Stanów Zjednoczonych, aby tam raz jeszcze poddać taśmy dokładnej analizie przy użyciu najnowocześniejszych urządzeń. Powód tej podróży znali jedynie ludzie Alvareza.

W Kairze zaś doszło do spotkania Johna Tunstalla z pełnomocnikiem Uniwersytetu Ein Shams, dr. Amr Goneidem. Pod nieobecność Amerykanów angielski dziennikarz zapoznał się z wynikami badań, które miały wskazać plan pomieszczeń piramidy.

Goneid przyjął swego gościa przy nowoczesnym komputerze IBM 1130, wokół którego piętrzyły się setki kaset z taśmami magnetycznymi. Tunstall nie spodziewał się niczego więcej poza rzeczowym raportem z przebiegu naukowego programu badawczego – a nieoczekiwanie zetknął się z rewelacyjnym wręcz oświadczeniem Egipcjanina.

„To, do czego tutaj doszło – powiedział dr Goneid – przeczy wszelkim znanym prawom fizyki!”

Czuły nos dziennikarza zwietrzył sensację. Tunstall chciał usłyszeć od dr. Goneida szczegóły – egipski uczonec zaś miał wyraźnie ochotę zrzucić z serca ów ciężar. Ilekroć wkładał do komputera taśmy magnetyczne, narzekał, że w każdym przypadku widoczny jest inny wzór pustych pomieszczeń piramidy. Natomiast wszelkie pozostałe istotne cechy, a mianowicie te, które właściwie powinny powtarzać się na taśmie magnetycznej, poznikały. Oznaczało to, że wszystkie zrobione wcześniej ujęcia, po których Alvarez i jego współpracownicy spodziewali się istotnych dla ich badań szczegółów, zamieniły się w mętlik nic nie znaczących znaków, pozbawionych jakiegokolwiek struktury.

„Tu musiała zadziałać jakaś nieznana siła, która przerasta możliwości ludzkiej wyobraźni”, stwierdził bezradnie dr Goneid. Ucierpiał na tym wszystkie aparaty w instytucie. „Albo geometria piramidy odbiega od wszelkich znanych nam zasad i w konsekwencji prowadzi przy pomiarach do tych dziwnych rezultatów, albo stoimy wobec niewytłumaczalnej zagadki. Wszystko jedno jak to nazwiemy – okultyzmem, klątwą faraonów, czarami czy magią – w piramidzie działa siła, która zdaje się kpić ze wszystkich praw przyrody”.

Tego było już za wiele! John Tunstall opublikował bowiem całą tę wypowiedź, cytując ją słowo w słowo na łamach swej gazety. I jak należało się spodziewać, świat nauki odpowiedział natychmiastowym protestem. Kompetentne czynniki nie kwapiły się do zaakceptowania poglądów dr. Goneida. Ostatecznie chodziło tu nie tylko o interesy naukowe i ekonomiczne, ale i o reputację dr. Alvareza i jego współpracowników. Dlatego też amerykański noblista nie zwlekał z ogłoszeniem dementi publikacji angielskiego dziennikarza i zakwestionowaniem wypowiedzi swego egipskiego partnera. Wszystkie aparaty – twierdzono w kontroświadczeniu – działały bez zarzutu i w żadnym rejonie piramidy Chefrena, badanym przez „aparat iskrowy”, nie znaleziono jakichkolwiek znaków

wskazujących na istnienie nie odkrytych dotychczas komór czy korytarzy.

W sprawie tej zabrał głos również dr Yazolino, asystent prof. Alvareza, zdradzając spragnionym sensacji dziennikarzom swoją własną interpretację wydarzeń. Z niezadowolającymi w pewnym sensie pomiarami użytej do eksperymentu aparatury miano do czynienia tylko wtedy, gdy w „aparacie iskrowym” uległ wyczerpaniu neon. Widoczne wówczas na ekranie „ciemne plamy” nie były w żadnym razie nieznanymi do tej pory pustymi pomieszczeniami, lecz zostały raczej wywołane przykrą awarią urządzenia.

Dopiero po tym wszystkim nastąpiło najmądrzejsze chyba szachowe posunięcie dr. Alvareza. Wyraźnie zirytowany fizyk nie mógł odmówić sobie zaproszenia egipskiego kolegi, dr. Goneida, do współpracy w swoim laboratorium w Berkeley. Podejrzliwej prasie oświadczył zaś, że bliskowschodni naukowiec gościć będzie u niego przez cały rok. Niekorzystną dla siebie wcześniejszą wypowiedź Goneida zlekceważył, świadomie bagatelizując problem: „Gdybym choć przez chwilę podejrzewał dr. Goneida o wypowiedzenie tych absurdalnych słów, jakie są mu przypisywane – oświadczył, przerzucając winę na korespondenta *Timesa*, Tunstalla – to nigdy przecież bym go nie zaprosił do współpracy w moim zespole badawczym”.

Dr Goneid tymczasem zachował się najmądrzej jak mógł w tej sytuacji – milczał. Prawdopodobnie zdał sobie sprawę z jednego: to, czemu być nie wolno, być nie może...

Odkrycia Napoleona

Gdy w 1798 r. Napoleon Bonaparte rozpoczął swą wyprawę wojenną przeciwko kolonii Korony Brytyjskiej, Egiptowi, by wyprzeć z tego kraju brytyjską potęgę kolonialną, nie przeczuwał nawet, jakie wspaniałe „owoce” wpadną mu w ręce. Nie były to co prawda owoce zwycięskiej kampanii wojennej, którymi mógłby się potem szczycić – lecz mimo to świat zawdzięcza mu nieśmiertelne odkrycia, które tej ostoji najwyższej kultury nadały całkowicie nowe oblicze.

Napoleonowi towarzyszył w Egipcie sztab wybranych fachowców; ich pierwotne zadanie sprowadzało się do studiów nad miejscową architekturą i pomiarów jej niepowtarzalnych budowli.

Sam Bonaparte dążył przede wszystkim do pokonania brytyjskich sił zbrojnych, gdy jednak u schyłku kampanii zdał sobie sprawę, że armia wroga ma zbyt dużą przewagę nad jego własną, zaczął oswajać się z myślą o honorowym odwrocie.

Latem 1799 r. oddziały Napoleona zajęły na północnym wybrzeżu Egiptu linię obrony – i w sierpniu doszło do pierwszego ogromnego sukcesu. Jednakże nie na polu bitwy, jak wymarzył sobie francuski wódz, lecz kilka kilometrów od miasta Rosetta w delcie Nilu. Kopiąc rowy do zajęcia pozycji, żołnierze natrafili na ogromną bazaltową płytę, gęsto pokrytą znakami pisma. Otrzymała ona nazwę od miejsca, w którym ją znaleziono, i dziś znana jest jako kamień z Rosetty.

Egiptolodzy bardzo szybko zrozumieli doniosłość tego odkrycia. Górna z trzech grup pisma wyryta była hieroglifami, środkowa pismem demotycznym, podczas gdy dolna składała się z liter greckich (pismo demotyczne jest późną formą egipskich hieroglifów).

Francuskich ekspertów najbardziej jednak ucieszył fakt, że wszystkie trzy rodzaje pisma wyrażały ten sam tekst. Mowa w nim była o postanowieniu kapłanów z Memfis, aby podziękować faraonowi Ptolemeuszowi V za dary złożone przez niego ich świątyni. Zachowany na płycie, udany przekład tekstów egipskich na język grecki oszczędził francuskim badaczom wiele pracy. Nie musieli już z mozołem poszukiwać odpowiedniego klucza, by oddać sens hieroglifów. Dzięki temu kamień z Rosetty stał się czymś w rodzaju słownika, który niezwykle ułatwił egiptologom odczytanie znaków pisma staroegipskiego. Dopiero inskrypcje odkryte w kryptach świątyni w Denerze (różniące się już choćby samym wiekiem od powstałych o wiele później na bazaltowej płycie) stanowiły całkowicie nowe wyzwanie.

Po wstępnej ocenie ekspertów kamień z Rosetty został przetransportowany do Kairu, gdzie Napoleon założył instytut zajmujący się badaniem kultury egipskiej. Trzy kopie bazaltowej płyty powędrowały do Paryża, oryginał zaś otrzymał na przechowanie generał de Menou w Aleksandrii. W 1801 r. nastąpiła bolesna porażka: po pokonaniu Francuzów przez Wielką Brytanię wszystkie zabytki starożytnego Egiptu przeszły w ręce Anglików. Od tego czasu bezcenny z archeologicznego punktu widzenia kamień z Rosetty jest własnością British Museum w Londynie.

W połowie XIX w. francuskiemu egiptologowi Augustowi Mariette'owi dane było natrafić w

katakumbach Dendery (w jednej ze świątyń poświęconych bogini miłości Hathor, położonej 60 km na północ od Luksoru) na całkowicie dotychczas nieznaną płaskorzeźbę. Znajdowały się tam również napisy, których hieroglify niewiele miały wspólnego ze znanymi inskrypcjami na kamieniu z Rosetty. Pochodziły one ze starszej epoki starożytnego Egiptu, której ówczesni egiptolodzy nie potrafili jeszcze dokładnie umiejscowić w czasie. Rozpoczęto prace nad ich rozszyfrowaniem.

Gdy urzędnicy Napoleona I w czasie francuskiej wyprawy wojennej dokonywali systematycznych pomiarów Egiptu, Wielka Piramida w Gizie została wybrana jako punkt wyjściowy dla skonstruowania odpowiedniej siatki trygonometrycznej. Wyniknęły z tego interesujące ustalenia matematyczne:

- Linie przedłużonych przekątnych, poprowadzonych przez kwadrat podstawy, obejmowały dokładnie deltę Nilu.
- Południk przebiegający przez czubek piramidy dzieli deltę na dwie jednakowe części, czego nie można uznać za przypadek.
- Podzielenie obwodu podstawy przez podwójną wysokość piramidy daje w wyniku liczbę 3,1416 – czyli liczbę „ π ”. Oczywiście należy pamiętać, że do wyliczeń tych stosuje się nie obecną miarę wysokości piramidy Cheopsa (137 m), lecz miarę pierwotną, czyli 149 m!
- Równoleżnik 30° szerokości geograficznej, przebiegający dokładnie przez środek Wielkiej Piramidy, oddziela znaczną część mas lądowych ziemi od powierzchni mórz. Czy było to świadomym zamierzeniem konstruktorów piramidy Cheopsa?
- Podzielenie metra piramidy przez liczbę 25 daje w wyniku cal piramidy (2,54 cm), odpowiadający dokładnie angielskiemu calowi.
- Jednostka miary, na jakiej konstruktorzy piramidy oparli swój projekt, stanowi jedną dziesięciomilionową część osi Ziemi. Z kolei 362,242 tych jednostek równa się obwodowi podstawy piramidy; liczba ta jest ponadto równa liczbie dni tropikalnego roku słonecznego.
- Piramida Cheopsa może służyć nawet wyliczeniu odległości Ziemi od Słońca. Wystarczy w tym celu pomnożyć pierwotną wysokość piramidy (149 m) przez miliard.

Piramidy ze sztucznego kamienia?

Dosyć odważną, aczkolwiek interesującą hipotezę głosi archeolog prof. Joseph Davidovits z Uniwersytetu Barry na Florydzie. Opierając się na własnych badaniach, twierdzi on, iż piramidy w Gizie zbudowane zostały nie z naturalnych bloków skalnych (jak dotychczas przyjmowano), lecz z podobnego do betonu sztucznego kamienia.

Davidovits absolutnie nie zgadza się z wyznawanym przez większość egiptologów poglądem, jakoby bloki kamienne potrzebne do wzniesienia grobowców faraonów musiały być transportowane przez niewolników. Uczony ten jest zdania, że ze staroegipskich pism wyczytać można, iż faraon Dżeser, którego uważa się powszechnie za zleceniodawcę budowy pierwszej piramidy, otrzymał swego czasu określone wskazówki „od jednego z bogów”. Ów egipski władca dostał wówczas polecenie, by rozbito i zmieszano ze sobą znajdujące się w pobliżu rodzaje skał, w wyniku czego miał powstać sztuczny budulec piramid, za którym opowiada się prof. Davidovits.

Zagadnienie to warto jest być może bardziej szczegółowej analizy.

Strażnicy piramid

Każdy turysta wkraczający na rozległy teren w Gizie, gdzie skupione są potężne piramidy, staje najpierw w obliczu dzieła sztuki, które niczym kamienna przestroga zdaje się czuwać nad wszystkimi budowlami faraonów. Jest nim sfinks – potężny lew z głową mężczyzny, istota o podwójnej naturze niewiadomego pochodzenia. Bynajmniej nie ma w tym żadnej pomyłki, że od samego początku przypisuje mu się zawsze rodzaj męski, a nie żeński. Albowiem ten staroegipski symbol (określany kiedyś jako „ojciec grozy”) jest rzeczywiście postacią męską. Kamienna postać o

tułowiowi lwa i głowie mężczyzny, strzegąca piramid w Gizie, przypisywana jest IV dynastii (2590-2470 p.n.e.). Przyjmuje się, że wznosił go faraon Chefren. Jednakże rzeczywisty wiek sfinksa wydaje się trudny do ustalenia.

Amerykański zespół archeologów, kierowany przez geologa Roberta M. Schocha z Uniwersytetu w Bostonie, stwierdził w skale, z której wykuty jest sfinks, szkody erozyjne powstałe w wyniku długo utrzymujących się deszczów. Jak wiadomo jednak, za IV dynastii nie było tego rodzaju niekorzystnej pory, a ponadto w materiale budowlanym piramidy Chefrena nie odkryto ani jednej rysy, której powstanie dałoby się sprowadzić do podobnej przyczyny. A zatem Chefren w żadnym razie nie mógł być budowniczym sfinksa. Ten zagadkowy twór o podwójnej naturze musiał powstać już 2500, a nawet 4000 lat wcześniej – czyli około 9000 lat temu.

„Nie wiemy, kto jest autorem sfinksa”, oznajmił amerykański egiptolog John A. West na dorocznym spotkaniu Amerykańskiego Towarzystwa Geologicznego w San Diego (Kalifornia). „Gdybyśmy jednak mogli udowodnić, że tak wcześnie istniała już kultura, odkrycie to miałoby dla historii takie samo znaczenie jak teoria względności Einsteina dla obowiązującej przed nim fizyki”.

III. Tysiąclecia przed Edisonem

Jesienią 1978 r. światowa prasa zamieściła sensacyjną wiadomość. Otóż niemieckim naukowcom z Hildesheim udało się w ramach wystawy poświęconej Mezopotamii udowodnić, że dzikiemu ludowi koczowniczemu Partów znany był już prąd elektryczny. I to przed ponad dwoma tysiącami lat.

Dowodu na to dostarczył eksperyment przeprowadzony z glinianym naczyniem przypominającym wazę o wysokości 14 cm i cylindryczną rurą wykonaną z blachy miedzianej o przekroju 2,6 cm i długości 9,8 cm, której otwór zaklejony był smołą; w środku zaś znajdowała się całkowicie skorodowana żelazna sztabka, umocowana za pomocą asfaltu. Po dodaniu pięcioprocentowego octu winnego urządzenie to wytwarzało prąd o napięciu 0,5 V.

Ten zaskakujący rezultat pozbawiał dotychczasowej rangi pionierskie dokonanie włoskiego anatoma Luigi Galvaniego, któremu przypisywano do tej pory wykrycie elektryczności i wypróbowanie jej praktycznego zastosowania. Wszyscy pamiętamy opisywane w szkolnych podręcznikach doświadczenia Galvaniego, polegające na wywołaniu skurczów mięśnia udowego żaby za pomocą wyładowań dwóch różnych płytek metalowych, a przeprowadzone z powodzeniem około dwieście lat temu. Jednakże już na długo przed Galvanim starożytni Grecy odkryli, że bursztyn, nazywany wówczas „elektronem”, uzyskiwał wskutek intensywnego pocierania zdolność przyciągania, czemu towarzyszyło iskrzenie, dobrze widoczne w ciemnościach. W tamtych czasach zjawisko to przypisywano „siłom magicznym”.

Co jednak mogło sprawić, że akurat Partowie odkryli tajemnicę elektryczności i zastosowali ją praktycznie? Czyż nie uważano powszechnie, że to dzikie plemię dążyło jedynie do podporządkowania sobie innych krajów – czego zresztą w okresie między 250 r. p.n.e. a 226 r. p.n.e. w niemałym stopniu dokonało, ujarzmiając niemal wszystkie państwa między Eufratem a Tygrysem. Jak pogodzić ze sobą tego rodzaju przeciwieństwa?

Partowie to z jednej strony wojowniczy zdobywcy, którym w 53 r. p.n.e. pod Carrhae przy użyciu pancерnej kawalerii udało się doszczętnie zniszczyć niezwyciężoną armię rzymską pod dowództwem Krassusa; którzy mieli pod swoją kontrolą niemal wszystkie odcinki jedwabnego szlaku, co zapewniało im wpływy i bogactwo; którzy w wyniku swej ekspansji z północnych stepów nad Morze Kaspijskie i na obszar iracko-irański stworzyli jedno z najtrwalszych imperiów starożytności – z drugiej zaś wynalazczy lud indoeuropejski, zdolny do wielkich kulturowych dokonań już dwieście pięćdziesiąt lat przed nastaniem ery nowożytnej. Podczas gdy inne plemiona wznosiły swe świątynie i miasta z prymitywnej glinianej cegły, Partowie stosowali już obrabiany kamień, czego dowody znaleźć można w starym partyjskim mieście Hatra w północnym Iraku. Należy przypuszczać, że opanowali oni również w doskonały sposób umiejętność obrabiania metalu.

Wszystko to spowodowało, że historycy i badacze starożytności – co prawda bardzo późno – przestali wreszcie określać lekceważąco Partów jako „zhellenizowanych barbarzyńców”.

Mimo to udany eksperyment z Hildesheim, przeprowadzony w tamtejszym Roemer-Pelizaeus-Museum, który udowodnił, że najświetlejsze umysły partyjskiego ludu – kapłani-magowie – potrafili skonstruować celę elektryczną, nadającą się znakomicie do galwanicznego połączenia – sprawił niemały kłopot zajmującym się tym problemem naukowcom XX w. Stwierdzony tu poziom wiedzy ery przedchrześcijańskiej przeczył wszelkim przyjętym teoriom na temat przebiegu rozwoju kulturowego *homo sapiens*.

W wyżej wspomnianym eksperymencie uczestniczyli: specjalista od baterii galwanicznych, elektromechanik, złotnik i galwanizer, a kierował nim dyrektor muzeum, dr Arne Eggebrecht, przy pomocy swego współpracownika i restauratora zabytków Rolf Schulte. Celem tego wspólnego przedsięwzięcia było pozłożenie wykonanej w srebrze kopii posągu króla partyjskiego miasta Hatra. O niezbędny do wytworzenia prądu kwas postarał się Rolf Schulte, wybierając dostępny bez wątplenia na Wschodzie u progu ery nowożytnej świeżo wyciśnięty sok z winogron.

Wynik był bardzo zachęcający: miedziany cylinder, żelazna sztabka i kwas winny wystarczyły

dla wytworzenia prądu. Aparatura pomiarowa zarejestrowała napięcie o wysokości 0,5 V.

Dr Eggebrecht i jego współpracownik połączyli opisane wyżej źródło prądu z wanną galwanizacyjną, w której umieścili srebrny posążek wielkości pudełka zapalek. Cały proces trwał blisko dwie i pół godziny, po czym statuetkę wyjęto z wanny. Sukces był całkowity – rzeźba uległa pozłoceniu!

Rezultat ten, zaskakujący dla obecnych przy eksperymencie naukowców, zachęcił do wyjaśnienia kwestii, w jaki sposób partyjscy kapłani mogli uzyskiwać cyjanek złota, czyli sól niezbędną w procesie galwanicznego pozłacania. Po burzliwej dyskusji uzgodniono, że pakiecik składający się z różnych warstw skóry, między którymi wyklepywano złoto w cienkie jak pergamin płyty, pozostawiano prawdopodobnie na dłużej, pozwalając mu się „zestarzeć”. Partowie wyciągnęli widocznie wnioski z tego doświadczenia. Zainteresowano się także krystalicznymi złogami znalezionymi w antycznym naczyniu glinianym. Ich analiza mogła w najbliższym czasie dostarczyć dowodu na to, jakiego kwasu używali Partowie przed ponad dwoma tysiącami lat.

Jak należało się jednak spodziewać, głos zabrali również sceptycy, usiłujący zdeprecjonować rangę partyjskiego wynalazku, uważanego za orientalną prabaterię. Określana ona była jako „mystyfikacja mistyczo-magicznych narzędzi”, do której w paradoksalny sposób przyczyniło się „racjonalne myślenie w ściśle przyrodniczych kategoriach”.

Podobne, pełne dystansu stanowisko zaprezentowano także w katalogu z wystawy, gdzie to trzyczęściowe naczynie (składające się z glinianego dzbana, trzpienia i miedzianego cylindra) nazwano „urządzeniem”, a dopatrywanie się w nim baterii uznano za „kontrowersyjne”. Wspomniano jednak o różnych opiniach dotyczących tego dzieła sztuki: „Jedni widzą w nim pierwowzór naszej baterii elektrycznej, która mogła służyć do pozłacania srebrnych naczyń, inni zaś uważają je za narzędzie kultu lub magii, przy czym jedna możliwość zastosowania nie wyklucza drugiej”.

Od 1978 r. iracka bateria Partów zademonstrowana została na całym obszarze niemieckojęzycznym w ramach licznych wystaw poświęconych Mezopotamii. Również i my mieliśmy okazję obejrzeć to niezwykle urządzenie w Austrii. I nie bez dumy możemy powiedzieć, że odkrycie i rozwiązanie zagadki partyjskiego przedmiotu kultu zawdzięczać należy naszemu rodakowi, badaczowi starożytności, któremu udało się dokonać „odkrycia stulecia”.

56 lat temu

Jak to często bywa przed nieoczekiwanym wydarzeniem, wszystko zaczęło się bardzo zwyczajnie. Lato 1936 r. było w Iraku znowu nieznośnie upalne. Wysoka temperatura sprzyjała mnożeniu się rojów moskitów, stanowiących udrękę mieszkańców miast i wsi. Dlatego też specjalna brygada robotników otrzymała zadanie dostarczenia materiału do zasypania jednego z oczek wody, znajdującego się na terenie Bagdadu, w którym odkryto ognisko roznoszących choroby much. W tym celu robotnicy udali się na wzgórza w pobliżu stolicy, znane pod nazwą Khujut Rabu'a.

Podczas prac na niepozornym wzniesieniu brygada natrafiła niespodziewanie na pozostałości ruin. Bezzwłocznie zawiadomiono Muzeum Narodowe w Bagdadzie, które natychmiast podjęło przygotowania, by pójść tym świeżym archeologicznym tropem. Na miejsce znaleziska skierowana została grupa archeologów.

Tej pospiesznie zorganizowanej ekspedycji przewodził pochodzący z Austrii dyrektor bagdadzkiego zarządu zabytków antycznych, Wilhelm König. Nie od rzeczy będzie zatrzymać się tutaj na chwilę i prześledzić pełną przygodę, urozmaiconą drogę życiową tego człowieka.

Urodzony w Wiedniu, początkowo poświęcił się studiom malarskim, a po ich ukończeniu również pracował w tym zawodzie. Szczególna wrażliwość na detal, jaką König zawdzięczał swemu talentowi, miała mu się przydać później jako archeologowi. Młody malarz zajmował się jednak nie tylko sztuką. W kręgu jego zainteresowań znalazły się także zagadnienia z zakresu nauk przyrodniczych i technicznych. Wrodzona ciekawość świata, pragnienie poszerzenia swej wiedzy ciągle pchały Wilhelma ku nowym zadaniom.

Jednakże raczej za sprawą przypadku – jeśli można to tak nazwać – anieżeli celowego działania zbliżył się on pewnego dnia do archeologii. W 1930 r. König wyjechał do Berlina, aby załatwić sprawy związane z opatentowaniem jednego ze swoich technicznych wynalazków. Tam nieoczekiwanie otrzymał propozycję wzięcia udziału w przygotowanej już przez niemieckich archeologów

ekspedycji „Warka”. Celem wyprawy był Orient, gdzie spodziewano się dokonać historycznych odkryć. Pasja poznawcza wyparła wszelkie wątpliwości: König spontanicznie wyraził zgodę na zajęcie miejsca jednego z członków ekspedycji, który musiał nagle zrezygnować z wyjazdu.

Mimo braku doświadczenia ten archeologiczny nowicjusz już wkrótce tak świetnie orientował się we wszystkim, że zdołał zaskarbić sobie wyjątkową sympatię kierownika wyprawy, który otrzymał w grudniu 1930 r. od władz irackich ofertę objęcia stanowiska dyrektora zarządu zabytków w Bagdadzie, natychmiast zaproponował go na swego asystenta. Iraccy gospodarze przyjęli tę kandydaturę bez wahania.

Młody Austriak stał się niezastąpionym współpracownikiem swego szefa. Powierzone mu nowe zadanie uważał za zaszczytne i interesujące, a ponieważ ta niespodziewana misja spotkała go akurat w grudniu 1930 r., była dla ambitnego archeologa jak cudowny prezent gwiazdkowy.

Dzięki temu, iż termin objęcia obowiązków w Irackim Zarządzie Zabytków wyznaczony został dopiero na wrzesień następnego roku, Wilhelm König miał możliwość spędzenia pierwszych ośmiu miesięcy 1931 r. na odpoczynku w Austrii i przygotowania się do przyszłych odpowiedzialnych zadań czekających go na Wschodzie.

W jego życiu zaczął się teraz piękny i bardzo pracowity okres. A w trzy lata później ten młody człowiek był już u szczytu swojej kariery zawodowej: mianowano go następcą jego dotychczasowego szefa, powierzając mu funkcję dyrektora Muzeum Irackiego.

W Bagdadzie przebywał do roku 1939, po czym z powodu choroby wrócił do ojczyzny. Tutaj też napisał książkę *Im verlorenen Paradies – Neun Jahre Irak* („W utraconym raju – Dziewięć lat w Iraku”), w której oczywiście opowiada także o najbardziej spektakularnym odkryciu swego życia – baterii partyjskiej, znajdującej się obecnie w posiadaniu Iraku.

Przyrząd galwaniczny?

Każdy, kto zwiedza wnętrze świątyni bogini Hathor w Denerze, zdumiony jest architektoniczną precyzją i umiejętnościami artystycznymi jej budowniczych. Ze zdziwieniem natychmiast zauważa, z jak metodyczną skrupulatnością rozplanowane są na przykład pomieszczenia tego staroegipskiego miejsca kultu. Każdą, choćby najmniejszą wolną powierzchnię ścian wypełniają płaskorzeźby i hieroglificzne napisy. Wszystko zostało tu maksymalnie wykorzystane.

Podczas zwiedzania imponującej komnaty kolumnowej, a także licznych małych komór, korytarzy i kaplic na poziomie powierzchni ziemi, nad stropem i w „podziemnym świecie” Dendery, zafascynowały nas nie tylko wizerunki monstualnych twórców przywodzących na myśl żarówki, próbowaliśmy też odgadnąć znaczenie nie mniej osobliwej ściennej płaskorzeźby, która od razu zwróciła naszą uwagę.

Egiptolodzy widzieli w niej jedynie amulet; był to pogląd, którego po wnikliwej analizie tego obiektu nie mogliśmy podzielić. W bogato zdobionym półkolu widać dwie wąskie platformy. Na jednej z nich znajduje się misa z owalnym przedmiotem. Z półkola wznoszą się pionowo cztery cienkie filary, ozdobione czterema identycznymi głowami bogini Hathor i połączone za sobą kilkakrotnie przeplecionym powrozem przypominającym drut; prowadzą one do naczynia podobnego do wazy. W jego dolnym końcu przedstawiony jest owoc w przekroju poprzecznym, kojarzący się widzowi z przepołowioną cytryną lub pomarańczą. Zdjęcie tego rzekomego amuletu pokazaliśmy dwóm uznanym egiptologom: w Kairze Egipcjaninowi Abd el Malekowi Ghattasowi i w Wiedniu doc. Helmuthowi Satzingerowi. Nie wiemy, czy uczeni ci znają się – w każdym razie ich wypowiedzi były zgodne. Obaj stwierdzili, iż widniejąca na fotografii płaskorzeźba przedstawia tzw. symbol *menat*. Była to ozdoba rytualna, noszona w starożytnym Egipcie podczas ceremonii kultowych. Jednakże zarówno Ghattas, jak i Satzinger przyznali, że w przypadku owego „amuletu” mogło chodzić także o instrument muzyczny, ponieważ ten osobliwy przedmiot pozostawał w wyraźnym związku z ukazanymi na płaskorzeźbie tancerkami i pieśniarkami. A do tych dwóch interpretacji dodano jeszcze i trzecią, według której płaskorzeźba mogła być odwzorowaniem „przeciwwagi” amuletu, niezbędnej dla noszącej go osoby, ponieważ bez niej ta rytualna ozdoba byłaby zbyt ciężka. Nie jest to jednak przekonujące objaśnienie.

Pomijając już wielkość „amuletu” w porównaniu z rozmiarami siedzącej z boku po prawej stronie bogini, opinie egiptologów tracą na wiarygodności choćby i z tego powodu, że zupełnie

pomijają wyraźnie zaznaczoną funkcję czterech „drułów” (wprowadzonych, w sposób zauważalny dla każdego obserwatora, do czterech naczyń przypominających wazy).

Jesteśmy przekonani, że w przypadku tego rzekomego „amuletu” chodzi o urządzenie galwaniczne – aparaturę wytwarzającą prąd, działającą być może podobnie jak partyjska bateria z Bagdadu. Nasza hipoteza, że widoczny na płaskorzeźbie owoc przedstawia przepołowioną cytrynę lub pomarańczę, jest równie uzasadniona jak porównanie tego przedmiotu z owym irackim dziełem sztuki.

Przypuszczenia te znalazły potwierdzenie w doświadczeniach austriackiego inżyniera elektryka Waltera Garna, który twierdzi, iż mogło tu chodzić o dokładne oddanie procesu elektrolyzy. Oto słowa Garna: „Od dużego elektrycznego ogniwa prowadzą sznury pereł do czterech główek wspartych na podporach przypominających filary (elektrody). Elektrody te połączone są po dwie. Przewody elektryczne prowadzą do tej samej strony ogniwa. Przewodnik taki, izolowany płytkami ceramicznymi, jest stosowany jeszcze dzisiaj, na przykład w grzejnikach. Również *podłączenie* przewodów podobne jest do instalacji zwojowej, stosowanej w technice instalacyjnej”.

Czy ten owalny przedmiot poddawany jest procesowi pozłacania w misie? Czy przekrojony owoc w dolnej części wazy ma dostarczać niezbędnego do galwanizacji kwaśnego płynu?

Pewne punkty oparcia pomocne w rozwikłaniu tej łamigłówki znaleźć można w przekazach historycznych, które dowodzą, iż sztukę galwanizacji znali nie tylko Partowie i egipscy kapłani, lecz także inne kręgi kulturowe.

Ciała świecące

Nietrudno zauważyć, że cała ta wędrówka przez spowitą jeszcze w mroku, odległą historię *homo sapiens* odbywa się jakby po omacku. Toteż niezbędne dla rozjaśnienia ówczesnych wydarzeń wydaje się zapalenie „jakiegoś światła”. Czy jednak musimy posługiwać się w tym celu wyłącznie prymitywnymi źródłami światła – na przykład pochodniami? A może już wtedy, w najwcześniejszych epokach przed erą nowożytną, istniały wysoko rozwinięte kultury, w których znano i umiano wykorzystać źródło energii, jakim jest elektryczność?

Niejednemu czytelnikowi, przywykłemu do stereotypowego myślenia, iż prąd elektryczny jako źródło światła został stwierdzony doświadczalnie dopiero w ubiegłym stuleciu, wszystko to wydać się może zbyt fantastyczne.

Tymczasem stare teksty naszych przodków mówią zupełnie co innego. W *Popol Vuh*, *Księżce Rady* (nazywanej popularnie „biblią Majów”), opisany jest przyrząd stosowany w „podziemnym świetle Xibalba” dla rozświetlania ciemności. Nazywał się on *zaquitac* i wedle opisu miał niezwykle ostre zakończenie. W mroku świecił podobno zielonkawo „jak kość”. Czy należy to uznać za wytwór wybujałej fantazji indiańskiego gawędziarza?

Niekoniecznie. *Zaquitac* wywołuje skojarzenie ze współczesnym źródłem światła, używanym głównie przez badaczy jaskiń. Chodzi tu o *caylume*, niezależną od sieci i niezwykle praktyczną świecącą sztabkę, w której znajdują się dwa rodzaje płynów. Lekkie przechylenie jej powoduje wymieszanie się obu substancji, w wyniku czego w chwilę później sztabka rozbłyska intensywnym zielonkawym światłem, które utrzymuje się przez trzy następne godziny. Czyżby więc urządzenie Majów, *zaquitac*, ta „zielonkawo świecąca kość” *Popol Vuh*, miało stanowić odpowiednik najnowocześniejszej zdobyczy chemii?

Wyraźną aluzję do światła sztucznego znajdujemy także w tekstach starochińskich, w których mowa jest o potężnym „drzewie” zwanym *Po*. Stało ono rzekomo we wschodniej części ziemi, „w świecącej dolinie Yang-ku”. Jego potężnym przeciwieństwem (wręcz chciałoby się powiedzieć: biegunem przeciwnym) było znajdujące się na zachodzie „drzewo” o nazwie *Jo*, które miało swoje stałe miejsce „na górze Yen’se nad rzeką Mong”. Oba pnie (niezależnie od tego, czym były naprawdę) pokrywały – jak podają przekazy – „świecące nocą czerwone kwiaty”.

Sagi hinduskie zaś mówią o „bogach węży”, nazywanych *nagas*. Te tajemnicze istoty rezydowały rzekomo w niedostępnych rejonach Himalajów i posiadały „wiecznie palące się czarodziejskie lampy”, które kryły w swych podziemnych domostwach. Pewien doświadczony podróżnik azjatycki, ojciec Evariste-Regis Luc (1813-1860), podczas jednej z wędrówek po Tybecie widział podobno taką cudowną lampę. Paliła się, w ogóle nie gasnąc.

W prehistorycznych przekazach bardzo często zwraca się uwagę na to, że „światło” było pierwotnie pochodzenia boskiego. Wśród niebiańskiej elity najbardziej znaną postacią wiążącą się ze światłem jest Lucyfer. Ale również sumeryjski „bóg światła” Anunnaki oraz jego hinduski odpowiednik Aditya wyraźnie potrafili obchodzić się z nieznanymi świecącymi ciałami. I wreszcie pozostaje jeszcze Tot – egipski bóg mądrości, o którym teksty na papirusach mówią, że przyniósł ludziom „światło”. Tym uniwersalnym bóstwem zajmiemy się później jeszcze dokładniej.

Powróćmy jednak do ludzi najwcześniejszych epok. Najprawdopodobniej posiadali oni określone źródła światła, których pochodzenie nie zostało do dzisiaj wyjaśnione. Pisarz australijski Ion Idriess opowiada o przeżyciach, jakich dostarczyło mu zetknięcie się z mieszkańcami puszczy z okolic Cieśniny Torresa (opisanymi w książce *Drums of Mer*). Idriess, pozyskawszy sobie zaufanie owych pierwotnych ludzi epoki kamienia, usłyszał od jednego z nich tajemniczą historię o *booyach*. Nazwą *booya* określanymi jest okrągły kamień tkwiący w dużej bambusowej oprawie. Zgodnie z opowieścią, za każdym razem, gdy wódz plemienia wyciągał kamień w stronę nieba, rozpałały się wokół niego niebieskawo-zielone świetlne błyski. Pojawiające się przy tym „zimne światło” było podobno tak jaskrawe, że wydawało się, iż wszyscy obserwatorzy znajdują się w kręgu magicznego blasku.

O innym jeszcze źródle światła mówi grecki satyryk Lukian (120-180 r. p.n.e.) w pełnej przygód relacji z podróży do Syrii. Podczas wizyty w mieście Hieropolis zachwyty Greka wzbudził wspaniale „świecący szlachetny kamień” bogini Hery. Jego rzekoma „magiczna” energia spowijała – zgodnie ze słowami Lukiana – całą świątynię małżonki Zeusa w promienistym świetle.

Również w Antiochii za czasów Justyniana Wielkiego widziano podobno „wiecznie palącą się lampę”.

Natomiast cudowny złoty świecznik płonął, jak twierdzi Pausaniasz (II w. n.e.), w świątyni rzymskiej bogini sztuki i rzemiosła – Minerwy. Tę wspaniałą złotą lampę miał jakoby okazję podziwiać w czasie jednej ze swych podróży.

„Cudowne lampy” nie były, jak się zdaje, w starożytnym Rzymie niczym rzadkim. Teksty historyczne mówią o Numie Pompiliuszu, drugim królu rzymskiej metropolii, który w kopule swej świątyni kazał umieścić „palący się wiecznie” świecznik.

Godna uwagi jest też relacja Augustyna (354-430), Ojca Kościoła, ogłoszonego później świętym, który w swoich dziełach pisał o fascynującej cudownej lampie, świecącej bez przerwy. Ani wiatr, ani woda nie zdołały zgasić tego źródła światła, umieszczonego w świątyni Izdydy.

W 1652 r. jezuita Athanasius Kircher (1601-1680), zajmujący się przyrodą, archeologią i matematyką, opublikował dzieło *Oedipus Aegyptiacus*, w którym mówi m.in. o palących się lampach znalezionych w podziemnych korytarzach miasta Memfis. Jako pobożny mnich Kircher nie należał do fantastów. A jeśli już doszukiwać się w nim takich cech, to trzeba by go raczej nazwać trzeźwym marzycielem, jemu to bowiem zawdzięczamy wynalezienie *Laterna Magica* – poprzedniczki współczesnych aparatów projekcyjnych.

Pozostajmy jeszcze przez chwilę w starożytnym Rzymie. Stamtąd właśnie pochodzi legenda, której treść może również służyć jako „świetlisty przykład”, a ponadto daje się zinterpretować z technicznego punktu widzenia. Główną postacią tego opowiadania jest niejaki Wergiliusz, nazywany w przekazie „czarodziejem”. Oto ta opowieść:

„W środku miasta Rzym stał ogromny pałac, w którego pobliżu czarodziej Wergiliusz wznosił potężną kolumnę z marmuru i za pomocą mostu połączył ją z pałacem. Na kolumnie zaś umieścił dla wygody mieszkańców dużą szklaną lampę, która paliła się bez końca i której nikt w żaden sposób nie potrafił zgasić. Tak więc nocą lampa świeciła nad całym miastem Rzym od jednego jego krańca do drugiego i nie miało ono ani jednej tak wąskiej uliczki, w której nie byłoby tak widno jak przy świetle dwóch palących się pochodni. Ale po drugiej stronie mostu czarodziej postawił na murze potężnego mężczyznę z metalu, który trzymał w rękach duży metalowy łuk i przez cały czas celował w lampę, jakby pragnął ją ugasić.

Przez trzysta lat lampa świeciła ku pożytkowi społeczności, aż kiedyś, gdy kilka mieszczańskich córek przybyło do pałacu, by się w nim zabawić, zauważywszy mężczyznę z metalu, który trzymał łuk i mierzył w lampę, podeszły do niego, a jedna z nich spytała: „Dlaczego nie strzelasz? Na co czekasz?” i uderzyła palcem w łuk, a strzała oderwała się od cięciwy i rozbiła na kawałki lampę zrobioną niegdyś przez Wergiliusza.

Gdy dziewczyna spostrzegła, co uczyniła, bardzo się przestraszyła, lecz metalowy łucznik uciekł w pośpiechu i nikt go już nigdy nie widział”.

Podanie to jest interesujące z powodu dwóch elementów: lampy o nadzwyczajnych rozmiarach, która świeciła nieprzerwanie przez trzysta lat, oraz godnego uwagi uzupełnienia, że lampę chroniła szklana osłona. Interesujący jest także ów „ogromny mężczyzna z metalu”, którego „wielki metalowy łuk” skierowany był groźnie na latarnię. Czy mamy tu do czynienia z utopijną bajką, czy też opowiadanie to oparte jest na prawdziwym zdarzeniu? Trudno dziś tego dociec. Pozostaje więc kwestia wiary, czy weźmiemy tę legendę za prawdziwą, czy też z góry potraktujemy ją za science-fiction-story epoki starożytnej. Tak czy inaczej, jej treść wydaje się jednak warta analizy, dlatego też pragniemy przyjrzeć się jej bliżej.

Założenie, że w starożytnym Rzymie mógł istnieć utalentowany wynalazca (może alchemik), który dzięki swej wiedzy posiadał zdolność tworzenia rzeczy w jego epoce wręcz niewiarygodnych, nie jest wcale tak nieprawdopodobne. Szkło wytwarzano przecież już sześć tysięcy lat temu. Wiemy o tym dzięki kolorowym, szklanym odłamkom znalezionym w najniższych pokładach sumeryjskiego miasta Ur. Również Egipcjanom wiedza na temat jego produkcji nie była obca. Od nich z kolei przejęli ją Fenicjanie, którzy, udoskonalwszy swe umiejętności, niebawem potrafili znakomicie odlewać szkło, formować je i szlifować. Od I w. n.e. dmuchanie szkła było znane i systematycznie rozwijane zarówno w całym Egipcie, jak i w Syrii.

Początki wytwarzania czystego, przejrzystego szkła przypisywane są Fenicjanom. Później masową produkcją wyrobów szklanych zajęli się też Rzymianie. A zatem wykonanie szklanej lampy przez owego rzymskiego „czarodzieja” Wergiliusza wydaje się całkowicie możliwe. To samo odnosi się do umiejętności obróbki metalu. Czy w przypadku „ogromnego mężczyzny z metalu” nie chodziło o jakąś konstrukcję mechaniczną – o coś w rodzaju „roboty”? Czy ta ruchoma postać została ustawiona przez jej przebiegłego twórcę w groźnej pozycji wobec szklanej lampy tylko po to, by uniemożliwić jej ewentualne zuchwałe zniszczenie przez jakichś wandalów, odstraszyć ich?

A jednak swawola młodej, wścibskiej Rzymianki doprowadziła w końcu do niebacznego uruchomienia mechanizmu łuku. Gotowa do ataku metalowa strzała została uwolniona i zniszczyła szklaną latarnię.

Jeszcze jedno jest interesujące w tej historii: w jaki sposób Wergiliusz sprawił, że jego „cudowna lampa” świeciła aż przez trzysta lat? Jakie źródło energii wykorzystał w tym celu? Czy w ciągu dnia światło było wyłączane (może nawet automatycznie)? Przecież w tekście tego podania znajduje się zdanie: „I tak lampa świeciła nocą nad całym miastem Rzym..”.

W tym miejscu krąg się zamyka i pora już wrócić do punktu wyjścia naszych rozważań. Do Egiptu.

IV. Władcy Synaju

Źródła światła w formie energii elektrycznej? Urządzenia do oświetlania zasilane prądem? Zazdrośnie strzeżona tajemnica najwyższych kapłanów, której strażnicy pozostają nie mniej zagadkowi? Nauka tajemna trzymana w ukryciu za murami świątyni? Czy tego rodzaju twierdzenia mają sens? Czy da się udowodnić ich prawdziwość? Czy też należy je odrzucić jako czystą fantazję?

A jednak – co postaramy się udowodnić jeszcze wyraźniej w niniejszym rozdziale – prezentowana tu przez nas teza opiera się na wiarygodnych poszlakach. Prąd elektryczny jako źródło światła w żadnym razie nie został odkryty dopiero na początku XIX w. Jego stosowanie da się prześledzić, z małymi przerwami, aż po epoki prehistoryczne. Punktem wyjścia całej tej sprawy jest wybijająca się postać starożytnego Egiptu – uniwersalny geniusz, który w królestwie nad Nilem miał rangę bóstwa i wszedł do historii starożytności pod imieniem Tot. Bardziej szczegółowo opowiemy o nim w rozdziale VII.

Był to poniekąd poprzednik greckiego Prometeusza: przyniósł ludziom światło i zadbał o to, aby dziedzictwo po nim przekazane zostało przez kapłanów również potomnym – pod postacią dokumentów ilustracyjnych i hieroglificznych. Znajdziemy je uwiecznione w kryptach świątyni, którą obecnie może zwiedzić każdy zainteresowany tym zagadnieniem turysta. Jest to świątynia bogini Hathor w Denderze, oddalona zaledwie sześćdziesiąt kilometrów na północ od kulturowego centrum Egiptu – Luksoru.

Jedną z postaci, która z całą pewnością musiała także znać tajemnice elektryczności, a ponadto w swych młodszych latach prawdopodobnie pobierała nauki u kapłanów egipskich, był patriarcha i przywódca ludu Mojżesz. Spotykamy go nie tylko w tekstach biblijnych, ale również w wielu innych zachowanych przekazach. Wiódł on życie bardzo ruchliwe i pełne przygód, którego punktem kulminacyjnym stał się kontakt z nie mniej osobliwą istotą, nie pochodzącą bynajmniej z naszej planety.

Ze Starego Testamentu oraz innych pism religijnych dowiadujemy się o zmiennym losie narodu zbiegłego z Egiptu, o jego nie kończącej się wędrówce przez pustynię i wreszcie o wyniesieniu go, zgodnie z wolą Boga (?), do rangi „narodu wybranego”. Przez ten długi czas Izraelici – bo o nich tu mowa – utrzymywani byli przy życiu dzięki tajemniczemu pożywieniu, nazywanemu „manną”. Postacią kluczową całej tej historii był właśnie ów Mojżesz, którego prawdziwe pochodzenie Biblia zataja i o którym tylko jedno wiadomo na pewno: mężczyzna ten, „wtajemniczony”, dysponował umiejętnościami, jakimi żaden z jego ludzi nie mógł wykazać się choćby w najmniejszym stopniu. Warto zatrzymać się w tym miejscu na dłużej i ustalić, jakie to umiejętności były właściwe Mojżeszowi. Sama Biblia milczy na ten temat, ograniczając się jedynie do sugestii w *Księdze Wjścia*, że „Mojżesz był biegły we wszelkiej mądrości Egipcjan; potężny był w swych słowach i czynach”, co świadczy o tym, iż musiał otrzymać rozległe wykształcenie od nauczycieli-kapłanów, a ponadto został też prawdopodobnie wprowadzony w arkana nauk tajemnych.

Przywilejów, jakie stały się udziałem Mojżesza, mógł spodziewać się w owej epoce jedynie ktoś cieszący się szczególną łaską. A zatem albo syn strażnika świątyni, albo potomek królewskiego rodu. Jak więc pogodzić to z twierdzeniem zawartym w *Księdze Wjścia*, według którego Mojżesz był chłopcem urodzonym i wychowanym w Egipcie, a za rodziców miał Izraelitów?

Istnieje wzruszająca opowieść o uśmiercaniu dzieci w następstwie okrutnego rozkazu faraona Ramzesa II, który zarządził:

„Każdego chłopca, który się urodzi u Hebrajczyków, wrzucicie do Nilu, a każdą dziewczynkę pozostawcie przy życiu”. (*Księga Wjścia*, 1, 22)

Choć tego rodzaju dzieciobójstwo nie zostało udowodnione jako fakt historyczny, to epizod ten, opisujący spuszczenie na rzekę Mojżesza w powleczonym smołą i asfaltem koszyku, ma swe odpowiedniki w dziejach narodzin sumeryjskiego króla Sargona II oraz w hinduskiej księdze

mądrości *Mahabharacie*, gdzie z kolei ów smutny los osiągnął hinduską księżniczkę. Istnieje jednak między nimi pewna różnica – oba zacytowane przypadki wydarzyły się o tysiąc lat wcześniej.

A to dowodzi wyraźnie, że wzbudzająca współczucie historyjka o owym chłopcu imieniem Mojżesz, znalezionym rzekomo w sitowiu przez córkę faraona i wychowywanym później przez nią na dworze jej ojca, została wyssana z palca przez jakiegoś pisarczyka. Przypuszczalnie próbowano dostarczyć w ten sposób powodów wyjaśniających, dlaczego Mojżesz tak silnie zaangażował się po stronie Izraelitów.

Á *propos* Mojżesza: imię to i jego znaczenie bywały często przedmiotem gorących dyskusji. Jedni twierdzą, że pochodzi ono z egipskiego i oznacza „dziecko”, inni znów wywodzą je z hebrajskiego i tłumaczą je jako „wyciągać” (wyjmować z koszyka). „Mose” był w starożytnym Egipcie imieniem częstym, toteż nie przez przypadek w wielu słowach egipskich znaleźć można sylaby „Mose”, np. w imieniu „Ram(o)ses”.

Wynika stąd wyraźnie, że ta biblijna postać, którą się tu zajmujemy, nosiła zupełnie normalne imię i w rzeczywistości nie była Hebrajczykiem. Nie jest to też z całą pewnością postać fikcyjna. Mojżesz żył naprawdę – co potwierdzają zresztą także i inne pisma poza Biblią. Podsumowując można zatem stwierdzić, iż pod względem pochodzenia biblijny Mojżesz był bez wątpienia Egipcjaninem!

Jeśli nawet pominąć tę dziecinną historyjkę, która próbuje nam wmówić, że Mojżesz jako niemowlę został wyrzucony w koszyku przez wody Nilu na brzeg porośnięty sitowiem i tam zauważony przez córkę faraona, to jednak samo założenie, iż tego młodego Egipcjanina łączył z ową damą bardzo bliski związek jest całkowicie słuszne. Otóż na podstawie różnych źródeł można przypuszczać, że Mojżesz był nieślubnym dzieckiem córki Ramzesa, księżniczki Taji. O jego ojcu nic nie wiadomo (prawdopodobnie był to nieopatrzny krok księżniczki), niewykluczone jednak, że mógł nim być członek kasty kapłańskiej. Tak więc byłby to jeszcze jeden powód, by zapewnić chłopcu królewskie wychowanie: ostatecznie to przecież książę! A że później kapłani (może nawet sam jego ojciec) zajmowali się inteligentnym Mojżeszem, nauczali go „wszelkiej mądrości Egipcjan” i w ogóle mieli na niego czujne oko, to już tylko logiczne następstwo przedstawionej tu wersji wydarzeń.

Święta skrzynia

„Dokładnie według wzoru przybytku i wzoru wszystkich jego sprzętów, które ci pokażę; tak wykonacie”. (*Księga Wyjścia*, 25, 9)

Jest to najważniejsze zdanie przesłania, jakie Mojżesz otrzymał pewnego razu, gdy stanął na szczycie tzw. Góry Bożej (chodzi prawdopodobnie o górę Horeb na półwyspie Synaj, ale nie można tego przyjąć z całą pewnością).

Istota, którą Mojżesz uważał początkowo za „Boga”, zwracając się do niej z szacunkiem „Panie”, przedstawiła Egipcjaninowi (stał się on tymczasem nie kwestionowanym przywódcą izraelickich uchodźców) zupełnie wyraźnie określone szkice, projekty i może nawet modele urządzeń, uważane przez Jahwe (jak sam siebie nazywał: „jestem, kim jestem!”) za ważne i użyteczne, a także niezbędne dla realizacji jego planów i zamiarów.

Jednym z tych sprzętów, i to wcale niebłahym, była skrzynia!

Sposób jej konstrukcji jest dokładnie opisany w *Księdze Wyjścia*. Nie od rzeczy więc będzie przedstawienie go w szczegółach według biblijnego schematu. Zaoszczędzi to nam żmudnych poszukiwań podanych przez Jahwe wskazówek w tekście Starego Testamentu.

„Zrobią też skrzynię z drzewa akacjowego, dwa i pół łokcia długą, półtora łokcia szeroką i półtora łokcia wysoką.

Pokryjesz ją szczerym złotem. Pokryjesz ją od wewnątrz i z zewnątrz. Zrobisz na niej dokoła złoty wieniec.

Odlejesz także dla niej cztery złote pierścienie i przytwierdzisz je do czterech jej krawędzi: dwa pierścienie po jednej stronie i dwa pierścienie po drugiej stronie.

I zrobisz drążki z drzewa akacjowego, i pokryjesz je złotem.

Drażki te włożysz do pierścieni po bokach skrzyni, aby na nich nosić skrzynię.
W pierścieniach skrzyni pozostaną te drażki; nie będą z nich wyjmowane.
Do tej skrzyni włożysz świadectwo, które ci dam”. (*Księga Wyjścia*, 25, 10-16)

Jeśli przyjąć, że łokiec – zgodnie ze starą miarą – odpowiadał ok. 52,5 cm, wówczas długość skrzyni wynosiłaby 1,31 m, a szerokość i wysokość po 78 cm.

Nie jest to jednak takie oczywiste. Według encyklopedii, łokiec jako naturalna jednostka miary odpowiadał generalnie długości ludzkiego przedramienia, ale w samych tylko krajach niemieckich aż po XIX w. stosowano ponad sto różnych miar łokciowych. Dlatego też badacz Biblii Jochim Pahl miał podstawy, by przy obliczaniu wymiarów skrzyni przyjąć, że jej długość wynosiła 1,73 m, a szerokość i wysokość po 73 cm. Od środka i od zewnątrz – jak czytamy w *Księdze Wyjścia* – była ona wyłożona szczerem złotem. Mamy tu także informację, że ten osobliwy pojemnik miał być zbudowany z drewna akacjowego. Z tego samego materiału wykonać należało również pozłacane drażki, przełożone przez pierścienie po bokach skrzyni (aby móc ją nosić). Pahl koryguje w związku z tym błąd – jak pisze – „powtarzany przez wieki” i wyjaśnia: „Drzewo akacjowe, mylnie tu wspomniane, daje się stosować co najwyżej do wyrobu ozdób, nigdy zaś jako materiał budowlany”. (*Sternenmenshen sind unter uns* [„Ludzie z innych planet są wśród nas”], Monachium 1971)

Pomyłka w tekście Starego Testamentu da się wyjaśnić leksykalnie. A zatem tzw. „prawdziwa” akacja (o której mowa u Mojżesza) określana jest jako „roślina mimozowata ciepłych części ziemi”. Pod naszą szerokością geograficzną uważa się ją głównie za roślinę pokojową. Szczególnie często spotykana jest u Arabów, a to ze względów praktycznych: przecież od dawien dawna dostarcza im gumi! „I guma tego gatunku została użyta przy budowie skrzyni w znacznych ilościach jako materiał izolacyjny”, twierdzi Pahl.

Co się zaś tyczy innej akacji, nazywanej przez nas „fałszywą”, to jest to roślina z rodziny motylkowatych, której botanicy nadali nazwę robinii. Do Europy została sprowadzona w XVII w. z Ameryki Północnej.

Czym innym jest „prawdziwa” akacja. Ponieważ tak doskonale spełnia funkcję materiału izolacyjnego, nic więc dziwnego, że Mojżesz i jego Lewici nakłaniani byli do skonstruowania z niej drażków skrzyni. W celu ochrony przed uderzeniami prądu!

Powróćmy jednak do dalszego planu budowy. Oto wskazówki otrzymane przez Mojżesza:

„I zrobisz wieko ze szczerego złota dwa i pół łokcia długie, a półtora łokcia szerokie.

Zrobisz też dwa cheruby z litego złota i umieścisz je na obu krawędziach wieka.

Jednego cheruba zrobisz na krawędzi z jednej strony, a drugiego cheruba na krawędzi z drugiej strony; razem z wiekiem połączone zrobicie cheruby na obu jego krawędziach. Cheruby będą miały skrzydła rozpostarte do góry. Będą one okrywać swoimi skrzydłami wieko, a twarze ich zwrócone będą ku sobie. Twarze cherubów zwrócone będą ku wieku”. (*Księga Wyjścia*, 25, 17-20)

Ową Skrzynią Świadectwa zajmowali się w mniej i bardziej odległej przeszłości liczni autorzy opracowań popularnych i powieści. Przed kilkoma laty posłużyła również jako materiał filmowy (w „Indiana Jones” Stevena Spielberga), co świadczy o niesłabnącej fascynacji tym przedmiotem. Naukowcom i zainteresowanym tą sprawą laikom szczególnie odpowiadała wyraźna funkcja skrzyni jako kondesatora elektryczności. Na przykład duńskiemu inżynierowi Tonsowi Brunésowi, który w książce *Energien der Urzeit* („Energie pradziejów”, Zug 1977) wykpiwa częstokroć mylnie przedstawiane opisy skrzyni, co jest przede wszystkim widoczne na ilustrowanych wizerunkach tego przewodzącego prąd pojemnika. Odnosi się to zwłaszcza do fragmentu tekstu, w którym czytamy: „Jednego cheruba zrobisz na krawędzi z jednej strony, a drugiego cheruba na krawędzi z drugiej strony.”.. Brunés komentuje to tak:

„W poszczególnych wydaniach Biblii detale skrzyni przedstawione są w odmienny sposób, jednakże wszystkie opisy zgadzają się co do jednego szczegółu: cheruby umieszczone są na skrzyni, każdy na innym końcu jej wieka. Tekst mówi, że figury te mają znajdować się PRZY krawędziach, a nie NA krawędziach, powinny zatem być PO OBU STRONACH wieka, a nie NA nim”.

W tekście bardzo wyraźnie podkreślono, że „twarze ich zwrócone będą ku sobie” i dalej – „Twarze cherubów zwrócone będą ku wieku”, stwierdza Duńczyk i wskazuje na błędne kopie:

„Dotychczasowi interpretatorzy dawali w swych ilustracjach wyraz WŁASNEMU rozumieniu tekstu, a on przecież mówi coś zupełnie innego. Mylnie umieszczenie cherubów na górze skrzyni, a także wieka,

jest sprzeczne z tekstem, w którym czytamy: «Twarze cherubów zwrócone będą ku wieku» i «twarze ich zwrócone będą ku sobie».

Brunés słusznie krytykuje całkowicie nieprawidłowe odwzorowanie wyglądu skrzyni, która „niemal na wszystkich ilustracjach” ukazana jest „na cokole, jak na ołtarzu”, co znajduje się w jaskrawej sprzeczności z tekstem Biblii. Ten bowiem mówi, że „skrzynia ma cztery nogi oparte na ziemi”. Brunés ustala właściwe proporcje, powołując się na oryginalne cytaty z Biblii i zwracając uwagę, że „pierścienie umocowane zostały na nogach skrzyni, przy jej podłużnych bokach”. Ów specjalista od elektryczności stara się dociec źródła błędu i znajduje jego przyczynę.

„To, że przez tyle epok – pisze – na ilustracjach przedstawiano skrzynię ustawioną na masywnej konsoli, jest jednym z licznych nieporozumień, jakie powstają wówczas, gdy osoba nie znająca się na technice próbuje przedstawić opis techniczny”.

Również cytowany już wcześniej Jochim Pahl zauważył, że istotnie mamy tu do czynienia z takim nieporozumieniem. Według wyliczeń Pahla „na jej budowę zużyto złota i srebra ze 130 centarów lub 6,5 tony”. Dla powstania skrzyni – jak dalej przypuszcza – konieczne było też użycie miedzi i żelaza w ogromnych ilościach. A zatem w przypadku tej konstrukcji musiało chodzić o agregat wytwarzający prąd. Mógł on być wykorzystywany także jako kondensator i generator lub jako stacja nadawcza lub odbiorcza.

Gdy przyjąć za podstawę wyliczeń własnych podane w tekście Biblii miary, nasuwa się nieodparty wniosek, że nagromadzona w tym bezcennym urządzeniu energia elektryczna mogła być źródłem prądu o napięciu ponad tysiąc volt. Dlatego też dotknięcie skrzyni przez osobę nieupoważnioną, tj. bez odpowiedniej osłony, mogło oznaczać dla niej najwyższe niebezpieczeństwo. Kto mimo wszystko się na to odważył, narażał swe życie i musiał liczyć się ze śmiertelnym porażeniem prądem.

Przypadki takie rzeczywiście się zdarzały; są one ukazane w poszczególnych epizodach w Biblii. Oto fragment *Trzeciej Księgi Mojżeszowej (Leviticus)*, 10, 1-5:

„Synowie Aarona, Nadab i Abihu, wzięli kadzielnice, każdy swoją, włożyli w nie ogień i nasypali nań kadzidła, i ofiarowali przed Panem niewłaściwy ogień, którego im nie nakazał.

Wtedy wyszedł ogień od Pana i spalił ich, tak że zmarli przed Panem.

I rzekł Mojżesz do Aarona: «Oto co Pan rzekł: Na bliskich moich okazuje się świętość moja, a wobec całego ludu chwała moja.» I Aaron zamilkł.

Mojżesz przywołał Miszaela i Elsafana, synów Uzziela, stryja Aarona, i rzekł do nich: «Zbliźcie się i wynieście braci waszych przed świątyni poza obóz.»

Zbliżyli się więc i wynieśli ich w tunikach ich poza obóz, tak jak powiedział Mojżesz”.

Historia ta – nazwijmy ją „epizod 1” – opowiada o tragicznym losie dwóch młodych ludzi, którzy źle skończyli. Nadab i Abihu niewątpliwie cieszyli się przywilejami, byli bowiem synami Aarona, a ten z kolei sprawował w obrębie żydowskiej gminy uchodźców urząd kapłana. Z relacji zawartej w Biblii nie wynika wprawdzie wyraźnie, na czym polegała nieostrożność obu młodzieńców, gdy prawdopodobnie wbrew regułom zbliżyli się do Skrzyni Świadectwa w tzw. Przybytku – nie ulega jedynie wątpliwości, że ich ogień nie odpowiadał rytualnym nakazom i dlatego został potępiony przez kronikarza jako „niewłaściwy”. Gwoli dokładności i lepszemu zrozumieniu należy dodatkowo zaznaczyć, że w owym czasie określenie „Pan” używane było zamiast pojęcia „Skrzynia Świadectwa”.

Nieoczekiwana śmierć synów musiała wpłynąć na kapłana Aarona w sposób wręcz paraliżujący. Gdy Mojżesz gani go z powodu tego zdarzenia, on pozostaje niemy. O tym, że w przypadku ognia, który wyszedł od „Pana”, z pewnością chodziło o coś innego niż powszechnie przypuszczano, przekonuje też końcowe zdanie tej opowieści. Nadab i Abihu nie mieli na ciele żadnych ran oparzeniowych, także ich ubranie pozostało nie tknięte („...i wynieśli ich w tunikach..”). Jest to wyraźna wskazówka, że obaj zginęli wskutek porażenia prądem Skrzyni Świadectwa.

„Epizod 2” odnosi się również do przedstawiciela stanu kapłańskiego. Wydarzenie to miało jednak miejsce o wiele później, dawno już po śmierci Mojżesza. Relacja o nim zawarta jest w *II Księdze Samuela*:

„Potem Dawid zgromadził znów trzydzieści tysięcy doborowych wojowników z całego Izraela.

I ruszył Dawid wraz z całym swoim ludem do Baali judzkiej, aby sprowadzić stamtąd Skrzynię Bożą, która jest nazwana imieniem Pana Zastępów, siedzącego nad cherubami.

I wieźli skrzynię Bożą na nowym wozie, zabrawszy ją z domu Abinadaba, prowadzili ten nowy wóz. Ze Skrzynią Bożą, a Achio szedł przed Skrzynią.

Dawid zaś i cały dom Izraela tańczyli i grali z całej siły przed Panem na różnego rodzaju instrumentach z cyprysowego drzewa, na cytrach, harfach, fletach, bębnach, dzwoneczkach i cymbałach.

A gdy dotarli do klepiska Nachona, Uzza wyciągnął swoją rękę ku Skrzyni Bożej i chciał ją podtrzymać, gdyż woły się potknęły.

I rozpałił się gniew Pana na Uzze, i zabił go tam Bóg za to, że wyciągnął swoją rękę ku Skrzyni, i umarł tam przy Skrzyni Bożej”.

Raczej nietrudno wyobrazić sobie rzeczywisty przebieg tych dramatycznych wydarzeń. Przypomnijmy je zatem raz jeszcze. Otóż król Dawid polecił sprowadzić cenną Skrzynię Bożą ze świątyni kapłana Abinadaba w Baali (dawna nazwa miasta Kirjat-Jearim) do swojej rezydencji w Jerozolimie (do świątyni Salomona). Oczywiście nie odbyło się to bez rozgłosu. Wręcz przeciwnie: cały orszak przerodził się w prawdziwe ludowe święto. Wszyscy dostojnicy królewskiego dworu z królem Dawidem na czele, a głównie zaś kapłani z Baali i Jerozolimy – kroczyli przed Skrzynią. Po obu stronach orszaku cisnął się tłum. A przy okazji tej uroczystości na cześć „Pana” odbywało się, by tak rzec, prawdziwie „piekielne” widowisko. Muzycy przygrywali na bębnach, cytrach, cymbałkach i dzwoneczkach, czyniąc ogromny hałas, potęgowany jeszcze przez tłumy ludzi towarzyszące pochodowi.

I nastąpiło to, co stać się wprost musiało. Ciągące kolumnę wozów zwierzęta (Biblia mówi o wołach) od hałasu i zamieszania wywołanego przez rozentuzjanzmowanych wiernych stawały się z każdą chwilą coraz bardziej niespokojne. („Dawid zaś i cały dom Izraela tańczyli i grali z całej siły przed Panem..”) Oczywiście również i te zaprzęgnięte do „nowego wozu”, na którym wieziono Skrzynię. Doszło do zamieszania, woły próbowały wyłamać się z kolumny. Uzza, który prowadził wóz ze świętym ładunkiem, wpadł w popłoch. Skrzynia bowiem zaczęła się zsuwać, co groziło jej spadnięciem na ziemię.

W desperacji, zapominając o wszelkich środkach ostrożności, młody kapłan dotknął cennego ładunku, starając się zapobiec katastrofie. W tym momencie został porażony prądem i zginął na miejscu.

Kto uważnie przestudiuje ten fragment Biblii, od razu zauważy intencję autora. Kronikarz spisujący tę relację usiłuje wywołać wrażenie, że Uzza dopuścił się czynu zuchwałego („...Uzza wyciągnął swoją rękę ku Skrzyni Bożej i chciał ją podtrzymać..”). Ów kapłan pomawiany jest o to, że samowolnie naruszył zakaz dotykania skrzyni. Dopiero druga część zdania („...gdyż woły się potknęły..”) wyjaśnia rzeczywisty przebieg tego zdarzenia, a tym samym czyni zrozumiałym nierozważny postępek woźnicy.

Kronikarz biblijny, nie zastanawiając się wiele, pomieszał przyczynę ze skutkiem i rozstrzygające zdanie przekręcił dosłownie.

W istocie bowiem opis tych wydarzeń powinien być brzmieć następująco: „A gdy dotarli do klepiska Nachona, woły nagle się potknęły. Wtedy Uzza wyciągnął swoją rękę ku Skrzyni Bożej i chciał ją podtrzymać”.

Biada, jeśli zostaną wypuszczone

Obecnie pragniemy zająć się bliżej owym zagadkowym sprzętem, który w religijnym życiu narodu izraelskiego odgrywał istotną rolę i jeszcze jakiś czas po Mojżeszu w pełni zachował swą zdolność działania. Czy w przypadku Skrzyni Świadcstwa chodziło rzeczywiście jedynie o narzędzie kultu – czy też pierwotnie była ona przeznaczona do zupełnie innego celu? Czy została „naładowana elektrycznie” tylko po to, aby ochronić ją przed niepożądanym dotykaniem przez innych? I dlaczego akurat dotyczyło to pojemnika mającego rzekomo służyć jedynie jako miejsce przechowywania przykazań Mojżeszowych?

Co naprawdę kryła w sobie „Skrzynia Pana”?

Jedno jest pewne: przedstawiała ona wówczas istotny czynnik władzy, wymuszający najwyższy respekt nie tylko na własnym narodzie, ale także na wrogach Izraela – co bynajmniej nie da się wyjaśnić jedynie tym, że w skrzyni tej przechowywano określone relikwie religijne. W grę musiało wchodzić jeszcze coś poza tym, bo inaczej przecież inne narody – na przykład Filistyńczycy – nie

staralyby się z takim poświęceniem o odbicie Izraelitom tego niezwykłego dobra.

A jak w ogóle wyglądało to kontrowersyjne „corpus delicti”? Znamy już wprawdzie wskazówki, według których skrzynia miała być zbudowana, ale istnieją rozbieżne opinie na temat wymowy wskazówki zawartej w *Księdze Wjścia*, 25, 15. Brzmi ona następująco:

„W pierścieniach skrzyni pozostaną te drążki; nie będą wyjmowane”.

Joachim Pahl („Ludzie z innych planet są wśród nas”) widzi w niej dowód na to, że przy skrzyni zainstalowano coś dla ochrony tragarzy. Powołuje się przy tym na gumową izolację drążków. Natomiast Francuz Robert Charroux („Fantastyczna przeszłość”, Herbig 1967) przychyła się ku innej interpretacji. Właściwego celu pozostawienia drążków w pierścieniach upatruje w odprowadzeniu prądu z okapu do ziemi. Przypuszcza, że warstwy złota, którymi skrzynia była wyłożona od wewnątrz i na zewnątrz, były dwoma metalowymi przewodnikami oddzielonymi nieprzewodnikiem, a cały ten system uzupełniał biegnący wokół skrzyni, oczywiście również położony, gzyms.

Zdaniem Charroux naturalne pole elektryczne osiągało tu napięcie od 500 do 600 V/m³, co uzasadnia on tym, że okolica, przez którą Izraelici nieśli „Pana” (lub skrzynię), była ciepła i sucha. Ten francuski autor, specjalizujący się w publikacjach z pogranicza nauki, wcale nie wyklucza, że w transporcie tym mógł znajdować się także tzw. stos galwaniczny. W takiej sytuacji gzyms Skrzyni Świadcstwa służyłby, zdaniem Charroux, do naładowania stosu względnie kondensatora.

Nie do końca jednakże możemy zgodzić się z naszym kolegą, z jego interpretacji trudno bowiem wywnioskować, w jaki sposób mogło odbywać się odprowadzanie prądu do ziemi. Przecież drążki w ogóle jej nie dotykały, a poprzez zewnętrzną warstwę złota, jaką były pokryte, miały wręcz przewodzący kontakt z zewnętrzną powłoką skrzyni. Czyli jej ładunek elektrostatyczny za każdym razem odprowadzany byłby do ziemi przez tragarzy, powodując silne porażenie ich prądem.

Wskazówką tą zajmował się także Jörg Dendl, publicysta berliński, który znalazł pewne wyjaśnienie w *Numeri* (*Czwartej Księdze Mojżeszowej*), 4, 5-6. Fragment ten brzmi w sposób następujący:

„Gdy obóz będzie miał ruszyć, wejdzie Aaron ze swymi synami [do Namiotu Zgromadzenia], zdejmą zakrywającą zasłonę i owiną w nią Skrzynię Świadcstwa.

Następnie położą na niej okrycie ze skór borsuczych, a na nim rozciągną sukno z fioletowej purpury i założą drążki”.

A oto komentarz Dendla: „Wniosuję z tego, że istniały drążki do noszenia, które przy rozstawianiu namiotu wyciągane były z pierścieni”. Ponadto, według jego opinii, były jeszcze inne, bliżej nie określone „drążki”, które musiały spełniać jakieś odmienne zadanie. Przypuszcza, że mogło tu chodzić o urządzenie pełniące funkcję anteny. Na rozwiązanie takie naprowadziła go wskazówka zawarta w *Księdze Wjścia*, 25, 22. Oto Bóg przemawia do Mojżesza:

„Tam będę się spotykał z tobą i sponad wieka będę z tobą rozmawiał spośród dwu cherubów, które są na Skrzyni Świadcstwa, o wszystkim, co jako nakaz przekażę ci dla synów Izraela”.

Wynika z tego jasno – twierdzi Dendl – iż Skrzynia Świadcstwa musiała być czymś w rodzaju aparatu nadawczego. W tym miejscu jego pogląd jest zbieżny (przypadkowo lub świadomie) z opinią Ericha von Dänikena, który już w swej debiutanckiej książce („Wspomnienia z przeszłości”), opublikowanej w 1968 r., spekulował na ten temat, czy jeden z dwóch cherubinów na wieku nie pełnił funkcji magnesu – w wyniku czego konstrukcja ta mogłaby być wykorzystywana w całości jako swego rodzaju głośnik, a może nawet aparat do przeprowadzania rozmów między Mojżeszem a jego „boskim” zleceniodawcą.

Instrukcja budowy skrzyni istotnie w jaskrawy sposób przypomina formę megafonu elektrostatycznego. To najdroższe ze wszystkich urządzeń dźwiękowych Hi-Fi jest płaskie jak obraz i składa się z dwóch oddzielonych warstwą izolacyjną metalowych folii, mogących swobodnie drgać. Po przyłożeniu do płytek biegunów źródła prądu stałego o napięciu kilku tysięcy wolt powstaje kondensator płaski. Podłączenie zaś dodatkowo prądu zmiennego, czyli prądu niewielkiego wzmacniacza, powoduje drganie płytek i powstanie dźwięku o idealnej wręcz czystości i mocy zdolnej wypełnić całą salę. Jeśli wzmacniacz jest relatywnie mały w stosunku do pomieszczenia, można zrekompensować to napięciem stałym i wielkością płytek. Przy zastosowaniu bardziej zaawansowanej technologii płytki mogłyby zacząć drgać już pod wpływem prądu z detektora krystalicznego

(kryształ i drut odprowadzający), co z kolei umożliwiłoby dobre porozumienie między nadawcą a Skrzynią Świadectwa.

Do tego rodzaju kontaktów – a przynajmniej w jednym kierunku (od nadawcy, „Pana”, do Mojżesza, Aarona i ich kapłanów) – rzeczywiście dochodziło, o czym możemy przeczytać w *Numeri*, 20, 6:

„Mojżesz i Aaron odeszli sprzed zgromadzenia, upadli na swoje twarze i wtedy ukazała im się chwała Pana”.

Jeszcze bardziej widoczne jest to w tekstach kabalistycznych, na przykład w *Zoharze*, głównej księdze *Kabały*, gdzie wyraźnie zwraca się uwagę na to, że wszystko, co przed Skrzynią Świadectwa wypowiadano w Namiocie Zgromadzenia ku Najwyższemu, należało mówić wyraźnie, a nie mamrotać. Czyli dokładnie tak, jak należy to robić przed współczesnym mikrofonem. Małe Święte Zgromadzenie (595), jedna z trzech ksiąg *Zoharu*, nakazuje:

„I dlatego każde życzenie i każda modlitwa, które człowiek pragnie widzieć spełnionymi, muszą dotrzeć ku Świętemu – niechaj będzie błogosławiony! – i zostać wypowiedziane przez usta człowieka. Jeżeli bowiem z nich nie wyjdą, to tak jakby modlitw i życzeń nie było. Gdy zaś tylko słowa się wydostaną (z ust), przebiją się przez eter, wzniosą się i ulecą, i zostaną przemienione w głos. I zostaną odebrane przez tych, przez których odebrane być muszą”.

„...przebiją się przez eter (czyli przez *Kosmos*), wzniosą się i ulecą, i ZOSTANĄ PRZEMIENIONE W GŁOS..”. [podk. Autorów].

Czyż nie są to aż nadto wyraźne objaśnienia, dlaczego i po co miało się coś wydarzyć? Inne fragmenty Małego Świętego Zgromadzenia (592) opisują to zjawisko jeszcze bardziej precyzyjnie, nie pozostawiając najmniejszych wątpliwości co do technicznego tła ówczesnych kontaktów:

„A język ów, co się wydobywa, przedziera się przez eter [lub: Kosmos] i rozlewa się, i wznosi, i ulatuje w Uniwersum. I powstaje z tego «głos». I władcy skrzydeł odbierają ów głos i niosą go ku królowi, a on wchodzi do jego uszu”.

Fragment ten w sposób całkowicie zrozumiały przedstawia dokonujące się przekształcenie języka w głos, czyli używając pojęć współczesnych: przetworzenie sygnałów akustycznych na fale elektromagnetyczne. Są to typowe symptomy znanej nam komunikacji radiowej! Przy urządzeniach odbiorczych, wysoko ponad Ziemią – w „Uniwersum” (jak jednoznacznie podaje *Zohar*) – czekali już „władcy skrzydeł”, aby otrzymane drogą radiową życzenia lub doniesienia przekazać „królowi”, względnie ich szefowi (czy komendantowi).

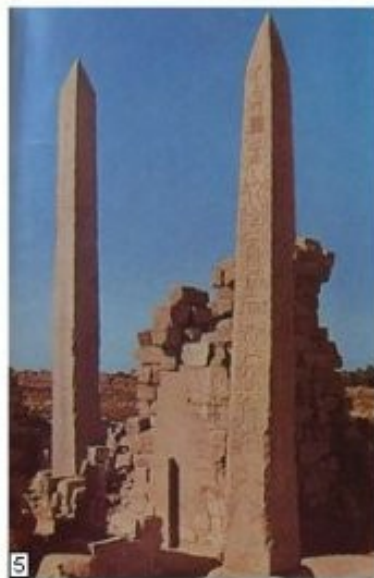
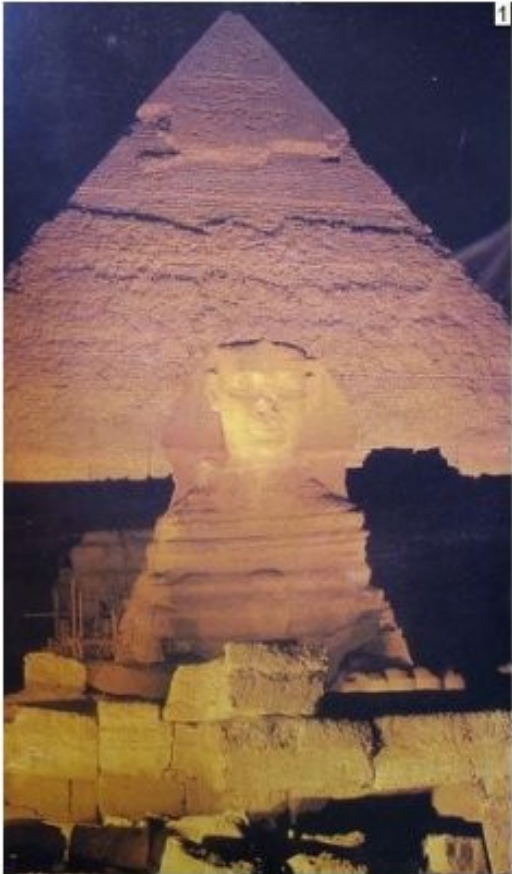
Kim byli owi „władcy skrzydeł”?

Jak wiadomo, „wziąć kogoś pod swoje skrzydła” oznacza „otoczyć opieką, wziąć pod ochronę”. W przypadku Mojżesza ma to swoje pełne uzasadnienie. Z *Kabały* wynika również, że choć co prawda za czasów Mojżesza istniał tzw. „Pan” („szef”, mówiąc inaczej), to w istocie chodziło jednak o niesprecyzowaną pod względem liczby pozaziemską załogę kosmicznych jeźdźców. Tak więc istnieją podstawy, by określenie „władcy skrzydeł” rozpatrywać w powiązaniu z pojęciem „latać” – jak nam bowiem wiadomo, zleceniodawcy Mojżesza przemieszczali się przy użyciu co najmniej jednego pojazdu latającego.

We wszystkich źródłach biblijnych i pozabiblijnych zwraca uwagę także i to, że kontakty między Mojżeszem, Aaronem i Lewitami oraz ich „władcami” odbywały się wyraźnie tylko drogą akustyczną. Co wcale nie wyklucza, że owi „władcy” (być może przez Skrzynię Świadectwa) mogli dysponować także odbiorem telewizyjnym, czyli byli w stanie widzieć – a nie tylko słyszeć – Mojżesza i jego kapłanów podczas rytualnych obrzędów lub kontaktów radiowych, nie pokazując się Izraelitom w Namiocie Zgromadzenia twarzą w twarz. Takie „wystawianie się na pokaz” następowało jedynie w wyjątkowych sytuacjach, jak na przykład wtedy, gdy Mojżesz, Aaron, jego synowie Nadab i Abihu, a także siedemdziesięciu ze starszyny gminy izraelskiej (na polecenie „centrali dowódczej”) weszli na górę Synaj. W *Księdze Wyjścia*, 24, 10 i 24, 11 można przeczytać na ten temat:

„I ujrzeli Boga Izraela, a pod jego stopami jakby twór z płyt szafirowych, błękitny jak samo niebo.

Lecz na najprzedniejszych z synów izraelskich nie wyciągnął swojej ręki; mogli więc oglądać Boga, a potem jedli i pili”.



1. Piramida Chefrena i jej strażnik z kamienia – sfinks. Dwa symbole starożytnego Egiptu, których tajemnica do dziś nie została odsłonięta.
2. Po słynnym pasie Zwierzyńcowym na płaskim dachu świątyni Hathor pozostała dzisiaj jedynie gipsowa kopia. Oryginał zdobi paryski Luwr.
3. Tot, bóg nauk, nigdy nie był ukazywany z ludzkim obliczem. Jego twarz kryła zawsze zwierzęca maska, np. ibisa.

4. ...inna ilustracja ukazuje Tota pod postacią pawiana o obliczu żaby. Bóg ten był nieprzeciętnego wzrostu – to kolos, również według dzisiejszej miary.
5. Obeliski jako symbole staroegipskie zdobyły cały świat. W najstarszych czasach miały zupełnie inne znaczenie: symbolizowały wizerunek praegipskich ciał latających, podobnych do rakiet.
6. Podobieństwo obelisku do współczesnych nam rakiet nie jest przypadkowe. Jak głoszą przekazy, w swej pierwotnej postaci przyniósł on na Ziemię „boga słońca”. Za bóstwem tym nie krył się zaś nikt inny, tylko sam Tot.
7. Mimo że egipci uważają „oko Ra” jedynie za symbol, w rzeczywistości było ono niezwykle niebezpiecznym pojazdem latającym. Pod postacią małpy kryje się jego użytkownik – Tot, tajemniczy „bóg nauk”.
8. Nadzwyczaj udana ilustracja „słonecznej barki” Tota. „Waż”, widniejący pośrodku obiektu latającego, był dla starożytnych Egipcjan symbolem „energii”, czyli siłą napędową, umożliwiającą wzniesienie się pojazdu w powietrze.

Musiały istnieć jakieś psychologiczne przyczyny, dla których zleceniodawcy Mojżesza w czasie normalnego kontaktu poprzez Skrzynię Świadcstwa w Namiocie Zgromadzenia (który ze względów bezpieczeństwa – radioaktywność! – musiał być rozstawiany zawsze w należnym oddaleniu od miejsca postoju gminy izraelskiej) pozwalali Lewitom jedynie na akustyczny kontakt słowny. Dochodziło do niego zresztą w dosłownym znaczeniu, co znajduje swoje kolejne potwierdzenie w Biblii w Psalmie 130., wiersz 1 i 2:

„Z głębokości wołam do ciebie, Panie!
 Panie, wysłuchaj głosu mego!
 Nakłoń uszu swych na głos błagania mego!”

Zakładając, iż ów odbiornik (Skrzynia Świadcstwa) mógł bez problemów funkcjonować również jako nadajnik (co przypuszczalnie było możliwe bez uciążliwego przełączania), można przyjąć, że kondensator (który prawdopodobnie sam był źródłem prądu lub mógł być weń zaopatrywany, jak to sugeruje Charroux, przez płytki galwaniczne) działał w rezultacie jak kondensator-mikrofon.

Drażki, pokryte znakomitą gumową warstwą izolacyjną z akacji, mogły więc doskonale nadawać się do spełniania funkcji anten.

Zazwyczaj były oczywiście ustawione pionowo – skierowane ku szczytowi „Góry Boga”, na którym znajdował się pojazd latający, a zatem pewnie także i „centrala dowódcza” istot pozaziemskich. Dzięki temu w Namiocie Zgromadzenia przez cały panowała gotowość do wysyłania i odbierania sygnałów. Być może z tego właśnie powodu Mojżeszowi i jego kapłanom zakazano wyciągania drążków z pierścieni Skrzyni Świadcstwa.

Jest to niewątpliwie dość odważna myśl, by z samej tylko konstrukcji urządzenia wyprowadzać od razu wnioski, że mamy tu do czynienia z wzorcowym urządzeniem nasłuchowym. Ponieważ jednak w pojeździe latającym „Pana” bądź też na szczycie tzw. „Góry Boga” znajdowały się prawdopodobnie odpowiednie urządzenia wzmacniające, zleceniodawcy Mojżesza z całą pewnością byli w stanie zrozumieć wszystko, co mówili Lewici (włącznie z Mojżeszem i Aaronem) w promieniu kilku metrów od Skrzyni Świadcstwa.

Było oczywiście do przewidzenia, że we współczesnych nam czasach pojawią się ludzie, którzy podejmą próbę rekonstrukcji „świętej skrzyni”. Już od ponad dwudziestu lat na łamach gazet i różnych książek pojawiają się opowieści o tym, jakoby studenci jednego z amerykańskich college’ów, a także profesor izraelski Moshe Levin poważyli się na przeprowadzenie takiego eksperymentu i zakończyli go sukcesem. I w jednym, i w drugim przypadku udało się rzekomo wykonać sprawnie funkcjonujący model skrzyni – co zainteresowało nawet twórców filmów dokumentalnych, w wyniku czego konstrukcja Levina przedstawiona została również we „Wspomnieniach z przeszłości” Dänikena i opatrzona komentarzem autora, iż jest to instrument niebezpieczny, przewodzący prąd.

I w jednym, i w drugim przypadku wszelkie spekulacje na ten temat okazały się dziennikarskimi „kaczkami”. „Profesor” Levin był handlarzem diamentów nie mającym nic wspólnego z nauką, a jego okrzyczana skrzynia, wielokrotnie prezentowana w prasie, miała wielkość pudełka zapalek i nie posiadała absolutnie żadnych właściwości „elektryzujących”. Studenci college’u zaś rozpląnęli się w powietrzu. Jediną osobą, której rzeczywiście udało się zbudować zgodny z pierwotnymi

wymiarami (jednakże nie utrzymujący prądu) model skrzyni i zaprezentować go publicznie, był student i publicysta Jörg Dendl. Ten dwudziestoosmioletni Berlińczyk (wówczas student dziesiątego semestru historii i germanistyki Wolnego Uniwersytetu) zademonstrował swój model w rodzinnym mieście w 1991 r. w ramach światowego kongresu Ancient Astronaut Society. Skonstruowaną przez niego skrzynię można było dotykać bez żadnego zagrożenia, co w przypadku tej prawdziwej z czasów Mojżesza byłoby raczej niewskazane, jako że urządzenie to bez wątpienia przewodziło prąd. Z tego też powodu Mojżesz i kapłani zbliżali się do „Skrzyni Świadectwa” wyłącznie w specjalnie przygotowanych szatach. Kto nie był posłuszny temu wymogowi, narażał swe życie na wielkie niebezpieczeństwo, co potwierdzają przytoczone wcześniej przypadki śmierci synów Aarona – Nadaba i Abihu, oraz Uzzy w wyniku porażenia prądem.

W Pierwszej *Księdze Samuela*, 5/6, przedstawiony jest faktyczny stopień niebezpieczeństwa tej nieobliczalnej skrzyni. Tym razem postradali życie Filistyńczycy. Byli to niesemicki żeglarze, którzy osiedlili się na wybrzeżu Morza Śródziemnego mniej więcej w tym samym czasie, gdy Izraelici po wyjściu z Egiptu przemierzali akurat tę okolicę. Doszło między nimi do zatargów, na których gorzej wyszli Izraelici, stracili bowiem na rzecz Filistyńczyków symbol swego statusu, Skrzynię Świadectwa. Ci jednak nie domyślali się nawet, co zyskali. W triumfalnym orszaku zawieźli swą zdobycz do Aszdod, gdzie w świątyni ich boga Dagona ustawili ją obok jego statui. Lepiej byłoby jednak, gdyby tego nie uczynili, albowiem zaciekawieni mieszkańcy miasta, którzy nie zdawali sobie sprawy z niebezpiecznego charakteru tego przedmiotu, pospieszyli do świątyni, by złożyć hołd Dagonowi. Wielu z nich znalazło się niechcący blisko izraelskiej relikwi – prawdopodobnie zbyt blisko. Niewykluczone, że niektórzy nawet dotknęli tej drogocennej, niefrasobliwie błyszczącej skrzyni. I wtedy stało się to, co stać się musiało:

„I zaciążyła ręka Pana na Aszdodczykach; spowodował wśród nich zniszczenia i nawiedzał ich wrzodami odbyticy w samym Aszdodzie i w jego granicach”. (*Pierwsza Księga Samuela*, 5/6)

W przerażeniu wywieziono śmiertcionośną skrzynię z Aszdod i przetransportowano ją do Gat. Lecz i tu także...

„...powstało w tym mieście z ręki Pana bardzo wielkie zamieszanie, i ugodził mieszkańców tego miasta, od małego do wielkiego, tak iż wysypały im się wrzody odbyticy”. (*Pierwsza Księga Samuela*, 5/9)

Filistyńczyków opanowała panika. Po całym kraju, jak długi i szeroki, rozniosła się wieść o śmiertelnym przekleństwie ciążyącym na łupie zdobytym na Izraelitach. Skrzynia została przewieziona dalej, do Ekronu – ale i tutaj doszło do pustoszącej zarazy. Aż wreszcie pięciu rządzących książąt z Gazy, Aszkalonu, Aszdodu, Ekronu i Gat podjęło jednomyślną decyzję pozbycia się zdobyczy, wyrażoną słowami:

„Odeślijcie Skrzynię Boga izraelskiego, nieczaj powróci na swoje miejsce (...) gdyż w całym mieście panowało śmiertelne zamieszanie i dotkliwie ciążyła na nich ręka Boża.

A mężowie, którzy nie pomarli, dotknięci zostali wrzodami odbyticy i krzyk tego miasta wzbił się ku niebu”. (*Pierwsza Księga Mojżeszowa*, 5, 11-5, 12)

Przez siedem miesięcy Skrzynia Świadectwa znajdowała się w rękach Filistyńczyków – teraz wreszcie dano za wygraną. Obok znacznego odszkodowania w złocie – swego rodzaju danin pokutnych, jakie Izraelici wydarli od zgnębionego i zniszczonego moralnie wroga – właścicielom zwrócono także zdobytą relikwię.

Kto jednak sądzi, że wraz z oddaniem skrzyni nastąpił kres sianego z ręki Pana zamieszania, ten się myli. Wprawdzie skrzynia znalazła się ponownie w rękach ludu żydowskiego, lecz jak gdyby w dowód na to, iż nie jest ona narzędziem boskim, lecz raczej niebezpiecznym dla życia urządzeniem, nie czyniła żadnej różnicy między Filistyczynkami a Izraelitami. Nie ulega wątpliwości, że również wtedy, gdy znalazła się w rękach Żydów, początkowo nie była obsługiwana zgodnie ze wskazówkami. Także i w izraelskim mieście Bet-Szemesz, dokąd ją przeniesiono z kraju Filistyńczyków, ów diabelski przedmiot okazał się bezlitosny. W *Pierwszej Księdze Samuela*, 6, ukazana jest historia cierpień tamtejszych obywateli:

„A mieszkańcy Bet-Szemesz żęli właśnie pszenicę w dolinie. Podniósłszy oczy ujrzeli Skrzynię i uradowali się na jej widok (...)

Lewici zdjęli Skrzynię Pańską (z wozu) i skrzynkę ze złotymi przedmiotami, która była obok niej (...)

Pan wytracił siedemdziesięciu spośród mężów Bet-Szemesz za to, że zagląдали do Skrzyni Pańskiej. I odprawił lud żałobne obrzędy, że Pan tak wielki zadał mu cios”. (*Pierwsza Księga Samuela*, 6/13, 15, 19)

Tekst Biblii wyraźnie określa przyczynę katastrofy: kilku ciekawskich zbliżyło się wbrew zaleceniom do skrzyni, nie nałożywszy na siebie niezbędnych, specjalnie spreparowanych szat ochronnych. Ta plaga wrzodowa, pojawiająca się we wszystkich miejscach, gdzie znajdowała się skrzynia, nie była bynajmniej zwykłą zarazą. Podobne do wrzodów rany na skórze, którym towarzyszyły wymioty (o czym mówi się w innym miejscu Biblii), są raczej typowymi objawami poparzeń radioaktywnych.

Sytuacja została opanowana dopiero wówczas, gdy skrzynia znalazła się wreszcie w niezawodnych rękach izraelskich kapłanów – wspomnianych wcześniej Lewitów. Ci bowiem wiedzieli, jak obchodzić się z tym urządzeniem. W tym miejscu na przytoczenie zasługuje fragment *Trzeciej Księgi Mojżeszowej (Leviticus)*.

W rozdz. 16, 1-4 zawarta jest wyraźna wskazówka dotycząca prawdziwego „charakteru” tzw. Skrzyni Pańskiej. Ale podane są w nim także praktyczne reguły postępowania, mające służyć ochronie życia ludzkiego.

Czynnikiem, który spowodował to „boskie” ostrzeżenie, był tragiczny kres synów Aarona – Nadiba i Abihu. Ich śmierć skłoniła zleceniodawcę (lub zleceniodawców) do podjęcia pewnych środków ostrożności. Poza tym wezwano trybuna i nakazano mu, aby porozmawiał poważnie z Lewitą Aaronem, który prawdopodobnie został obciążony winą za lekkomyślne zachowanie swoich synów, ponieważ być może wcześniej sam dawał im zły przykład.

Tak czy inaczej, fragment ten dowodzi, jak bardzo niebezpiecznym instrumentem była owa Skrzynia Świadectwa.

„I przemówił Pan do Mojżesza po śmierci dwóch synów Aarona, którzy zmarli, gdy zbliżyli się do Pana.

I rzekł Pan do Mojżesza: «Powiedz Aaronowi, bratu swemu, żeby nie wchodził o każdym czasie do miejsca świętego poza zasłonę przed wieko, które jest na skrzyni, aby nie umarł, gdyż ukazę się nad wiekiem w obłoku.

Oto jak będzie Aaron wchodził do świątyni: z młodym cielcem na ofiarę za grzech i baranem na ofiarę całopalną.

Ubierze świętą lnianą tunikę i na ciele swoim będzie miał lniane spodnie, opasze się lnianym pasem, nawinie sobie lniany zawój. Są to szaty święte; obmyje najpierw swoje ciało wodą, a potem je wdzieje.»”

Jak widać, strażnicy izraelskiej „relikwi” musieli przestrzegać surowych nakazów. Do Namiotu Zgromadzenia, w którym znajdowała się Skrzynia Pańska, wolno im było wejść w ściśle określonych i specjalnie w tym celu przygotowanych szatach. I nie chodziło tu jedynie o zwykłe szaty rytualne, lecz o specjalną materię ochronną, jak z naciskiem podkreśla się to w *Księdze Wyjścia*, 28, 36-28, 38.

„Zrobisz też diadem ze szczerzego złota i wryjesz na nim jak na pieczęci napis: Poświęcony Panu.

Przymocujesz go sznurem z fioletowej purpury do zawoju na głowie. Będzie on na przedzie zawoju.

Aaron będzie go miał na czole (...) I będzie zawsze na jego czole dla wyjednania im łaski pojednania”.

A zatem Aaron i pozostali kapłani byli nakłaniani do noszenia swego rodzaju osłony na oczy chroniącej przed oślepieniem, zawsze gdy znajdowali się w Namiocie Zgromadzenia przed Skrzynią Świadectwa (czego synowie Aarona wyraźnie nie wzięli sobie do serca). Jak wynika jasno z opisu, również szata była wysoko zapięta i przykrywała całe ciało z wyjątkiem głowy oraz rąk. Wrażliwe miejsca skóry, a więc twarz i dłonie, należało namaścić, czyli natrzeć ochronnym olejkiem. Chroniło to Mojżesza także podczas jego spotkań z „Panem” na tzw. Górze Pana i w czasie określonych prac przy urządzeniu w Namiocie przed szkodliwym działaniem promieniowania radioaktywnego. Albowiem to właśnie tylko ono mogło doprowadzić do takiej „zarazy”, jaka dotknęła Filistyńczyków.

Jednakże namaszczać się musieli nie tylko spełniający swe posługi Lewici – Mojżesz otrzymał polecenie, aby olejkiem ochronnym natrzeć również wszystkie przybory. To, co egzegeci uznali później jedynie za czynność kultową, a nam wydało się wytlumaczalne jako rytuał, w rzeczywistości miało swe na wskroś techniczne znaczenie.

Olej ma wśród wielu innych i tę chwalebłą właściwość, że chroni przed korozją przedmioty cenne dla ich właścicieli. Sporządzenie tego rodzaju krzyżma (uważanego oczywiście za święte)

zlecono Mojżeszowi. W Starym Testamencie wymienione są też niezbędne dla jego powstania składniki i wszystko, co powinno być nim namaszczone:

„A ty weź sobie najprzedniejszych wonności: Pięćset łutów wybornej mirry, wonnego cynamonu połowę tego, czyli dwieście pięćdziesiąt łutów, i wonnej trzciny dwieście pięćdziesiąt łutów, I kasji pięćset łutów według sykla świątynnego, i jeden hin oliwy z oliwek.

Zrobisz z tego święty olej do obrzędowego namaszczenia, wonną mieszaninę, tak jak się sporządza wonności; będzie to święty olej do namaszczenia.

Namaścisz nią Namiot Zgromadzenia i Skrzynię Świadectwa,

I stół, i wszystkie jego naczynia, świecznik i jego przybory, ołtarz kadzenia.

Ołtarz całopaleń i wszystkie jego naczynia, i kadź oraz jej podstawę.

Poświęcisz je i będą świętością nad świętościami. Ktokolwiek się ich dotknie, będzie poświęcony.

Namaścisz też Aarona i jego synów, i poświęcisz ich na moich kapłanów”. (*Księga Wjścia*, 30, 23-30, 30)

Widać wyraźnie, że ów „święty” olej pokrywał skórę jak ochronny filtr, podczas gdy pozostałe części ciała osłonięte były przed szkodliwym działaniem radioaktywności za pomocą specjalnego ubrania. Psalm 133, 2 opisuje to dosyć obrazowo w tonie uroczystym:

„Jest to jak cenny olejek na głowie,
który spływa na brodę,
na brodę Aarona,
sięgającą brzegu jego szaty”.

Elektrownia atomowa za czasów Mojżesza?

Każdy, kto miał możliwość być kiedyś w nowoczesnej elektrowni atomowej lub obejrzeć jej wnętrze na filmie czy w telewizji, przypomina sobie z pewnością ubrania ochronne, jakie zgodnie z przepisami muszą mieć na sobie wszystkie pracujące tam osoby. Te specjalne stroje służą bezpieczeństwu naukowców i techników, zapewniając im ochronę przed szkodliwym wpływem promieniowania. Oczywiście nie daje to stuprocentowego zabezpieczenia, dlatego też ostrożne i zgodne z przepisami postępowanie personelu jest nie tylko nakazem, lecz po prostu koniecznością życiową. Do czystości przywiązywali też szczególną wagę od samego początku zleciodawcy patriarchy Mojżesza. Nie będzie chyba przesadą z naszej strony, jeśli źródła określonych czynności kultowych religii żydowskiej, stosowanych jeszcze dzisiaj – rytualne obmywanie i namaszczenie części ciała – doszukiwać się będziemy w prawie Mojżeszowym, rozumianym jednak zupełnie inaczej. Prawo to, naszym zdaniem, podporządkowane było pierwotnie specyficznemu zadaniu, a mianowicie służbie Lewitów przed Skrzynią Pańską.

W każdym razie Mojżesz otrzymał wówczas jasne wskazówki, jak należało przygotować szaty, które on i jego kapłani mieli nosić w Namiocie Zgromadzenia:

„Płaszcz pod efod zrobisz cały z fioletowej purpury.

W jego środku będzie otwór na głowę. Otwór ten będzie miał dokoła obwódkę utkaną jak w otworze skórzanego pancerza, aby się nie podarł.

Na jego dolnych brzegach zrobisz dookoła jabłuszka granatu z fioletowej i czerwonej purpury i z karmazynu, a między nimi wokoło złote dzwoneczki.

Złoty dzwoneczek i jabłuszko granatu, i znowu złoty dzwoneczek i jabłuszko granatu będą dookoła na dolnych brzegach płaszcza.

Aaron będzie miał to na sobie podczas pełnienia służby, aby słychać było dźwięk wokół niego, gdy będzie wchodził do miejsca świętego przed Pana i gdy będzie wychodził, aby nie umarł”. (*Księga Wjścia*, 28, 31-28, 35)

W opisie tej „kultowej szaty” szczególną uwagę zwracają „złote dzwoneczki”. Zgodnie z zaleceniem należało je przyczepić na dolnych brzegach płaszcza. Miało to swoją uzasadnioną przyczynę: złote dzwoneczki służyły jako sygnał dla tych Lewitów, którzy podczas określonych „świętych” czynności (czyli w czasie obsługi technicznej Skrzyni Świadectwa) znajdowali się na zewnątrz namiotu.

„Podczas wędrówki przez pustynię dostęp do Najwyższego miał Mojżesz i wszyscy kapłani,

jednakże potem, w świątyni, dopuszczany był tylko ten najwyższy kapłan, i to wyłącznie w ten dzień”, twierdzą Brytyjczycy George Sassoon i Rodney Dale w oparciu o wnikliwą analizę *Kabały* – żydowskiej nauki tajemnej. (*Die Manna-Maschine*, Raastatt 1979)

„Nikt nie wie, co on tam wtedy robił – istnieje wszakże jedna wskazówka świadcząca o tym, że nie chodziło tu o czynność religijną w dzisiejszym rozumieniu. Zgodnie z tekstem *Zoharu* (głównej części *Kabały*) miał on wokół kostki złoty łańcuch, który ciągnął za sobą. Gdyby coś się nie udało lub gdyby zginął czy został ranny, inni kapłani wyciągnęliby go przy jego pomocy. Po co więc takie środki ostrożności podczas spełniania czynności religijnej? Co prawda istnieją przekazy mówiące o mistykach zmarłych w stanie religijnej ekstazy, tu jednak istniało raczej realne, konkretne zagrożenie – niebezpieczeństwo, którego ofiarą padli synowie Aarona i Uzzy. Najwyżsi kapłani nie byli też ludźmi aż tak starymi, by w każdej chwili umrzeć. A zatem to, co znajdowało się w Namiocie, musiało być w istocie przedmiotem niezwykle niebezpiecznym”.

Stąd też te dzwoneczki. Jeśli zamilkły na dłużej, wówczas osoby czekające na zewnątrz Namiotu wiedziały, że musiało się stać coś groźnego.

To, że analizując wydarzenia przedstawione w Starym Testamencie, zaczęliśmy dopatrywać się w zleceniodawcach Mojżesza pozaziemskich przybyszów, przypisać należy także tekstom *Kabały*, dostarczającym wyraźnych wskazówek w tym kierunku. Przykładem może być legenda dotycząca istoty o imieniu Metraton. Jest on określany jako Yorde Merkabah – przywódca rzekomych „niebieskich” podróżnych, którzy niekiedy zstępowali na ziemię w swych „latających wozach” i znali wszelkie tajemnice gwiaździstego nieba.

Od rabiego Simona ben Jachai dowiadujemy się ponadto w *Zoharze*, że kronikarze *Kabały* od dawna spodziewali się przybycia wyższych istot z kosmosu.

Czy również Mojżesz o tym wiedział?

Jeśli tak – a możemy z całą pewnością przyjąć, że ten, prawdopodobnie nieślubny syn córki faraona, otrzymał rozległe wykształcenie kapłańskie – to do jakich mógł dojść wniosków?

Pewne sugestie na ten temat zawarte są nie tylko w Biblii, ale także w mitologicznych przekazach egipskich z czasów Starego Państwa. Eliphaz Levi (jego prawdziwe nazwisko brzmiało Alphonse-Louis Constant) (1810-1875), jeden z najbardziej uczonych okultystów francuskich, autor ponad dwustu dzieł, powoływał się w swych pracach na niezwykle umiejętności kapłanów starożytnego Egiptu. Byli oni w stanie, jak twierdził, wedle własnego uznania świątynie swe „spowijać w chmurach”, a także rozświetlać „nadziemską jasnością”. Co miało taki skutek, że w otoczeniu świątyń „za dnia było ciemno choć oko wykol, nocą zaś jasno niczym w dzień”. Lamy zapalały się w cudowny sposób „jakby same z siebie”, wizerunki bogów nagle „promieniały światłem”, a odległe, stłumione grzmoty wzbudzały strach wśród wiernych.

Czy mamy powody, by potępiać w czambuł wszystkie te opowiadania? Czy przypadkiem nie pora już poświęcić tym starym tekstom więcej uwagi? Zweryfikować je i bez uprzedzeń poddać analizie? Żaden naród epoki starożytnej nie potrafił lepiej zaprezentować się od praktycznej strony niż naród egipski!

V. Pionierzy, badacze, rabusie

Czy młodemu, ambitnemu archeologowi mogłoby przytrafić się coś gorszego? Gorszego niż to, co spotkało idola wszystkich badaczy starożytności, Francuza Auguste'a Mariette'a?

Akurat jego, któremu już na początku wykopaliskowej działalności dane było w połowie ubiegłego stulecia odkryć i wydobyć na światło dzienne prawdziwe archeologiczne skarby, jego właśnie pomawiano o ponowne zakopanie znalezisk z martwego miasta Abu'u-Naga w Dolinie Królów! „W charakterystycznym miejscu”, jak zlecił Mariette'owi wysoki urząd egipski.

A wszystko to z powodu zapowiedzianej wizyty Ludwika Bonaparte, kuzyna Napoleona III, który miał przybyć z Paryża. Cesarski wysłaniec uparł się, że musi obejrzeć archeologiczne zabytki starożytnego Egiptu. I to najlepiej dopiero co odkryte. Tak więc muzealne artefakty z zamierzczej przeszłości zostały umiejętnie zakopane przez Auguste'a Mariette'a wyłącznie po to, by podczas wizyty Ludwika Bonaparte na miejscu wykopalisk móc je niby przypadkowo wydobyć na światło dzienne.

Wysiłki te okazały się jednak daremne. Młody egiptolog nie miał sposobności, by osobiście udostępnić wysoko postawionemu gościowi swe znaleziska. Wręcz przeciwnie: kazano mu tylko po raz wtóry wykopać z piasku umiejętnie zakopane w nim przedmioty. Bez Ludwika Bonaparte, który po prostu zmienił swe plany i został w domu.

W tej przykrew sytuacji Auguste Mariette okazał się nie tylko nadzwyczaj utalentowanym i ambitnym archeologiem, ale także niezłym dyplomata. Mimo daremnego manewru w Abu'u-Naga ów młody człowiek postanowił zrobić dobrą minę do złej gry i z własnej inicjatywy spakował swe bezcenne znalezisko i posłał je do Paryża do „rąk własnych Jego Księżęcej Wysokości Ludwika Bonaparte” z uniżonymi ukłonami.

Jego gest został sownie wynagrodzony. Dzięki wpływom rodu Bonapartych we Francji i Egipcie Auguste Mariette otrzymał odwrotną pocztą awans na „Directeur de Service des Antiquités” – czyli głównego konserwatora zabytków egipskich (funkcja przekształcona jeszcze za czasów Mariette'a w stanowisko dyrektora „Service des Antiquités” tj. egipskiego Departamentu Starożytności – przyp. red.). Miało to miejsce w 1858 r. W tym samym roku Mariette został mianowany dyrektorem nowo utworzonego Muzeum Narodowego w Kairze (obecnie jest to Muzeum Egipskie – przyp. red.).

Trzydziestosiedmioletni egiptolog zaczął apelować teraz żarliwie do bractwa zbieraczy dzieł sztuki na całym świecie o okazanie archeologicznym skarbow starożytnego Egiptu należnego im szacunku, o ich ochronę w celu zachowania w nienaruszonym stanie dla przyszłych pokoleń.

„Nie ma potrzeby – pisał – by dodatkowo podkreślać znaczenie tych pomników okalających brzegi Nilu. Dla Egipcjan są to świadkowie ich dawnej wielkości i jak gdyby świadectwa ich starożytnej arystokracji. W oczach cudzoziemców to fragmentaryczne, archiwalne karty z książki historii jednego z najbardziej osławionych narodów świata. Im wyżej wszakże cenimy te pomniki starożytnego Egiptu, tym bardziej powinniśmy się starać, by przetrwały nienaruszone. Od stanu ich konserwacji zależy w dużej mierze postęp owych interesujących studiów, mających za przedmiot historię starożytnego Egiptu. Poza tym zachowanie tego dziedzictwa ma doniosłe znaczenie nie tylko dla nas, korzystających z niego dzisiaj, lecz także dla egiptologów następnych generacji. Jeszcze za lat pięćdziesiąt czy sto, a nawet sto pięćdziesiąt Egipt powinien prezentować odwiedzającym go uczonym te same zabytki, które my dziś opisujemy”.

Mariette wiedział o czym mówi, przestrogi te nie były przypadkowe. Albowiem to właśnie jego rodak, generał Louis Charles Antoine Desaix, napoleoński zarządca Górnego Egiptu (od 1820 r.), wykorzystując swą wysoką pozycję dopuścił się karygodnego czynu o nieodwracalnych skutkach. Otóż pełniąc tę ważną funkcję zadbał o to, aby osławiony kolekcjoner sztuki Sébastien Louis Saulnier, znany jako pozbawiony skrupułów handlarz, zwrócił uwagę na jeden z najcenniejszych okazów starożytności – słynny potem, astronomiczny krąg znaków Zodiaku w świątyni bogini

Hathor w Denerze. Umieszczony był on na płaskim dachu tego miejsca kultu w jednej z kaplic. Wprawdzie jeszcze dzisiaj można podziwiać tę osobliwość, lecz nie jest to już oryginał!

Pas Zwierzyńcowy, bo tak jest nazywany – to doprawdy imponujące dzieło sztuki, pozostawione nam w spuściznie po starożytnym Egipcie. Ogromny krąg usiany jest wizerunkami postaci zwierzęcych, ludzkich i boskich. Wszystkie one zostały wyrzeźbione jak gdyby na powierzchni globusa, otoczone dwunastoma znakami Zodiaku.

Symboliki tego obrazu dopełnia dwanaście postaci różnych bogów i bogiń z uniesionymi ramionami i rozłożonymi dłońmi, umieszczonymi wokół globusa. Twórcy dzieła potrafili znakomicie przedstawić w formie rzeźby całe uniwersum z jego bezkresnym ruchem.

Pas Zwierzyńcowy jako opis nieba powinien być dziś odczytywany i interpretowany wyłącznie w odniesieniu do określonej przeszłości. O jaką epokę chodzi, pozostaje tajemnicą. W każdym razie układ przedstawionych w nim konstelacji nie odpowiada temu, jaki dzisiaj widoczny jest na niebie.

Handlarz sztuki Louis Saulnier natychmiast zorientował się, co to za klejnot czeka na właściciela. Skierował zatem wszystkie swoje wysiłki na zdobycie tej rzeźby. Oczywiście miało się to odbyć jak najniższym kosztem, by móc ją potem sprzedać za odpowiednio wysoką sumę.

Saulnier przemyślał wszystko dokładnie. Udało mu się znaleźć i pozyskać dla swych złodziejskich planów człowieka, który szukając przygody, gotów był przywłaszczyć sobie (przemocą i nielegalnie) Zwierzyńca z kaplicy świątyni w Denerze. Następnie dzieło to miało być przewiezione najszybciej, jak to tylko możliwe, do Kairu. Wspólnik Saulnier nazywał się Jean Baptiste Lelorrain. Jego zleceniodawca zaopatrzył go w okrągłą sumkę na wypadek ewentualnych kłopotów finansowych. W swoim bagażu Lelorrain ukrył ponadto delikatny ładunek: kilka kilogramów czarnego dynamitu. Za jego pomocą – gdyby młotek i dłuto miały okazać się niewystarczające – zamierzał wyrwać Zwierzyńca ze sklepienia kaplicy.

Tak zaopatrzony wyruszył do Aleksandrii, gdzie rzeczywiście udało mu się przeszmyglować materiał wybuchowy na ład. Następnie, udając zwykłego turystę, przyjechał do Dendery i dostawszy się na dach świątyni, miał dość czasu, by dokładnie zbadać położenie Zwierzyńca na sklepieniu stropowym i przygotować grabież. Przede wszystkim od razu stwierdził całkowitą bezużyteczność młota i dłuta. Okazało się bowiem, że rzeźba umocowana jest w stropie zbyt solidnie i trzeba ją po prostu wysadzić.

Lelorrain, wykształcony inżynier i biegły technik, poczynił więc rozległe przygotowania. Na początek zatrudnił kilku fellachów, co przy nędzy tych ludzi nie było wcale trudne – wynagrodził ich jednak dość sownie. Teraz mógł już przystąpić do swego niecznego czynu.

Najbardziej korzystną porą dla jego poczynań, jak wiedział z doświadczenia, była sješta. Aby uniknąć prażącego południowego skwaru, zarówno turyści, jak i personel obsługujący świątynię kryli się wówczas w pobliskich restauracjach lub odpoczywali pod ocienionymi łukami budowli.

W ciągu tych kilku godzin wewnątrz świątyni nie było nikogo, podobnie jak i dziś, o czym przekonaliśmy się sami. O tej porze mogliśmy w całkowitym spokoju spędzić cztery godziny w najważniejszej krypcie Dendery i wykonać zaplanowane prace. Nie inaczej było z Lelorrainem. Żaden ze strażników (przekupionych przez niego odpowiednim bakszyszem) nie przeszkadzał mu w jego poczynaniach, toteż bez kłopotu dostał się wraz ze swymi pomocnikami na dach świątyni. Pierwsza próba wysadzenia nie powiodła się. Konstrukcja dachu kaplicy była zbyt masywna. Mała grupka nie szczędziła jednak wysiłków, aż wreszcie po dwóch tygodniach udało się wysadzić dach. Ale nawet wtedy musiano się jeszcze niemało natrudzić, by za pomocą pił i dłut oddzielić kamienną mapę nieba od jej umocowań.

Również przy próbie wywiezienia łupu pojawiły się nieoczekiwane trudności. Niewiele brakowało, a Zwierzyńca w trakcie przeladunku na wynajętą łódź znalazłby się za burtą. Ciężar tej rzeźby był wystarczająco duży, by zapaść się raz na zawsze w mule pokrywającym dno Nilu. Drogocenny skarb starożytnego Egiptu byłby wówczas nieowołałnie stracony dla potomnych.

Lelorrain miał jednak niezwykle szczęście. Zdołał bowiem dowieźć łup w nienaruszonym stanie do Paryża i przekazać go swemu zleceniodawcy.

Zwierzyńca z Dendery okazał się dla wszystkich zainteresowanych niezwykle intratnym nabytkiem. Lelorrain został sownie nagrodzony przez Saulnier, a ten bezwzględny handlarz sztuką też wyszedł na swoje, albowiem sprzedał ów cenny klejnot za pokaźną sumę 150.000 franków nikomu innemu, tylko samemu królowi Francji, Ludwikowi Filipowi.

Od tamtej pory w kaplicy Ozyrysa na płaskim dachu świątyni Hathor można oglądać jedynie gipsowy odlew kamiennej mapy nieba. Oryginalny krąg znaków Zodiaku znajduje się w Luwrze.

Człowiek, który odkrył Denderę

Jeszcze wiele dziesięcioleci po tym spektakularnym rabunku nie mógł przejść nad nim do porządku dziennego człowiek, dla którego ochrona dziedzictwa kulturowego starożytnego Egiptu stanowiła sprawę nadrzędnej wagi. Był nim ów Francuz o nazwisku Mariette, który w 1858 r. został mianowany pierwszym dyrektorem Muzeum Egipskiego w Kairze.

Urodzony w 1821 r. w Boulogne, Auguste Ferdinand Francois Mariette (tak brzmi jego pełne nazwisko) bardzo wcześnie poświęcił się studiom archeologicznym, szczególnie zainteresowanie okazując egiptologii.

Po ukończeniu studiów, jako dwudziestoosmiolatek, otrzymał posadę asystenta naukowego w Luwrze. Choć niewielkiego wzrostu, stał się z biegiem czasu wybitną osobistością dzięki swej gruntownej wiedzy zdobytej podczas siedmiu lat studiów uniwersyteckich. Mówił doskonale po angielsku i arabsku i płynnie czytał hieroglify. Ze szczególnym oddaniem zajmował się tekstami staroegipskimi, przekładając je umiejętnie na francuski.

Jednakże nie tylko Francuzi, ale i Anglicy byli w owym czasie nadzwyczaj aktywni w tej dziedzinie. Wyspiarscy archeolodzy penetrowali pilnie Egipt i skupywali stare pisma, na co zwrócono uwagę we Francji. Nie mając ochoty przyglądać się dłużej bezczynnie, jak najcenniejsze znaleziska wędrują do Londynu, paryska Akademia Nauk postanowiła wysłać do kraju nad Nilem kogoś ze swoich, by uprzedzić Anglików. Wybór padł na asystenta naukowego Auguste'a Mariette'a, który otrzymał zadanie sprzątnięcia sprzed nosa konkurentom z Wielkiej Brytanii najcenniejszych papirusów.

Był wówczas rok 1850. 2 października młody egiptolog po raz pierwszy zobaczył kraj swoich marzeń. Znalazłszy się w Kairze, od razu przystąpił do działania. Natychmiast wybrał się z wizytą do patriarchatu koptyjskiego, licząc na to, że poprzez koptyjskie klasztory dotrze do staroegipskich papirusów. Lista życzeń przedłożona przez niego braciom zakonnym była obszerna, prosił w niej o manuskrypty koptyjskie, syryjskie, arabskie i etiopskie z przeznaczeniem dla narodowych zbiorów francuskich. I tu zapał Mariette'a został raptownie ostudzony. 17 października patriarchat koptyjski poinformował go, iż podjęcie decyzji w sprawie jego prośby dotyczącej zakupu papirusów wymaga dłuższego czasu.

Mariette był niepomiarnie zawiedziony. Chcąc rozproszyć ponury nastrój, wspiał się na szczyt kairskiej cytadeli, gdzie zatopiony w rozmyślaniach, wpatrywał się w drzemiące pod nim miasto.

„Otoczone złotą mgłą i ognistoczerwonym blaskiem zachodzącego słońca, stojące blisko siebie piramidy dawały imponujący spektakl, który całkowicie mną zawładnął i pogrążył w bolesnym niemal ciepieniu”.

Ten nadzwyczaj plastyczny opis Auguste Mariette nakreślił dopiero w siedem lat później.

Pionier w podziemnym świecie Hathor

Mimo że prowadzone przez Mariette'a poszukiwania byków Apisów nie zostały uwieńczone sukcesem (choć nie jest do końca pewne, czy potężne sarkofagi służyły boskim zwierzętom kultowym), to nie ulega jednak wątpliwości, że należał on do najbardziej czynnych archeologów swej epoki. Był też pierwszym egiptologiem, który polecił dokładne skatalogowanie wszystkich znalezisk w tym kraju, i pomysłodawcą założenia w Kairze muzeum gromadzącego najważniejsze dzieła sztuki tego kręgu kulturowego. I wreszcie – o czym z pewnością wiedzą tylko nieliczni – to jemu właśnie poświęcone jest libretto opery *Aida*, skomponowanej przez Giuseppe Verdiego z okazji otwarcia Kanału Sueskiego. W 1879 r. ten żądny czynu Francuz, dla którego Egipt już dawno stał się drugą ojczyzną (i gdzie faktycznie żył), w uznaniu zasług dla tego kraju otrzymał tytuł paszy. Jego sarkofag znajduje się na dziedzińcu Muzeum Egipskiego w Kairze.

My jednak chcemy teraz zająć się tym okresem życia Mariette'a, gdy ów czołowy reprezentant francuskiej egiptologii przybył po raz pierwszy do Dendery, by z największą wnikliwością oddać

się badaniu świątyni bogini Hathor. To święte miejsce starożytnych Egipcjan wywarło na nim szczególne wrażenie. Był pierwszym, który podjął próbę wytropienia tajemnicy tego miejsca kultu; pierwszym, który bez namysłu, jak zawsze ambitnie, przystąpił do poszukiwania archeologicznych skarbów w nieznanym podziemnym świecie świątyni, na głębokości trzech kondygnacji. Tutaj właśnie, ukryty w wąskich, dusznych i całkowicie pozbawionych światła katakumbach (łącznie dwunastu), przy słabym świetle olejnej lampy z zapartym tchem studiował niezwykle płaskorzeźby, którymi przed tysiącami lat pokryto ściany krypty.

Zdolności do rysunku, jakimi wyróżniał się Mariette, wspierały talent badacza. Pewną ręką i delikatną kreską szkicował niezrozumiale często dla niego motywy, które dopiero w wiele lat później, w 1869 r., zaprezentował w swym pięciotomowym dziele poświęconym Denderze. Nie była to zresztą jedyna publikacja zajmująca się świątynią Hathor. W osiem lat potem, w 1877 r., niemiecki badacz starożytności Johannes Dümichen wydał swą książkę *Bauurkunde von Dendera* („Dokument budowy Dendery”).

Fakt, że Auguste Mariette w czasie swych pierwszych badań świątyni Hathor posługiwał się ołówkiem, a nie jak czynimy to dzisiaj – aparatem fotograficznym, wynikał z tego, iż w owych latach sztuka fotografii znajdowała się jeszcze w powijakach. Pierwsza, niezupełnie skuteczna technika zmierzająca w tym kierunku została opracowana przez rodaka Mariette’a, malarza i wynalazcę Louisa Jacques’a Mandé Daguerre’a w 1838 r. Była to dagerotypia – *de facto* poprzedniczka fotografii. Do sporządzania dagerotypów służyła camera obscura – ciemnia optyczna, w której obraz przedmiotu rzutowano na posrebrzoną płytę miedzianą, uczuloną parami jodu. Po długotrwałym naświetleniu obraz utajony wywoływano parami rtęci, uzyskując w ten sposób unikalny obraz pozytywowo.

Potem przyszła kolej na proces kolodionowy (Archer 1851), suche płyty (Maddoy 1871), wywoływanie barwotwórcze (Vogel 1873) i wreszcie na wynaleziony przez amerykańskiego przemysłowca George’a Eastmana film zwojowy (1884), po którym w cztery lata później powstał aparat Kodaka. Eastman założył wówczas znaną dziś na całym świecie firmę Eastman-Kodak.

To, co było jeszcze niedostępne Mariette’owi, sześćdziesiąt pięć lat później, tj. w roku 1934, umożliwione zostało jego rodakowi, egiptologowi Emile’owi Chassinatowi. W latach 1934-1952 opublikował on kilka tomów zawierających liczne, precyzyjnie wykonane czarno-białe fotografie, z przeznaczeniem dla Institut Français d’Archéologie Orientale w Paryżu, przy czym wszystkie zostały wydane w Kairze (*Le Temple de Dendera*, t. 1-4, Kair 1934). Dla czytelnika interesująca może być informacja, że większości przedstawionych przez Chassinata na zdjęciach wizerunków nie można już oglądać w naturze. Począwszy od jesieni 1973 r. w świątyni bogini Hathor w Denderze turystom wolno jeszcze zwiedzać tylko jedną kryptę. Jedenaście pozostałych zamknięto dla zwiedzających z różnych powodów (o których będzie mowa dalej), a prowadzące do nich wejścia zagrodzono żelaznymi drzwiami.

Choć Auguste Mariette pracował bardzo pilnie i z niezwykłą skrupulatnością przynosił na papier różne wizerunki z podziemnych płaskorzeźb, nie mógł jednak zaprzeczyć, iż nie rozumie znaczenia kopiowanych motywów. W swoim pięciotomowym dziele zupełnie szczerze wyznaje, że ani teksty hieroglificzne, ani związane z nimi scenki obrazkowe nie podsunęły mu „żadnych wskazówek ułatwiających zrozumienie rysunków”. I nie ma się co dziwić. Gdy Mariette pracował nad wielkim dziełem o Denderze (ukazało się w 1869 r.), Edison nie dokonał jeszcze swego epokowego wynalazku, jakim była żarówka (1871). Niewykluczone więc, że pojęcie „elektryczność” było całkowicie obce francuskiemu badaczowi. Jak zatem mógł zrozumieć prawdziwą wymowę jedynych w swoim rodzaju rzeźb? „Chociaż Mariette nie potrafił dostrzec w tych rysunkach niczego rozsądnego”, stwierdza duński pisarz i inżynier elektryk Tons Brunés, „to zdumiewający jest fakt, że w obecnych czasach nikt nie podejmuje próby nowej interpretacji tego osobliwego materiału. Przy naszej bowiem wiedzy o elektryczności i procesach energetycznych nie trzeba wiele fantazji, aby rozpoznać w tych wizerunkach źródło energii, jakim jest elektryczność”. (*Energien der Urzeit* [„Energie czasów pierwotnych”], Zug 1977)

A zatem niezrozumienie przez Mariette’a faktycznego znaczenia dokumentów z Dendery należy usprawiedliwić tym, że ukazane są w nich techniki, które stały się powszechnym dobrem dopiero w wiele lat czy dziesięcioleci później. Dziwić musi jednak tak często prezentowana ignorancja i jednotorowość współczesnych badań egiptologicznych dotyczących interpretacji płaskorzeźb świątynnych. Można wręcz odnieść wrażenie, że czynienie pożytku z ludzkiej wyobraźni uważane jest tutaj za godne potępienia przestępstwo.

Tym wyżej należy dziś ocenić pracę Mariette'a, który choć nie znajdował w naściennych rycinach żadnych zrozumiałych dla siebie informacji, nie zważając na nic, pedantycznie odtwarzał ołówkiem poszczególne sceny. Trzeba również okazać wyrozumiałość dla wysiłków, z jakimi badacz ten starał się odnaleźć sens owych wizerunków, opierając się na ówczesnym obrazie świata. „Z jego punktu widzenia i na podstawie jego przesłanek interpretacje te są słuszne”, stwierdza cytowany wyżej Brunés, „jednakże w naszych czasach interpretacja taka jest niewystarczająca”.

Zdaniem Brunésa przesłanki zrozumienia prawdziwego znaczenia tych rycin naściennych uległy obecnie zmianie i „dlatego też cała ta sfera musi być na nowo zbadana z największą dokładnością – z jednej strony przez egiptologów, z drugiej zaś przez techników, którzy potrafiliby zinterpretować przełożone teksty”. Tylko wtedy, pisze dalej Brunés, okaże się możliwe wyczytanie „z tej gigantycznej biblioteki w kamieniu” zupełnie innych treści niż do tej pory.

Mafia – czy kto?

Chcemy teraz zaproponować naszym czytelnikom wspólną wycieczkę w niedawną przeszłość Egiptu. Wsiądnijmy zatem do wymyślanego „wehikułu czasu” i zawróćmy go do roku 1972. Jest miesiąc grudzień. Ale może to być także rok następny (gdzieś między styczniem a październikiem). W tym bowiem czasie wydarzyła się w Denderze rzecz niepojęta. Grabież dzieł sztuki na największą skalę, i to za wyraźnym przyzwoleniem odpowiedzialnych władz. Dosłownie na ich oczach nie znani wówczas sprawcy splądrowali dwanaście podziemnych komór w świątyni Hathor, po czym wywieźli bezcenne dobra kultury z kraju, korzystając z cichej życzliwości oficjalnych urzędów. Te bowiem początkowo nie przedsięwzięły żadnych kroków w celu schwywania sprawców. A gdy wreszcie, dla zachowania pozorów, przystąpiono do działania – było już o wiele za późno. Niepowtarzalne i nadzwyczaj cenne płaskorzeźby zniknęły na zawsze.

Od tamtej pory jedenaście z dwunastu krypt Dendery jest niedostępnych dla zwiedzających. Położone najniżej zostały w dotkliwy sposób uszkodzone przez wody gruntowe, ale znajdujące się ponad nimi ucierpiały głównie z ręki człowieka. Czy to niegodna żądza zysku dokonała spustoszenia wśród tych bezcennych dóbr kultury starożytnego Egiptu – czy też powody były jeszcze bardziej nieczne?

Jednym z tych, który chciał uzyskać odpowiedź na to pytanie, był niemiecki podróżnik Peter Ehlebracht. Podjął się on trudnego zadania wytropienia pozacieranych śladów przedsięwzięcia, które nie miało sobie równych. Swoje odkrycia opublikował w roku 1980 w książce *Haltet die Pyramiden fest!* („Trzymajcie piramidy!”), wypowiadając się w niej na temat różnych grabieży w Egipcie i kierując pod adresem władz nieprzyjemne pytania. Co oczywiście, jak można się domyślić, nie przysporzyło mu popularności.

„Na słowo Dendera – pisze Ehlebracht – inspektor okazał jeszcze większą rezerwę, zrobił się wręcz nieprzyjemny; trwożliwy człowiek, który udawał chłód; starał się nie patrzeć na mnie, co w kulturze arabskiej oznaczało obrazę... Na moje pytania odpowiadał milczeniem... Nie uznawał przepustek z Państwowego Centrum Informacyjnego w Kairze, a nawet egipskiej legitymacji prasowej, działającej zazwyczaj jak zaklęcie «sezamie, otwórz się». W błękitnej willi paszy szef policji Qeny przyjął mnie podobnie: «Pozwalamy Panu na to, na co pozwalamy turystom – oświadczył – Niech Pan nie pyta o wydarzenia z 1973 r.!»”.

Kto zechciałby opowiedzieć, co zdarzyło się w owych miesiącach między grudniem 1972 a październikiem 1973 za grubymi murami świątyni w Denderze? Kto byłby gotów wytłumaczyć się z tego udanego rabunku dzieł sztuki, przeprowadzonego wyraźnie za przyzwoleniem najwyższych czynników? Prawdopodobnie znaczny „bakszys” (ulubiona waluta zubożałych Egipcjan) skłonił te osoby do przymknięcia oczu i milczenia, o co przecież chodziło złoczyńcom. „Również inne świątynie egipskie mają krypty, ale jedynie te w Denderze były ozdobione wizerunkami o «wyszukanej formie»”, stwierdził Peter Ehlebracht. „Tego rodzaju płaskorzeźby były oznaką szczególnej dystynkcji i wielkiego bogactwa”.

Nie ma najmniejszej wątpliwości, że rabunek ów, zakrojony na tak wielką skalę, planowany był z daleka. Przez kogo – tego domyślają się lub wiedzą tylko ci, którzy wówczas, mniej więcej dwadzieścia lat temu, brali udział w tym niegodziwym czynie, bezpośrednio lub pośrednio

wyrażając nań swą zgodę...

„Kamienne płyty wielkości jednego metra kwadratowego nie dadzą się oderwać od ściany za pomocą szpadla czy pincety”, stwierdza słusznie Ehlebracht. Również ich transport musiał być oficjalnie zamaskowany i zatuszowany, albowiem: „Kradzież trwająca kilka miesięcy mogła być dokonana – zdaniem Ehlebrachta – jedynie przy współpracy gafirów (strażników grobowców) i pod kierownictwem osób biorących pod uwagę każde odkrycie. W Denderze działała spółka do spraw grabieży...”

To zadziwiające, jak bezradne okazały się władze egipskie po stwierdzeniu przestępstwa. A i później, gdy od dyrektora jednego z muzeów niemieckich nadeszła informacja, że na międzynarodowym rynku dzieł sztuki pojawiła się płyta z płaskorzeźbą ze świątyni bogini Hathor z Dendery i oferowana jest na sprzedaż, nie nastąpiła z ich strony żadna reakcja. Bardzo to dziwne zachowanie czynników oficjalnych.

Ze świątyni skradziono ponad piętnaście fragmentów płaskorzeźby. Tak przynajmniej wykazało późniejsze dochodzenie. Tym dziwniejsze więc wydaje się uparte milczenie odnośnych władz. Czyżby zostały nakłonione do tego, by puścić wszystko w niepamięć?

Takie przypuszczenie jest bardzo prawdopodobne, niewykluczone bowiem, że prawdziwe tło grabieży z Dendery jest subtelniejszej natury, niż się przyjmuje. Kilka lat później w środkach masowego przekazu pojawiła się plotka, mówiąca ni mniej, ni więcej, tylko o tym, że to skandaliczne złupienie krypt Dendery było przygotowywane od dawna i negocjowane na najwyższym szczeblu. I nie żadna mafia złodziei dzieł sztuki, lecz rządy Francji i Egiptu, jako właściwi inspiratorzy całego przedsięwzięcia, ponoszą odpowiedzialność za ten haniebnny czyn. Tak czy inaczej, zaginione płaskorzeźby zniknęły podobno w archiwach Luwru, gdzie miano je poddać naukowej ocenie. To, co przydało się Francji, mogło stanowić dla Egiptu wsparcie finansowe.

VI. Dendera wzywa!

Nazwa Dendera znalazła się w kręgu naszych zainteresowań za sprawą dwóch zajmujących książek, napisanych przez Amerykanina i Duńczyka. Pierwszy z nich to wnuk założyciela znanych na całym świecie szkół Berlitz, który jednak zbił fortunę nie na lekcjach angielskiego, lecz na pisaniu bestsellerów poświęconych nie rozwiązaniem dotąd zagadkom położonego na zachodnim Atlantyku „trójkąta bermudzkiego”. Wzbudził on naszą ciekawość, ponieważ w książce pod takim właśnie tytułem pisze o znajomości elektryczności w pradawnych czasach, zwracając w związku z tym uwagę na ściennie płaskorzeźby w kryptach starej świątyni egipskiej.

Widoczne na nich były osobliwe twory, przypominające potężne żarówki, z żarnikami w formie węży. Wszystko to połączone z kapsułą lub przełącznikiem z owiniętymi kablami, co od razu nasuwa skojarzenie z silnymi lampami elektrycznymi, wzmocnionymi za pomocą izolatorów wysokiego napięcia.

Berlitz przytacza też wypowiedź niejakiego dr. Johna Harrisa z Oksfordu, który stwierdził śmiało, iż widoczny tu kabel stanowi „dokładną kopię technicznej ilustracji, powszechnie używanej obecnie”. Jest on przedstawiony jako bardzo mocny „i prądkowaty” i przypomina raczej wiązkę wielu „przeznaczonych do licznych celów” przewodów niż jeden pojedynczy kabel wysokiego napięcia.

Aby zobrazować to przypuszczenie w sposób plastyczny, zamieszcza obok świetnie narysowaną kopię płaskorzeźby ze wspomnianej świątyni.

Ilustracja zawarta w książce Berlitz sprawiła, że postanowiliśmy zbadać dokładnie tę zagadkową sprawę. Nie było najmniejszych wątpliwości, że jeśli motywy z Dendery nie zostały sfalszowane przez rysownika i oddał on ich wymowę zgodnie z prawdą, to wizerunki przedstawione na płaskorzeźbach należało potraktować poważnie.

Drugim punktem oparcia była dla nas książka wspomnianego już wcześniej Duńczyka, Tonsa Brunésa, który w swojej publikacji zajmuje się „energiami czasów prehistorycznych”, wiele miejsca poświęcając zwłaszcza świątyni bogini Hathor w Denderze.

I tutaj także natrafiamy na różne rysowane ilustracje płaskorzeźb ściennych, które zadziwiły nas już u Berlitz.

Brunés wyraża nawet pogląd, że tajemnica elektryczności i jej zastosowania znana była w starożytnym Egipcie i stanowiła podstawę do przeprowadzania eksperymentów. Jako inżynier elektryk jest on w o tyle lepszej sytuacji niż inni autorzy, że może stawiać tego typu fantastyczne hipotezy, nie narażając się na zarzut niekompetencji.

Trzeba przyznać, iż zagadnienie „Dendery” zaczęło nas coraz bardziej fascynować. Zagadkowe ilustracje z obu książek rozbudziły naszą ciekawość i zarazem nieufność. Ciekawość, ponieważ nigdy dotąd nie widzieliśmy nic podobnego; nieufność, bo rysunki te mogły być wynikiem świadomej lub nieświadomej manipulacji. Dlatego też pragnęliśmy uzyskać pewność. Chcieliśmy na własne oczy zobaczyć, jak to jest z tymi płaskorzeźbami. Zależało nam na obejrzeniu ich w oryginale. Mieliśmy zatem jedyne wyjście: W drogę, do Egiptu!

Przedtem jednak należało zebrać jak najwięcej materiału, głównie zaś publikacji znanych egiptologów, przedstawiających ich tok myślenia i opinie na temat ewentualnego znaczenia tych osobliwych wizerunków. Plon naszych poszukiwań był pokaźny, na biurku piętrzyły się stosy opracowań. W żadnym z nich nie było jednak mowy o elektryczności, tajemnicach kapłanów i temu podobnych sprawach. Wnioski wszędzie brzmiały tak samo: na płaskorzeźbach ukazano wyłącznie czynności obrzędowe.

Symbolika była przypadkowa!

Choć wypowiedzi te absolutnie nas nie zadawały, jedno wiedzieliśmy na pewno – należało postarać się o oryginalne fotografie! One stanowiły najlepszą podstawę sumiennego przygotowania naszej wyprawy do Egiptu!

I tak rozpoczęła się „badawcza odyseja” – poszukiwanie zdjęć z krypt Dendery. Przekopaliśmy biblioteki, przetrzasnęliśmy archiwa i wreszcie odkryliśmy to, o co tak gorączkowo zabiegaliśmy – stare książki, od dawna już niedostępne, opublikowane przed 40 lub 50 laty, a zawierające prawdziwy skarb archeologiczny: Fotografie płaskorzeźb z Dendery!

Te zdjęcia nie kłamią. Zostały wykonane przed dziesiątkami lat. Są to zupełnie udane, czarno-białe ujęcia o dobrej ostrości. Wszystkie ukazują ten sam motyw; przypominające balon przedmioty spoczywają w ukośnym położeniu na czterech podpórkach. Są one podobne do wydłużonych kolb. W dolnym końcu przedmioty te zwężają się i są jak gdyby połączone z pięciopłatkowym symbolem kwiatu. Jego łodyga prowadzi do prostokątnego pojemnika. W każdej „gruszce” widoczny jest osobliwy wąż, mający swój początek zawsze w środkowym czubku „kwiatu”. Falistymi ruchami wije się on ukośnie w górę wewnątrz tego balonowatego tworu. Jego głowa jest lekko uniesiona, jakby gotował się do ataku.

Egiptolodzy określają wizerunki na płaskorzeźbach z Dendery jako *karmienie węży*. Czterotętnikowe podpórki nazywane są *filarami dżed*, a symboliczne kwiaty w dolnym końcu pęcherzy interpretuje się jako kwiaty lotosu i ich łodygi.

Nasze wrażenie po obejrzeniu tych starych zdjęć było jednak zupełnie inne: pęcherzowate twory przypominały nam wyraźnie żarówki, agresywne węże zaś symbolizowały być może skuteczność elektryczności. A czterotętnikowe podpórki? Czy jedynie przez przypadek przypominały swym wyglądem nowoczesne izolatory wysokiego napięcia? A kwiaty lotosu i łodygi? Czy nie były w rzeczywistości oprawkami żarówek z dołączonymi do nich kablami? Jaką funkcję spełniały prostokątne pojemniki? Czy chodziło o generatory?

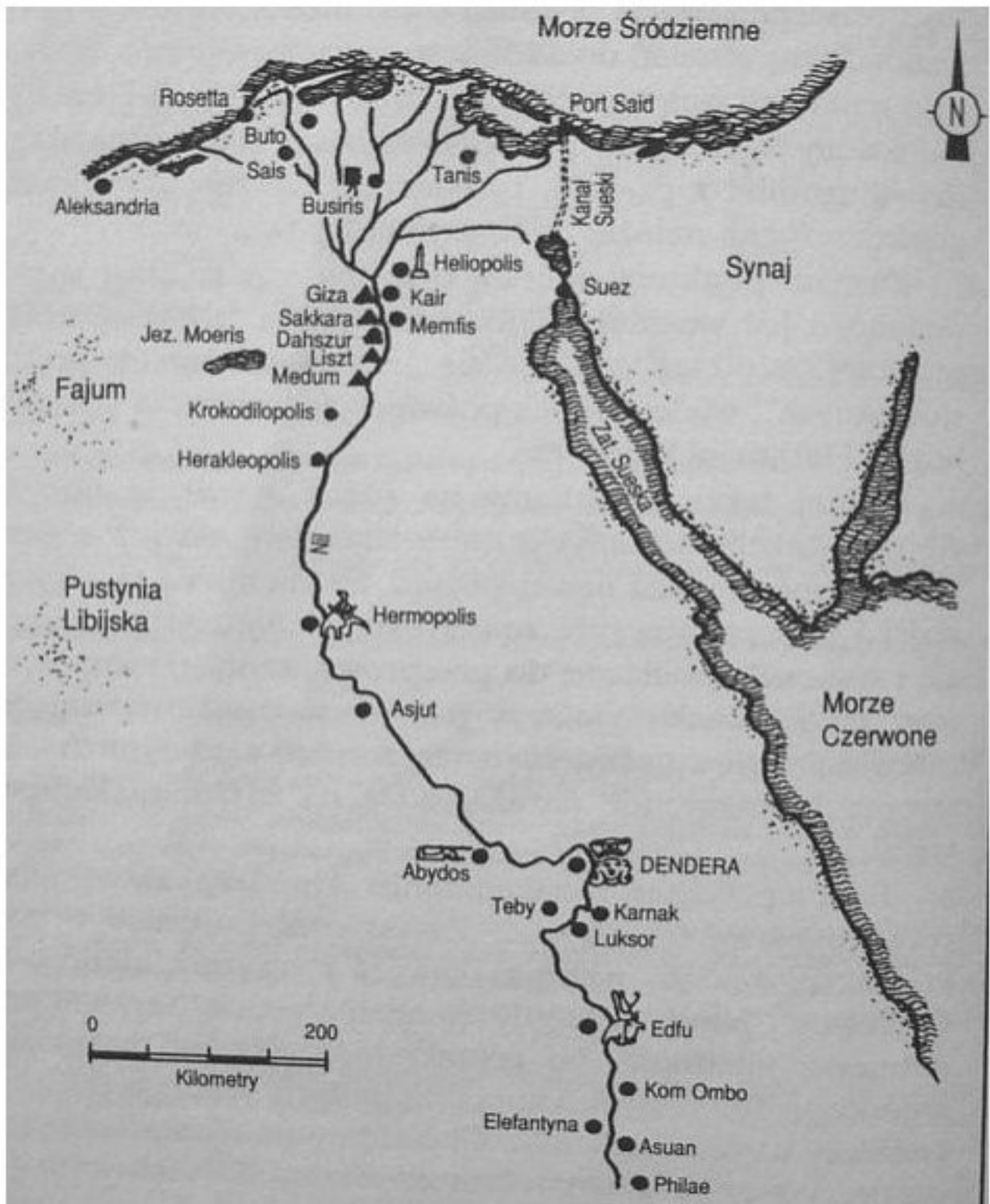
Te czarno-białe fotografie wcale nie rozwiały rodzących się w nas podejrzeń – wręcz przeciwnie! Teraz chcieliśmy mieć jasność; chcieliśmy przekonać się sami. Nasuwało się wiele pytań: Jak duże były te „żarówki”? Kim byli mężczyźni podtrzymujący dłońmi węższą część tych przedmiotów? Czy chodziło o kapłanów świątyni Hathor?

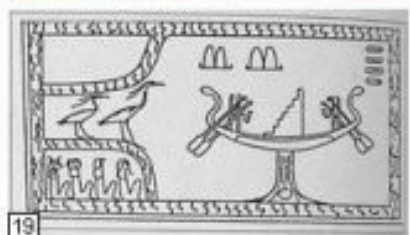
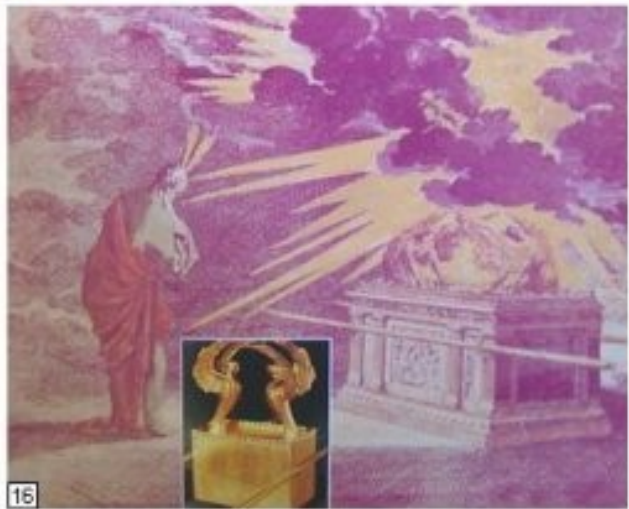
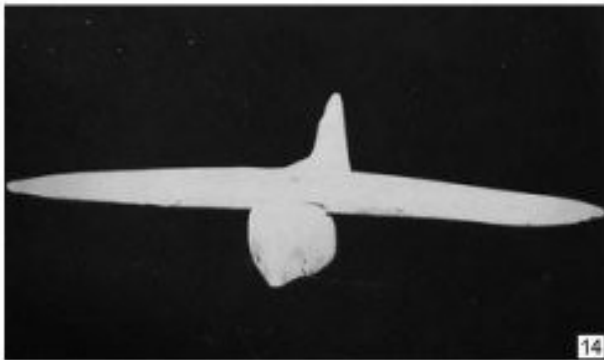
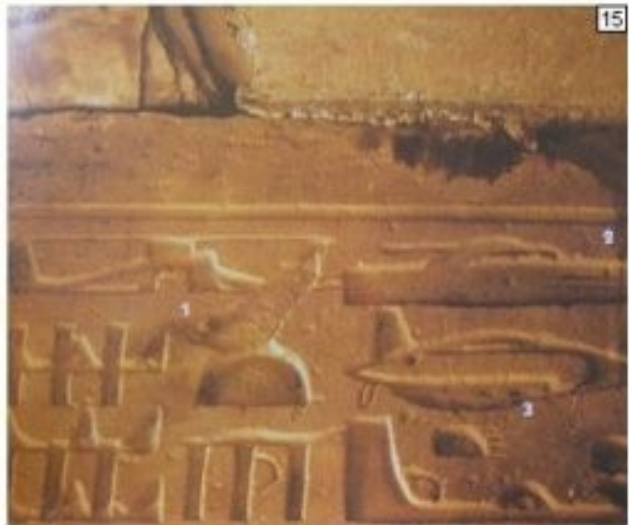
Dlaczego inne osoby przedstawione na płaskorzeźbach były małe? Czy pełniły rolę pomocników – technicznego personelu?

A same żarówki? Czy wykonane były ze szkła? Jaką funkcję przypisywali im kapłani? Czy znajdowały się w codziennym użytku? Czy też posiadały znaczenie wyłącznie rytualne?

Czy w Egipcie uzyskamy odpowiedzi na te pytania? Nie wiadomo.

Termin podróży został ustalony. Zdecydowaliśmy się na październik. W tym czasie upał nie powinien być już tak dokuczliwy. Wszystko było gotowe, pora wyruszać w drogę...





9. Kamień z Rosetty stał się chyba najważniejszym odkryciem egiptologii.

10. Przeniesienie przedmiotu wykopanego 56 lat temu przez austriackiego archeologa Wilhelma Königa w pobliżu Bagdadu zostało potwierdzone w 1978 r. w Hildesheim, gdzie przy pomocy restauratora zabytków

Rolfa Schulte używane przez Partów urządzenie do galwanizacji zamieniło srebrną figurkę w złotą.

11. Świątynia bogini Hathor w Denderze jedynie w 2/5 swej wysokości wznosi się ponad powierzchnię ziemi.
12. Orszak kapłanów zdaje się nieść w pojemniku jakiś cenny przedmiot.
13. Ta płaskorzeźba z grobowca kapłana w pobliżu Sakkary ukazuje wizerunki kilku tzw. skrzydlatych słońc. Były to bez wątpienia staroegipskie obiekty latające.
14. Osiem podobnych modeli samolotów znaleziono kilkadziesiąt lat temu w okolicy Sakkary jako przedmioty stanowiące wyposażenie grobowców. Potwierdzają one wysoki rozwój techniki w królestwie faraonów.
15. Płaskorzeźba ze świątyni Seta w Abydos, która wprawia w zakłopotanie nie tylko turystów obeznanym z techniką. Również egiptolodzy nie są zgodni co do faktycznego znaczenia przedstawionych przedmiotów. Czyżby były to „helikoptery” (1), „czołgi” (2), „łódzie podwodne” (3) i „karabiny maszynowe” (po prawej na dole), stanowiące wyposażenie bojowe starożytnych Egipcjan?
16. W przypadku biblijnej „Skrzyni Świadcstwa” chodziło o przewodzące prąd urządzenie, za pomocą którego Mojżesz i jego Lewici mogli nawiązać kontakt słowny z „władcami Synaju”. Wielokrotnie podejmowano próbę rekonstrukcji kondensatora (mały wizerunek pośrodku na dole).
17. Jedna z „komór niebieskich”, w jakiej bóg słońca Tot przybył podobno z Kosmosu (a). Podobieństwo do znanych nam dzisiaj kapsuł pojazdów kosmicznych jest wprost zaskakujące (b).
18. Świątynia słońca w Abu Gurab. Punktem centralnym całej budowli był obelisk o wysokości 60 m z pozłożonym czubkiem. Symbolizował on te „filary” bogów, przy pomocy których wznosili się oni – podobnie jak nasi dzisiejsi astronauty – w przestrzeń kosmiczną.
19. Statkiem niebieskim Tota była „barka słoneczna”, na której wznosił się on z „Wyspy Płomieni” na słupie ognia w przestrzeń powietrzną i odbywał loty kosmiczne.

Na drodze ku zamierzłym czasom

9 października, punktualnie o 19.27 czasu środkowoeuropejskiego, „Boeing” towarzystwa lotniczego „Egipt Air” oderwał się od pasa startowego wiedeńskiego lotniska. Nosił dumne imię „Aton”, co znaczy tyle samo co „słońce” – choć gdy wylądowaliśmy w Kairze, dawno już minęła północ. O śnie nie było mowy, mimo że następny samolot mieliśmy dopiero rano. Po pięciu godzinach, spędzonych w hali kairskiego lotniska udaliśmy się w dalszą podróż do Assuanu. Transfer do hotelu odbył się bez zakłóceń.

Trzy pierwsze dni wykorzystaliśmy na przyzwyczajenie się do tamtejszego klimatu. Różnica między jesienną, chłodną Austrią a tropikalnym, gorącym Egiptem nie była dla nas bynajmniej bez znaczenia, ale przetrwaliśmy również i to. Podobnie jak i powtarzane monotonnie okrzyki tubylców, którzy – czy młodzi, czy starzy – towarzyszyli nam w naszych spacerach po mieście, wypowiadając tylko dwa słowa: „hallo” i „bakszysz”. Nędza w Egipcie jest wszechobecna.

Kilka dni później dotarliśmy z Assuanu do Luksoru – czyli byliśmy już znacznie bliżej naszego celu, Dendery. Również w Luksorze znaleźliśmy miły, sympatyczny hotel i teraz zmierzaliśmy już powoli ku zamierzłym czasom. Ku świątyni bogini Hathor.

Najpierw przeprawiliśmy się promem przez życiodajną rzekę wszystkich Egipcjan, nawadniającą ich pola na obu brzegach, zapewniającą im chleb powszedni – Nil. Po drugiej stronie czekał już zaangażowany wcześniej kierowca taksówki. Przywitał nas szerokim uśmiechem, jego nastrój był tak promienny jak pogoda. Nam natomiast podczas tej sześćdziesięciokilometrowej podróży, przypominającej przeprawę na wołach, humory się nieco pogorszyły.

Szosa (czy też to, co nosi taką nazwę) prowadząca do Dendery nie była jeszcze w czasie naszego pobytu w Egipcie całkowicie wyasfaltowana. Na licznych odcinkach drogi wynajęty samochód trząsał się na mniejszych i większych kamieniach, jakimi usiana była nawierzchnia. Na szczęście ruch z naprzeciwka był znikomy – zaledwie kilka wielbłądów. Samych zwierząt właściwie w ogóle nie widzieliśmy, jedynie ich nogi, właściciele bowiem obładowali je do tego stopnia kukurydzą, że ich głowy dosłownie zniknęły pośród tych ciężarów.

Po dwóch godzinach cali i zdrowi, nie licząc siniaków, dotarliśmy na miejsce. Byliśmy w Den-

derze.

Przed nami na stalowobłkitnym tle wznosiła się ku niebu główna budowla świątyni Hathor, sprawiająca wrażenie niezwykle stabilnej. Słońce Egiptu paliło nas bezlitośnie. Jak to dobrze, że pomyśleliśmy o tym wcześniej i podobnie jak wódz beduinów Hadzi Halef Omar z orientalnych powieści Karola Maya, zaopatrzyliśmy się w długie białe chusty, przytrzymywane na głowie za pomocą okalającego czoło paska z plecionej czarnej bawełny. Jest to chyba najpraktyczniejsze nakrycie głowy w tym rozżarzonym słońcem rejonie świata, chroniące przed upałem i porażeniem. Teraz chcieliśmy już jak najszybciej znaleźć się w cienistych i chłodnych salach świątyni.

Ale zanim zeszlismy do tej jedynej jeszcze dostępnej krypty, naszą uwagę zwróciła grupa przekrzykujących się nawzajem Włochów obojga płci, którzy podobnie jak i my mieli zamiar podjąć się tej morderczej wyprawy. Skończyło się jednak na chęciach. Już po pięciu minutach południowcy wycofali się. Prawdopodobnie wyobrażali sobie wycieczkę do krypty jako znacznie prostszą.

Już samo bowiem zejście do podziemnego świata Dendery nie jest rzeczą przyjemną. Drewniane schodki, a właściwie bardziej drabinka niż schody, prowadzą w ciemności, jakich nie są w stanie rozświetlić nędzne świeczki przewodnika. I wreszcie to wejście! Tu już co okazalsi i bardziej korpulentni turyści, czy chcą, czy nie chcą, muszą dać za wygraną: wąska, niska szpara (inaczej bowiem nie da określić się tego, co zwykle nazywać się „wejściem”), uniemożliwia jakiegokolwiek przeciskanie się. Właściwie trudno powiedzieć, czego spodziewali się tam na dole nasi włoscy podróżnicy, ale w każdym razie nie tego, co spotkało ich w świątyni w Denderze.

My natomiast byliśmy na to przygotowani. Wyposażeni w lampy na kaskach, latarki, taśmy pomiarowe, lampy błyskowe i aparaty fotograficzne dotarliśmy bez przeszkód do wejścia. A ponieważ obaj jesteśmy szczupli, nie mieliśmy kłopotu z dostaniem się do krypty. Specjalnie wybraliśmy porę obiadową, wiedzieliśmy bowiem, że w czasie sjeisty nie będzie tam tłumu opętanych fotografowaniem turystów. W tych najgorętszych godzinach dnia goście uciekają najchętniej do pobliskich restauracji, aby pokrzepić się jakimiś napojami chłodzącymi, podczas gdy strażnicy leniwie drzemią w cieniu.

Tylko jeden z członków personelu nie mógł zapaść w południową drzemkę. Przez cały czas towarzyszył nam nieprzerwanie, nie spuszczać nas z oka, i nadąsany przyglądał się naszej pracy w tej wąskiej, dusznej krypcie w chwilach południowej bezczynności. Spędziliśmy tu około czterech godzin, robiąc zdjęcia przy jasnym świetle reflektorów na kaskach, studiując uważnie ściennie płaskorzeźby, mierząc długość, szerokość i wysokość komory. Wreszcie mieliśmy możliwość zobaczyć na własne oczy to, co już wcześniej, oglądane na zdjęciach, wzbudziło nasze zdumienie. Tons Brunés po obejrzeniu płaskorzeźb opisał swe wrażenia w sposób następujący:

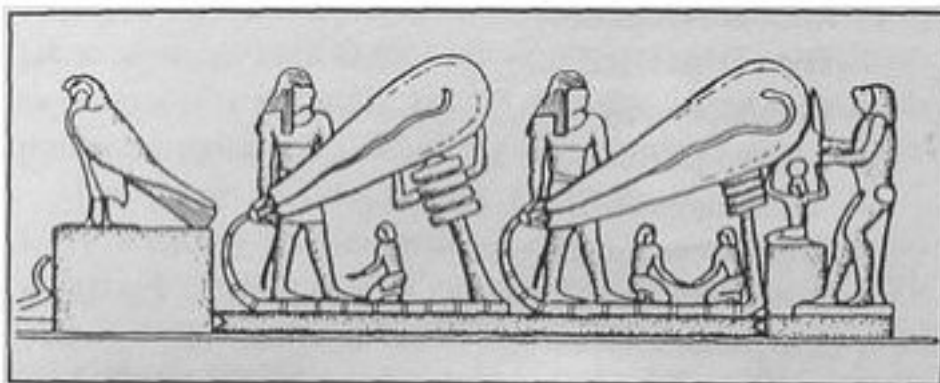
„Dla mnie wizerunki te, a zwłaszcza wąż w rurach, symbolizują siłę taką jak elektryczność. Jeden wąż zwraca głowę do przodu, drugi do tyłu, co może oznaczać symbol PLUSA I MINUSA. Uchwyty spoczywają na podpórkach, tzw. *filarach dzed*. Każdy technik zauważy od razu, że w tym otoczeniu przedmiot ten bardzo przypomina izolator takiego typu, jakie stosowane są w urządzeniach wysokiego napięcia”.

Również i my mieliśmy podobne skojarzenia. Sądzę, że każdy, kto znalazł się w tej wąskiej kiszce w podziemiach Dendery i stanął przed tymi niezwykle obrazami odległej przeszłości, wcześniej czy później zacznie się przynajmniej zastanawiać nad ich znaczeniem. Co do jednego jesteśmy całkowicie pewni: motywów płaskorzeźb w żadnym razie nie można interpretować jako symboli. Mamy tu bowiem do czynienia z realnym działaniem.

A teraz uwagę naszych czytelników chcielibyśmy skierować na rysunek zamieszczony poniżej. Jest on wierną kopią płaskorzeźby przedstawionej w części ilustracyjnej naszej książki. Widniejące na nim twory, podobne do balonów lub pęcherzy, wyglądają jak szklane żarówki. Czy wijące się w ich wnętrzu „węże” są tylko odwzorowaniem żarzących się drucików czy podobnych, przewodzących prąd elementów? A co z uchwytem żarówek? Na płaskorzeźbie są one przedstawione pod postacią lotosu. To z pewnością nie przypadek, kwiat lotosu uważany był bowiem w starożytnym Egipcie za roślinę świętą. Dla mieszkańców Egiptu epoki faraonów kwiaty lotosu były do tego stopnia święte, że ośmielali się nosić jedynie ich wizerunki w formie amuletów. Sam kwiat zaś przeznaczony był jako dar ofiarny dla bogów.

Tot, bóg mądrości i nauk, przybył na ziemię – jak głosi legenda – na kwiecie lotosu, przynosząc mieszkańcom Egiptu „światło”. Jeszcze dzisiaj święty lotos uważany jest przez Egipcjan i buddystów za ezoteryczny symbol „oświecenia”.

W każdym razie lotos stanowi ważny element składowy wizerunków żarówek z płaskorzeźb w Denderze. To samo dotyczy przewodów (łodygi lotosu) oraz czworokątnych pojemników (siedzi na nich „bóg powietrza” Szu), do wnętrza których prowadzą podobne do gumowego węża twory.



Na koniec wreszcie wymienić trzeba koniecznie tzw. *filary dzed*, im bowiem przypadała niewątpliwie funkcja o szczególnym znaczeniu, co wyraźnie sugerują płaskorzeźby. Nie przypadkiem filary te przypominają nowoczesne izolatory wysokiego napięcia – takie właśnie ich przeznaczenie potwierdziła eksperymentalna próba przeprowadzona w laboratorium. Egipcjolodzy w wizerunkach tych dostrzegają jedynie fetysze, tzn. urządzenia magiczne – cokolwiek by przez to rozumiano. Zresztą również eksperci nie są zgodni co do ich ówczesnego znaczenia, o czym świadczą zróżnicowane interpretacje. Która możliwość odpowiada państwu najbardziej? Oto kilka przykładów:

- symbol stabilności;
- symbol stałości;
- prehistoryczny fetysz;
- drzewo pozbawione liści;
- żerdź zaopatrzona w nacięcia;
- symbol płodności;
- forma kłosa;
- liść palmy.

A na koniec jeszcze „akademicka” interpretacja spotkanego w Kairze uznanego egiptologa, profesora kairskiego uniwersytetu dr. Francisa Abd el Maleka Ghattasa, który uprzejmie nam wyjaśnił, jak należy rozumieć znak *dzed*: „Jest to symboliczny obraz pojęcia «wieczność»”.

Jednakże mimo wszelkich prób nauki akademickiej, starającej się wykazać, iż w wizerunku *dzed* należy widzieć wyłącznie przedmioty kultowe, można odkryć jeszcze zupełnie co innego. Przede wszystkim wiemy (czemu nie zaprzeczają również egiptolodzy), że *dzed*, zgodnie ze staroegipską wersją, jest równoznaczne z takimi pojęciami, jak *stabilność*, *trwanie*, *stałość*. Nie jest to bez znaczenia, podobnie jak wskazówka znaleziona przez nas w *Tekstach Piramid*, które umieszczenie *dzed* wiąże ze staroegipskim bóstwem Ozyrysem. Mówią o tym nie tylko źródła egipskie, ale także grecki pisarz Plutarch (46-120 r. p.n.e.). Kim był ów Ozyrys?

Zgodnie z legendą, urodził się w Tebach. Jego matką była Nut, bogini Nieba, ojcem zaś Tot. O tym, że chodzi tu o alegorię, świadczy fakt, iż Nut nie była istotą cielesną, lecz jedynie symboliczną: uosabiała w starożytnym Egipcie „sklepienie niebieskie”. Co oznaczała tego typu symbolika, okaże się później. Na razie zajmiemy się analizą mitycznego tekstu, w którym mowa jest o tym, że Tot kochał Nut, że oddał do jej dyspozycji określone „źródła światła”, a potem zajął się ich wspólnym „synem”. Dowiadujemy się też, jak to pewnego razu Ozyrys został poważnie zraniony przez swych wrogów i chociaż był już w stanie „comy”, Tot „za pomocą magicznych zaklęć” zdołał „obudzić” go do życia.

Jest zatem bardzo prawdopodobne, że symbol *dzed*, który w istotny sposób łączy się z energią elektryczną, ma związek z Ozyrysem – a tym samym bezpośrednio z Totem. Z Totem – naukowcem!

Główną siedzibą Ozyrysa było położone w Delcie miasto Dzedu, nazywane później Per-Uzire

(od egipskiej wersji imienia Ozyrysa – Uzer), a następnie zmienione przez Greków na Busiris. Znaczenie greckiej nazwy miasta nie zostało jeszcze wyjaśnione. Można je tłumaczyć zarówno jako „stworzyć tron”, „siedziba”, ale także „władza oka”. To ostatnie określenie, jak zaraz się przekonamy, ma nadzwyczaj dramatyczne tło. Busiris z kolei nazywano wówczas powszechnie „miastem słupów”, co też miało swą szczególną przyczynę. Jednakże archeologom aż do dzisiaj nie udało się go zlokalizować. Przypuszcza się, że jego pozostałości znajdują się w pobliżu Abusiru położonego nad odnogą Nilu, na południowy zachód od Zamanud.

Mieszkańcy Egiptu od zamierzchłych czasów mieli skłonność do personifikowania sił lub mocy, których istoty nie pojmowali. To między innymi spowodowało, że Ozyrys przedstawiany był swego czasu jako „martwy faraon”. Pełnię jego władzy dokumentowano przedstawiając go w koronie *atef* na głowie. Składała się ona z białej korony Górnego Egiptu i obu czerwonych koron miasta Busiris – rezydencji tego bóstwa. Ponadto trzymał on w rękach insygnia najwyższej władzy: berło i bicz. Wymalowane na zwojach papiirusu lub rzeźbione w kamieniu ciało Ozyrysa przedstawiane było przy użyciu farby czerwonej (znak ziemi) albo zielonej (symbol roślin). Niekiedy dodawano także tarczę słoneczną. Czyżby aluzja do „bóstwa słońca”?

Pióra w Starym Państwie uchodziły za absolutny symbol światła. Toteż wcale nieprzypadkowo wskazówki na ten temat można znaleźć w wielu miejscach na ścianach świątyni Hathor w Denderze. Mają one swoje znaczenie.

A zatem, skoro już byliśmy w stanie stwierdzić, że owo nieokreślone bóstwo Ozyrys w pewien sposób wykazuje związek z Totem, a ten z kolei jako *nosiciel światła* cieszył się w Egipcie (zwłaszcza wśród kapłanów) znacznym szacunkiem, możliwe więc chyba będzie udowodnienie bliskiego pokrewieństwa Ozyrysa (na które wskazują jego korony *atef*) z określonymi źródłami światła. Co charakterystyczne, bóstwo to zawsze przedstawiane jest w postawie statycznej, stojącej lub siedzącej (na tronie). Często, gdy była o nim mowa, zadowalano się ukazywaniem go jedynie symbolicznie jako *filara dzed* lub pod postacią skrzynki, zawierającej rzekomo jego „głowę”. Choć tego rodzaju opis wydawać się może absurdalny, później przekonamy się jednak, że za tą osobliwą formą kryje się konkretne zachowanie. I tu nasuwa się pytanie, czy ów pojemnik w kształcie skrzynki kryje w sobie taki sam przyrząd, jaki znaleźć można na różnorodnych płaskorzeźbach w kryptach Dendery, przedstawiających elementy podobne do żarówek? Czyżby w tym przypadku chodziło o „kryptyczne” odzwierciedlenie magazynku energii lub generatora? Hipoteza ta jest o wiele mniej naciągana, niż można by się spodziewać. Nie powinniśmy także zapominać o symbolocznym wizerunku Ozyrysa pod postacią *filary dzed*. On to właśnie w powiązaniu z wytwarzającymi prąd urządzeniami (jakich domyślamy się w motywach żarówek ukazanych na płaskorzeźbach z Dendery) posiada istotne znaczenie. *Filary dzed* wcale nieprzypadkowo przypominają nam zarówno pod względem budowy, jak i wyglądu powszechnie używane izolatory. „Zdaję sobie sprawę, że istnieją najrozsądniejsze przypuszczenia, zgodnie z którymi *filary dzed* uważane są za źródła energii” – potwierdził nam w Kairze tamtejszy lekarz i egiptolog dr Khail Messiha, by po chwili dodać: „Ale do tej pory znajdowano zawsze jedynie solidne filary, bez jakichkolwiek instalacji, niezbędnych przecież przy izolatorach wysokiego napięcia”.

Pozostając z pełnym szacunkiem dla rozważań dr. Messihi, musimy jednak stwierdzić, że nie wziął on pod uwagę tego, iż dotychczasowe znaleziska przedstawiały w najlepszym razie „modele” tego typu urządzeń. Zdolny do działania nieprzewodnik energii elektrycznej musiał mieć zupełnie inne wymiary. To, że do tej pory nie znaleziono jeszcze takiego izolatora, nie musi wcale oznaczać o jego nieistnieniu.

Zupełnie innego zdania niż dr. Messiha jest wiedeński inżynier elektryk Walter Garn. Spytany o rzeczywiste znaczenie filarów *dzed* w dawnych czasach, stwierdził, iż:

„Konstrukcja filarów *dzed* odpowiada całkowicie konstrukcji współczesnego izolatora wysokiego napięcia. Wybierana jest taka, a nie inna forma izolatorów, aby najogólniej mówiąc, «ścieżki pełzania» wyładowań elektrycznych wzdłuż powierzchni izolatora były jak największe i by przy zmoczeniu deszczem czy zabrudzeniu powierzchni izolatora zachować bezpieczne, izolowane odcinki. Z czego da się wysnuć wniosek, że owe «ramiona» na płaskorzeźbach z Dendery znajdowały się pod wysokim napięciem”.

Biblioteka w kamieniu

Trudno dziś opisać te osobliwe uczucia, jakie ogarnęły nas w chwili, gdy stanęliśmy wreszcie w jednej z tych kiszkowatych komór, w jedynej dostępnej jeszcze krypcie spośród wielu położonych poniżej głównego poziomu świątyni. Wszelkie niedogodności, nieuniknione podczas zejścia do „podziemi” Dendery – strugi potu spływające po twarzach i palące oczy, duszna wilgoć paralizująca ciała – były wprawdzie niemiłe, ale ani na chwilę nie wywoływały w nas wątpliwości, czy dobrze zrobiliśmy, podejmując się tej śmiałej podróży. Dopiero wtedy zdaliśmy sobie sprawę z tego, z jakimi trudnościami musiał mieć do czynienia na przykład francuski egiptolog Auguste Mariette, gdy bez tych wszystkich udogodnień, jakie my mieliśmy do dyspozycji – reflektorki na hełmach, latarki, aparaty fotograficzne – spędzał wiele godzin pod dusznymi sklepieniami sanktuarium bogini Hathor, by tu na dole, przy słabym świetle oliwnej lub naftowej lampki pieczołowicie odrysowywać scenę po scenie ze wspaniałych płaskorzeźb i by potem po raz pierwszy zaprezentować kręgom fachowców te wizerunki ze ścian.

Spędziliśmy tu w sumie cztery godziny, pracując w spokoju bez towarzystwa ciekawskich turystów. Robiliśmy zdjęcia, dokonywaliśmy pomiarów, rejestrowaliśmy na taśmie filmowej i zapisywaliśmy wszystko, co wiązało się z niepowtarzalnymi motywami. Czegoś takiego nie ma do zaoferowania żadna inna świątynia. „Tego rodzaju płaskorzeźby były oznaką szczególnego dostojęstwa i wielkiego bogactwa”, pisze Peter Ehlebracht w swojej książce *Haltet die Pyramiden fest!*, po czym odważnie spekuluje:

„Ponieważ krypty świątyni mogły mieścić w sobie ogromne skarby, musiały być dobrze ukryte. I prawdopodobnie z tego też powodu zostały zaprojektowane przez budowniczych starożytności w taki sposób, aby trudno się było do nich dostać”.

To ostatnie możemy potwierdzić z własnego doświadczenia. Przez wąski otwór, który zmuszeni byliśmy pokonać na czworakach, dostaliśmy się do krypty, czy kieszki liczącej zaledwie (sami ją mierzyliśmy!) 4,6 m długości, 1,2 m szerokości i niespełna 2 m wysokości. W dusznym powietrzu można było dosłownie „zawiesić siekiere”, ale mimo to żadne zdjęcie, żaden rysunek ani też żadna dokumentacja filmowa nie zdoła oddać tego, co ujrzeliśmy tam na dole, w naturze. Mimo całej tej męki było to prawdziwe przeżycie!

„Cała świątynia zbudowana jest właściwie po to, by przekazywać wiedzę”, pisze Duńczyk Tons Brunés, a my możemy tylko przychylić się do jego opinii. Ale o jaką wiedzę, o jakie szczegółowe wiadomości kapłanów mogło chodzić w tym przypadku? Niektórzy odesłaliby nas prawdopodobnie z tym pytaniem do hieroglifów występujących w znacznej ilości na płaskorzeźbach Dendery, wychodząc z założenia, że od czasu odkrycia kamienia z Rosetty ich rozszyfrowanie nie powinno stanowić problemu.

Takie rozumowanie jest tylko pozornie słuszne, albowiem aż do niedawna znaczenie hieroglifów umieszczonych w krypcie stanowiło jeszcze całkowitą zagadkę. W czasie naszego pobytu w Egipcie ich wymowa była zupełnie nie znana. Kapłani świątyni Hathor posługiwali się prawdopodobnie specjalnie utajnionym hieroglificznym pismem bądź też znaki te wywodzą się z jeszcze wcześniejszej epoki.

Od tamtej pory trochę się zmieniło, a to głównie za sprawą dr. Wolfganga Waitkusa, ambitnego egiptologa z Hamburga, który zajął się owymi runami z podziemi Dendery. W ramach pracy doktorskiej udało mu się przełożyć posłanie z płaskorzeźb. Oczywiście jego interpretacja pisma znacznie odbiega od naszej – nie ma to jednak nic do rzeczy. Ważny jest sam przekład. Pozwolił on bowiem również i nam posunąć się w badaniach i w zdumiewający sposób potwierdził naszą „elektryzującą” hipotezę.

VII. Bóg zstąpił z nieba

Tak jak mętne zazwyczaj wody Nilu są od tysięcy lat dla żyjących w jego sąsiedztwie ludzi niezastąpionym eliksirem życia, tak dla zmiennej, uchwytniej już tylko pod postacią mitologiczną historii Egiptu siłą sprawczą wszystkiego jest jedno imię – jedna istota, która przyczyniła się w znaczący sposób nie tylko do kulturowego, ale i naukowego rozkwitu opartego na tradycji kraju. Temu dominującemu wówczas fenomenowi składali hołd i biedni, i bogaci, zaś podejmowane przez niego decyzje z powodu ich mądrości wzbudzały respekt i podziw zarówno władców, jak i poddanych. Ku jego czci wznoszono kultowe budowle, a całe pokolenia kapłanów składały hołd jego mocy. Był tytanem siły sprawczej, spełniał funkcję doradcy i nauczyciela. Przypisywano mu wiedzę wręcz uniwersalną, a gdy opuścił kraj, uczyniono z niego istotę boską. Nawet zwierzęta, pod postacią których występował, otrzymywały przez wzgląd na niego święte właściwości.

Któż to był tym wyjątkowym zjawiskiem? Co spowodowało, że geniusz ten stał się kosmicznym symbolem starożytnej epoki Egiptu? Nazywano go Tot. Jego pochodzenie otoczone jest mgłą tajemnicy. Nikt też nie wie, gdzie zniknął u kresu swej prekursorskiej działalności w kraju piramid.

Tot był w swej epoce głóścicielem zacnego życia, spełnionego istnienia. Nauczył ludzi sztuki pisania i czytania, a także retorycznej sztuki przemawiania. Przypisuje mu się również znajomość cyfr oraz rozległą wiedzę z zakresu astronomii i astrologii. Jego wynalazkiem jest Pas Zwierzyńcowy. On podzielił dzień i noc na dwanaście godzin i on też nakłonił uzdolnionych manualnie ludzi do wyuczenia się sztuki tkania i plecenia. Chłopom na wsi pokazał, jak mierzyć pola i kierować kanały we właściwym kierunku. Kapłanów poinstruował, by świątynie dla bogów i władców budowali według przemyślanych wcześniej planów. Podobno to również jemu udało się wreszcie doprowadzić do pojednania wrogich sobie królestw Górnego i Dolnego Egiptu i zamienić je w jeden wspólnie rządzony „kwitnący ogród”.

Czytając dziś tego rodzaju opis, trudno wręcz uwierzyć w istnienie tak nieskazitelnej postaci i traktować poważnie jej potwierdzoną tożsamość. Dlatego w pełni uzasadnione wydaje się pytanie: czy w owianej legendami zamierzchłej historii Egiptu ów Tot istniał naprawdę? Czy nie jest on raczej jedynie wymagowanym idealnym wytworem nie spełnionych nadziei?

Jako wnikliwi i wytrwali badacze wielu różnorodnych przekazów ze starożytnego Egiptu, starający się bez uprzedzeń odzielić to, co miało pozory realności, od podrzędnych szczegółów o charakterze kultowym, jesteśmy teraz pewni: Tot żył naprawdę! Jego postać ma konkretne kształty! Jego niezwykle oddziaływanie, dana mu zdolność wywierania wpływu na otoczenie przyczyniły się istotnie do zapoczątkowania kulturowego rozkwitu Egiptu we wszystkich sferach życia.

Umiejętności Tota musiały być wręcz fenomenalne, obejmowały bowiem wszelkie dziedziny nauki. I tak, był on mistrzem sztuk tajemnych – alchemii i magii. Alchemia, poprzedniczka chemii i fizyki, kryła w sobie także umiejętność przekształcania metali nieszlachetnych w złoto. Ten, kto to potrafił – a Tot należał do owych wtajemniczonych – posiadał też słynny „kamień filozoficzny”...

Również opanowanie magii nie miało w owych czasach nic wspólnego z prymitywnym *hokus-pokus*. Jej tajemnica nie opierała się na iluzji, lecz wyłącznie na wiedzy o tym, jak wykorzystać siły natury, aby służyły człowiekowi. Były to umiejętności, które Tot opanował w wyrażnie doskonały sposób. Za jego czasów przypisywano mu nawet znajomość „słów boskich”. Poważano go jako „wielkiego czarodzieja” i „mierniczego czasu”. Czy Tot znał już zasadę rozszczepiania atomów? I niezbędne w tym celu formuły? Prawdopodobieństwo takiej hipotezy nie jest wcale wykluczone. Arsenał broni, jaka niewątpliwie była w dyspozycji Tota, musi zdumiewać nawet strategów epoki atomu.

Z drugiej strony uchodził on za twórcę i gwaranta prawa i sprawiedliwości, sztuki życia i rządzenia państwem. Posiadał też nadzwyczajną wiedzę medyczną i wszędzie towarzyszyła mu sława utalentowanego uzdrowiciela.

W egipskiej literaturze gnostycznej (tzw. hermetryce, dostępnej tylko dla wtajemniczonych) Tot,

już jako bóg mądrości i nauk, uchodził za „wyzwolicielem”, wręcz zwiastuna wiecznego życia. Poeci kultowi sławili głoszone przez niego porządek świata jako najlepszy ze wszystkich możliwych.

Czy Tot był rzeczywiście istotą „boskiego” pochodzenia?

Z pewnością nie. Z dostępnych nam przekazów nie wynika też, by kiedykolwiek coś takiego twierdził. Najmniejszej wątpliwości nie ulega tylko to, iż był niezwykle inteligentny i wszechstronnie wykształcony, oraz to, że nie był Egipcjaninem. A zatem kim był? Skąd przybył? Z innego kraju? Z odległego kontynentu? Czy może z regionów niedostępnych naszemu umysłowi?

Aby znaleźć odpowiedź na te pytania, nie pozostaje nam nic innego, jak podjąć podróż w zamierzczłą przeszłość ludzkości. Musimy, by tak rzec, zanurzyć się w czas, po którym pozostały zaledwie szczątkowe przekazy. Natknijemy się przy tym na brzmiące wręcz fantastycznie fragmenty tekstów, których nie można jednak zanegować. Nie uczynił tego na przykład niemiecko-amerykański pisarz, sinolog i antropolog Berthold Laufer, który przed sześćdziesięcioma czterema laty podjął się analizy tła i znaczenia mitów, jak również ich wielowarstwowości. W wyniku badań powstała publikacja *The Prehistory of Aviation* („Pradzieje lotnictwa”), zasługująca także dzisiaj na uwagę:

„Jeśli idzie o wczesne przekazy, to najwygodniej opatrzyć je etykietką «mitologiczne» lub «legendarne», co zamyka sprawę. Ale jest to bardzo ograniczone podejście nie wykraczające poza konwencjonalny sposób myślenia, a tym samym nie przynoszące żadnego pożytku. Umysł spragniony wiedzy stara się rozszyfrować strukturę mitu i ustalić czas jego narodzin. Skoro istnieje dany mit, musiało być coś, co doprowadziło do jego powstania. Bo tak jak istnieje logika ludzkiego osądu, istnieje też logika ludzkiej wyobraźni. Nasza imaginacja nie jest w stanie stworzyć rzeczy, które w ogóle nie mają odniesienia do rzeczywistości. Wytwór naszej wyobraźni powstaje zawsze w związku z tym, co istnieje lub o czym mamy podstawy sądzić, że istnieje”.

Pojawienie się światła

W mitologii egipskiej Tot uważany jest za „boga”. My jednak zauważyliśmy już wcześniej, że nim nie był. A zatem kim był?

Na początek zajmiemy się jego imieniem. Mimo wielkich wysiłków badaczy starożytości nie udało się dotychczas ustalić pierwotnego znaczenia tego słowa. Nawet najbardziej prawdopodobne z naukowego punktu widzenia tłumaczenie go jako „ten z Dehut” trudne jest do udowodnienia, ponieważ nie jest nam niestety znana miejscowość o takiej nazwie. Słowo *Tot* pochodzi z greckiego, koptyjska pisemna wersja tego imienia brzmi „Thout”.

Tak czy inaczej starożytni Egipcjanie nazywali go „Dehuti”, co pozostaje w dosyć bliskim związku ze wspomnianym wyżej określeniem „ten z Dehut”. W nowobabilońskim imię Tot brzmi „Tichut”, filolodzy przypuszczają jednak, że we wcześniejszych czasach nazywano go tam „Dahaut”. Z kolei żydowski filozof Filon z Aleksandrii (ok. 25 p.n.e.-50 n.e.) przekazał nam to imię pod postacią „Tautos”.

Natomiast w całkowitych ciemnościach błądzą egiptolodzy poszukujący odpowiedzi na pytanie o ojczyznę tego staroegipskiego bóstwa. Pewne sugestie w tym względzie zawierają fragmenty tekstów mitologicznych. Wynika z nich, iż Tot urodził się w *odległym kraju zachodu*, w mieście leżącym na skraju *morza*, nie opodal dwóch ziejących ogniem *wulkanów*. Legenda przekazuje jeszcze jedną osobliwą informację. Oto pewnego dnia w ojczyźnie Tota słońce uległo zaciemnieniu, aż samych bogów ogarnął strach. Tylko jeden w tym krytycznym momencie zachował zimną krew: mądry Tot.

Podobno pomógł bogom wydostać się ze skazanego na zagładę rejonu i znaleźć schronienie w jednym z krajów na dalekim wschodzie. Nim jednak uciekinierzy tam dotarli, musieli najpierw – jak mówi przekaz – *przekroczyć morze*.

To intrygujące opowiadanie kojarzy się mimo woli z przekazaną przez Platona opowieścią o zaginięciu legendarnej Atlantydy. Możliwości takiej nie da się wykluczyć, zważywszy że kultura ta dysponowała podobno nieosiągalnymi umiejętnościami panowania nad siłami przyrody.

Czyżby Tot i jego nieliczni towarzysze, którzy przybyli wraz z nim do Egiptu, byli naajwyższymi kapłanami zaginionej kultury? Jest to jedna z wielu hipotez dotyczących pochodzenia Tota. Przyjęcie jej oznaczałoby w każdym razie, że ów obcy przybysz i jego towarzysze rozporządzali

również wysokimi umiejętnościami technologicznymi.

Egiptolodzy mają na ten temat oczywiście zupełnie inne zdanie i skłaniają się raczej ku teoretycznej wersji, zgodnie z którą w najbardziej odległych czasach różne przekazy wymieszały się ze sobą, w wyniku czego Tot uzyskał wreszcie postać istoty wyższej. Zwolennicy tej teorii znajdują jej potwierdzenie w fakcie, iż był on swego czasu czczony pod postacią dwóch zwierząt: jako ibis i jako pawian!

I choć wielu egiptologów przychyliła się raczej do tej wersji, według której ptak brodzący ibis był bliższy Totowi choćby dlatego, że głowa ibisa od dawien dawna stanowiła symbol tego herosa, a co za tym idzie, jego przypuszczalnej ojczyzny należy szukać w Delcie – to założenie to pozostaje sporne. Wprawdzie rzeczywiście mamy dowody na istnienie w Delcie kultu ibisa w XV okręgu (jego herb zawiera wizerunek ibisa), a także udało się stwierdzić istnienie w tej okolicy wielu miast określanych jako tzw. „miejsce Tota”, spośród których przynajmniej jedno jest poświadczone – to w gruncie rzeczy również i te próby zdemaskowania tożsamości Tota pozostają jedynie spekulacjami.

Ogromny biały pawian

Być może na właściwy ślad mogłyby zaprowadzić nas przekazy mitologiczne, na przykład teksty *Magicznego Papirusu 500*, gdzie w jednej z przypowieści czytamy:

„Bądź pozdrowiony, pawianie o siedmiu łokciach, którego oko jest ze złota i którego usta są z ognia, a wszystkie jego słowa są z żaru”.

Kilka elementów tego pełnego ekspresji opisu wydaje się wartych wyjaśnienia: przede wszystkim wygląd i wielkość Tota. On sam przedstawiał siebie jako istotę zbliżoną wyglądem zewnętrznym do małpy, przypominającą wyraźnie pawiana o białej sierści:

„Pojawię się przed tobą (królem) pod postacią ogromnego białego pawiana”.

Taki napis widnieje na kamieniu pamiątkowym króla Merneptaha, znajdującym się pierwotnie w świątyni Amuna w Hermopolis – owej metropolii, którą Tot wybrał sobie jako pierwsze miejsce swego działania po przybyciu do Egiptu.

„Siedem łokci” przytacza się z kolei na oznaczenie wielkości; był to wzrost, jakim nie mógł się poszczycić żaden z mieszkańców znanego Nilu. Według przekazanych danych Tot miał niemal 3,5 m wzrostu – był więc „olbrzymem”, i to nie tylko jak na tamte czasy, nawet jeśli weźmie się pod uwagę typowo orientálną skłonność do przesady.

Ale również pozostałe elementy opisu rzekomego wyglądu Tota („oko ze złota”, „wargi z ognia”, „słowa... z żaru”) brzmią dość niezwykle i przypominają w uderzający sposób fragment tekstu ze słowiańskiej *Księgi Henocha*, apokryfu o treści apokaliptycznej, w którym biblijny patriarcha odtworzył zdumiewające przeżycie:

„A wtedy ukazali mi się dwaj bardzo wysocy mężowie, jakich nigdy nie widziałem na ziemi. Ich oblicza świeciły niczym słońce, ich oczy były niczym płonące pochodnie; z ich ust iskrzył się ogień...”

Najprawdopodobniej również itutaj, podobnie jak w papirusowym tekście o bogu Tocie, uwzględniono pewne „zjawiska uboczne”, które w spektakularny sposób towarzyszyły występowaniu działających osób. A mówiąc konkretnie, chodzi tu o manewr lądowania pojazdów latających, jakimi przybyli na ziemię biblijni „mężowie”, a także Tot. U Henocha czytamy następnie, że stroje „wysokich mężów” były białe, a ich szaty, podobnie jak oblicza, świeciły „niczym śnieg”. Czy można całkowicie zaprzeczyć pewnym nasuwającym się podobieństwom z opisem postaci Tota, gdzie określany jest on jako „wielki Biały” (pawian)?

Imponujący wygląd staroegipskiego „boga mądrości” potwierdzają też inne jego wizerunki z dawniejszych czasów. I tak na przykład na kamieniu pamiątkowym z epoki króla Nektanebosa (XXX dynastia) Tot określony jest jako „podwójnie duży”. Ten ozdobny przydomek widnieje także na pojedynczym bloku skalnym (210/VII), pochodzącym z późnego wizerunku świątynnego, a znalezionym na terenie Hermopolis.

Ale jak to zwykle bywa w takich przypadkach, zalety niezwykłych postaci z upływem czasu stają się coraz większe, co potwierdza w sposób dosłowny fizyczny wzrost nosiciela światła Tota: z

„podwójnie dużego” zrobił się potem „potrójnie duży”. Jednocześnie jest to także pierwsze odesłanie do Hermesa Trismegistosa, który przetworzony przez greckich filozofów z egipskich lub egiptyzujących elementów, w połączeniu z elementami teologicznymi, mistycznymi i magicznymi stał się greckim posłańcem bogów. W rzeczywistości należy widzieć w Hermesie jedynie odbicie (w przeciwieństwie do realnie istniejącej osoby) Tota, równoznaczne z mimowolnym „naśladownictwem” kultury, która – jak właśnie grecka – na próżno usiłowała osiągnąć poziom kultury egipskiej.

Tot, jak czytamy w tekstach religijnych, okreśłany jest (np. w *Księdze Umarłych*) jako „tajemny, wszystko wiedzący”. Według *Leksykonu egiptologii* miał się on wynurzyć ze „złoto świecącego kamienia” lub „tajemnego jaja”. Inny przekaz widzi w nim „syna kamienia, który wydobył się ze skorupki jajka”. Jego oblicze miało być przepelnione „siłami promieni”. Być może jest to wyjaśnienie, dlaczego Tota czczono także jako Ibis. Pióra tego ptaka brodzącego, podobnie jak pióra sokoła symbolizującego boga Horusa, oznaczały tyle samo, co „ulecieć w niebo” i uchodziły za „symbol światła”.

Czy materiał mitologiczny może nam pomóc jeszcze w czym innym?

Na „prapoczątku” (jak mówią przekazy) bóg słońca Ra objawił się na „wysokiej wyżynie” jako „prawzgórze”. Ale uwaga! Nie chodziło tu bynajmniej o naturalne wzniesienie. Jak wynika z opisu zamieszczonego w jednej ze starych relacji, mamy tu do czynienia z czymś, co posiada zupełnie inne właściwości. Stare, zachowane rysunki przedstawiają to jako wykończony pod względem architektonicznym obiekt o kształcie trójkąta, przypominający z wyglądu pagórek, wyposażony z jednej strony w schody.

Prawdziwy charakter tego rodzaju „prapagórków” ujawnia się jeszcze wyraźniej w niektórych rycinach na ścianach świątyń.

I tak na przykład wizerunek czegoś takiego można zobaczyć w świątyni w Meroe. Jest to wyryty w piaskowcu, półokrągły na górze stożek, zwany „omfalos”. Oryginał znajduje się w zbiorach amerykańskiego Museum of Fine Arts w Bostonie. Zgodnie z interpretacją naukową, ów zaokrąglony stożek odpowiada dokładnie formie podstawy wizerunku ibisa w imieniu boga Tota w piśmie hieroglificznym.

Nasi czytelnicy prawdopodobnie już dawno rozpoznali – lub przynajmniej się domyślają – że w przypadku owego tzw. „prawzgórza” chodziło w rzeczywistości o *pojazd latający*. Podobne urządzenia spotykać jeszcze będziemy wielokrotnie na łamach tej książki.

W ten oto sposób doszliśmy do sedna sprawy. Albowiem już z tekstów zaczerpniętych przez nas z wydanej w 1959 r. przez Muzeum Pelizaeus w Hildesheim publikacji *Hermopolis 1929-1939* wynika, że mamy tu do czynienia z czymś o charakterze niewątpliwie technicznym, a nie z graniczącym z metafizyką symbolizmem.

Podejdźmy do zagadnienia w sposób analityczny. W granicach należącego niegdyś do Górnego Egiptu miasta Hermopolis doszło „w prastarych czasach” (czyli w momencie dziś już trudnym do ustalenia) do nadzwyczaj spektakularnego zdarzenia:

„Wczoraj ujrzałem narodziny Ra,
który wynurzył się z głębin nieba.
Słuchajcie, jego siła jest zaprawdę moją siłą!
albowiem potężną jestem istotą,
bogiem pośród bogów otaczających Horusa...”

Słowa te pochodzą z najsłynniejszego eposu egipskiego, z tzw. *Księgi Umarłych*, i znajdują się w jego 17. rozdziale. Relację tę uzupełnia kamień pamiątkowy z epoki króla Nektanebosa (XXX dynastia). „Po raz pierwszy” objawił się „bóg słońca”, zwany „Ra, który wyszedł z wielkiego jeziora wyspy płomieni”. „Prawzgórze” rzekomego „boga słońca” znajdowało się, według *Księgi Umarłych*, w Chnumu lub Wenu; piętnastego dnia miesiąca przyływu „ibis i pawian zostali wysłani do wysokiego miejsca w Chnumu”.

Ibis i pawian, o czym już wiemy z przekazów, były „zwierzętami herbowymi” Tota, które przybyły na początku dziejów do Egiptu.

Gdzie leżało Hermopolis?

Dokładnie nie wiadomo, przypuszcza się jednak, że było położone mniej więcej 300 km na południe od Kairu na lewym brzegu Nilu, ale w pewnym oddaleniu od rzeki. Zachowało się po nim niewiele. Te skąpe pozostałości odnaleźć można wewnątrz oazy lasów palmowych i jezior. Wśród nich ukryta jest ruina najważniejszej w tamtych czasach świątyni, poświęconej Totowi, głównemu

bóstwu Hermopolis, i ośmiu prabóstwom. Dwanaście kilometrów dalej na wschód, na skraju pustyni, po drugiej stronie Bahr Jûsuf, natrafiamy na miasto zmarłych Tuna. Nekropolia ta zawiera m.in. potężną studnię, która nawadniała ogród ibisów i pawianów, uważanych przez Tota za święte, a także nie kończące się podziemne korytarze, wypełnione mumiami tych zwierząt.

Z całą pewnością wywołało to ogromne poruszenie i sensację, gdy nagle z nieba opuściło się na ziemię potężne ciało latające. Wspomnienie tego wydarzenia (o którego podtrzymanie zadbał niewątpliwie także rezydujący w Hermopolis Tot) oddane zostało w sposób odpowiednio dramatyczny w zapiskach zachowanych na papirusach.

Oto jak wyobrażano sobie ten pojazd: (najprawdopodobniej) okrągły obiekt (stąd porównanie z „wyspą”) opuszcza się powoli na słupach płomieni na ziemię. Świadomie używamy tu liczby mnogiej, ponieważ to ogniste zjawisko określane jest też niekiedy jako „Wyspa Dwóch Płomieni” – a jeszcze wyraźniej: „Wyspa Rozpłomienienia”. Czy ma to jakieś szczególne znaczenie?

Owszem, i to niemałe. Albowiem na lądowisku tego ciała latającego – na „wysokiej wyżynie” – znajdowało się wówczas jezioro o nieokreślonych bliżej rozmiarach. Później, gdy Tota dawno już nie było między ludźmi, nazywano je „Jeziolem Noża” albo „Jeziolem Dwóch Noży”. Od tamtej pory należało ono do „świętych miejsc” Hermopolis, położonych w ogromnym parku, w którym znajdowały się ponadto liczne budowle świątynne.

„A zatem wyobraźmy sobie w owym parku świętego regionu jezioro”, czytamy w wydanym przez Günthera Roedera raporcie powykopaliskowym *Hermopolis 1929-1939*. „W prawzgórzu trwa nadal wspomnienie wyspy, która w pradawnych czasach wystawała z bagnistej kotliny Nilu..”. Tego typu hipotezy opierają się z kolei na interpretacji innego egiptologa, Nöldekego, który pisze: „Z wód przyływu wynurzał się suchy wzgórek, może powstały w wyniku wczesnej regulacji albo będący dyluwialnym progiem lub ostrogą w podłożu”.

Nieco zabawne są te wysiłki licznych egiptologów, zmierzające do odtworzenia „w sposób symboliczny krajobrazu”, „jaki w epoce starożytnej pradziejowi przybysze do doliny Nilu odkryli w okolicy późniejszego Hermopolis”.

Przyuszczalnie inaczej nie umiano sobie wyobrazić istnienia położonej na jeziorze i rzekomo dopiero w nim utworzonej, „prawdopodobnie otoczonej murem wyspy”. Oczywiście potem, według interpretacji egiptologów, „wystawiono na niej jako obiekt kultu wzgórze” (przybyłe z nieba ciało latające).

Tak oto egiptolodzy usiłują odtworzyć, choćby w przybliżeniu, informacje zawarte w starych przekazach. Doprawdy skomplikowana to konstrukcja. Ale jest to nieuniknione, gdy ponad fakty przedkłada się nieprzeniknione symbole.

Przy czym użyte tu określenia mitologiczne są pod każdym względem uzasadnione. „Wyspa Dwóch Płomieni” pokrywa się całkowicie z „Jeziolem Dwóch Noży”, albowiem płonące ogniem agregaty odrzutowe były wyraźnie widoczne podczas manewru lądowania obiektu latającego dla wszystkich mieszkańców miasta, obserwujących to zjawisko. Oczywiście silniki te wygasły w momencie zetknięcia się z mokrą taflą jeziora, czyli z chwilą gdy zanurzały się w wodzie. Również samo porównanie języków płomieni z nożami (które w świetle zaczynają, jak wiadomo, jaskrawo błyszczeć) wydaje się celne.

Jeszcze bardziej trafne jest określenie tego wydarzenia, przedstawione w owym sprawozdaniu powykopaliskowym jako „pierwsze ukazanie się światła”. W ten sposób powracamy znowu bezpośrednio do jego „sprawcy” – Tota, który przyuszczalnie sterował tym obcym ciałem latającym i dowodził ośmioosobową załogą, towarzyszącą mu w ekspedycji.

„Mitologia trzech świętych miejsc skupiała się wokół boga słońca, dla którego Ramzes III polecił wybudować w ich pobliżu dwie kaplice”, dowiadujemy się ze sprawozdania. „Tam najwyższy kapłan Pet-Ozyrys «założył w ogromnym parku dom boga Ra»” (cyt. egiptolog Petoiris Lefebvre, 1924). Dalej czytamy: „Wzniosłem go (dom boga) z białego, pięknego kamienia wapiennego, był doskonały w każdym szczególe, drzwi były z drzewa cedrowego, obite azjatyckim brązem. Kazałem Ra w nim (w parku) spocząć”.

Kim był ów Ra (pisany również niekiedy „Rê”)? Przywódcą całego przedsięwzięcia? Komentantem?

Przy powierzchownym podejściu do sprawy istnieje niebezpieczeństwo przyjęcia takiego założenia. Byłaby to jednak fatalna pomyłka. Prawda może wydawać się zaskakująca – lecz nie sposób jej zaprzeczyć: Ra nie był osobą, Ra to jedynie nazwa pewnego obiektu! Pod tym określeniem krył się w rzeczywistości kosmiczny pojazd prawdziwego „boga słońca” Tota, który wraz ze swą

ośmioosobową załogą dokonał lądowania na wodzie na obrzeżach miasta Hermopolis. I nie są to wcale jakieś wysrane z palca spekulacje, potwierdzają je bowiem zachowane teksty. Jak to często zdarzało się w starożytnym Egipcie, również i w tym przypadku przypisano „rzeczy” boskie właściwości – czyniąc ją tym samym osobą.

„Serce Ra”

Nie mamy tu wcale zamiaru ukrywać, że również i nas zaskoczyło to, co w trakcie studiów nad staroegipskimi tekstami, przełożonymi przez egiptologów, zaczęło nabierać coraz wyraźniejszych kształtów – a mianowicie, że owa określana jako „bóg słońca” istota, zwana Ra, nie była żadnym hominidem, lecz bez wątpienia – *urządzeniem mechanicznym!* Ciałem latającym przedstawicieli z pewnością pozaziemskiej inteligencji.

Teraz jesteśmy niemal pewni, a inna interpretacja wydaje się wprost niewyobrażalna. Na poparcie naszego twierdzenia mamy jednego (choć niedobrowolnego) świadka: egiptologa i autora cytowanego już sprawozdania powykopaliskowego *Hermopolis 1929-39* (wydanego w 1959 r.), Günthera Roedera. Sporządzony przez niego przekład tekstów umieszczonych na wykonanym z piaskowca kamieniu pamiątkowym o wysokości ok. 60 cm, w którym znajduje się otwór, a na dnie widoczny jest prostokątny odcisk nie istniejącej już postaci (Museum of Fine Arts nr 21.3234, Boston, USA) – pozwala tylko na jedną logiczną interpretację. Kamień pamiątkowy z odwzorowaniem prawzgórza w kształcie zaokrąglonego u góry stożka wymienia świątynię Wosret Nehmet-awaj (znajdującą się rzekomo w pobliżu prawzgórza) jako to „miejsce, w którym był Ra, gdy wzniósł się w pokoju”.

Dalej Roeder pisze:

„Wielka woda wyspy płomieni czyniła, czego sobie życzył, gdy Jego Majestat (Ra) był pięknym dzieckiem, podczas gdy jego boscy towarzysze byli za nim, bogowie wzgórza, i Neit, wielka niebiańska krowa, która urodziła Ra z Nun”.

Neit w staroegipskiej hierarchii bogów miała rangę „wielkiej bogini”, która przyznana jej została również z racji czci należnej „matce bogów”. Co to ewentualnie mogło znaczyć, da się być może wywnioskować z faktu, że Neit urodziła Ra „z Nun”. Słowo „Nun” w języku świątłych ludzi owej epoki było synonimem bardziej popularnego wówczas pojęcia „praocean” – oddawanego we współczesnej praktyce językowej określeniem „kosmos”!

A zatem Neit, „wielka bogini” (jeśli uwzględnić jej znajomość tzw. „sił czarodziejskich” w połączeniu z udaną próbą „urodzenia” lub wykonania Ra „z Nun” – w kosmosie) była naukowcem, prawdopodobnie nawet ekspertem od podróży kosmicznych. Jej przypuszczalnie należy przypisać skonstruowanie (narodziny) owego pojazdu kosmicznego, który potem pod dowództwem „boga nauk” Tota z ośmioma astronautami („jego boscy towarzysze za nim”) podjął lot na Ziemię. „Każda wysoko rozwinięta technologia jest nie do odróżnienia od magii”, przyznał sam Arthur C. Clarke, autor prac naukowych i twórca sfilmowanego bestselleru science-fiction „Rok 2001 – odyseja kosmiczna”. Również z innego tekstu mitologicznego wynika, że w przypadku Ra mogło chodzić wyłącznie o określenie pozaziemskiej „barki słonecznej”, pojazdu przybyszów z Kosmosu. Oto jak brzmi ten fragment:

„Jego Majestat zestarzał się. Jego kości są srebrem, jego ciało jest złotem, a jego włosy to prawdziwy lapis-lazuli (nieprzezroczysty kamień ozdobny niebieskiego koloru)”.

Opis ten przeczy założeniu, jakoby Ra był słońcem lub istotą boską.

Jeśli konieczna byłaby jeszcze jedna wskazówka potwierdzająca naszą realistyczną interpretację, to bez trudu można ją znaleźć w mitologii egipskiej, gdzie m.in. czytamy:

„Tot został stworzony mocą słowa (boga?) i uchodził za wynalazcę języka. Według twierdzeń kapłanów z Hermopolis, sam siebie stworzył i pojawił się w kwiecie lotosu na początku czasu. – Również w kosmogoniach (naukach o powstaniu świata) z Heliopolis i Memfis Tot odgrywa pewną rolę; uchodził on w nich za «serce Ra», czyli za personifikację poznania boga jako twórcy, a także jako jego języka, siły twórczej. Należał do załogi, która broniła słonecznej barki Ra...”

Jeśli pominać powszechną w tych mitycznych opowiadaniach skłonność do rozległej ornamentacji i skupić się jedynie na tym, co zdradzają nam poszczególne fragmenty tekstów, wówczas bardzo wyraziście odsłania się prawdziwa wymowa poprzednich zdań.

Tot, tak to należy odczytać, został stworzony „mocą słowa”. Ponieważ kapłani od dawien dawna przypisują swym słowom tło religijne, nietrudno odkryć sens ich wywodów. Tak więc za wszelkim procesem kosmicznym należy szukać boga, dopiero jego „słowo sprawcze” doprowadziło do spełnienia się dzieła stworzenia – a tym samym do powstania człowieka.

W kolejnym akapicie tekst mitologiczny jest jeszcze jaśniejszy: stwierdza się w nim jednoznacznie, że Tot był „sercem Ra”. Co miałyby to oznaczać? Czy należy sobie wyobrazić, że Tot, istota ludzka, żył w ciele innego hominida? Na podobieństwo popularnej „matrioski”, składającej się z coraz to mniejszych laleczek, które zamyka się w sobie i niejako kryje przed światem największa z nich, przypominająca matronę? Jest to zupełnie nedorzeczone wyobrażenie.

Ale nie o to przecież chodziło. Właściwa interpretacja jest o wiele prostsza, niż się początkowo wydaje. Tot był dziełem boga, miał więc własny charakter. Obdarzono go „językiem”, aby mógł mówić. Nadana mu „twórcza siła” umożliwiła rozważne działanie. W konsekwencji, dzięki przekazanym mu przez wszechducha zdolnościom, Tot był w stanie przejąć odpowiedzialność – za siebie i za wszystkich, których powierzano jego pieczy. Był on pod każdym względem „sercem” i rozumem Ra – a Ra nie był przecież istotą ludzką – to urządzenie mechaniczne, pojazd kosmiczny pozaziemskiej załogi Tota.

Jako dowódca całego przedsięwzięcia Tot siedział w kokpicie statku, sterował nim, a więc również i pod tym względem mógł być uważany za „serce” kosmicznej załogi. Nam w każdym razie porównanie to wydaje się trafne. Serce bowiem, jak wiadomo, jest najważniejszym elementem każdego żywego organizmu. Gdy ustaje jego praca, gaśnie również życie.

Kogo do tej pory nie przekonały jeszcze nasze wywody, ten zapewne zmieni zdanie, zapoznawszy się z następującym fragmentem: „Należał on do załogi” – przy czym „on” oznacza niewątpliwie Tota – „która broniła słonecznej barki Ra...” Stacjonująca na tzw. „słonecznej barce” ekipa liczyła wraz ze swym komendantem dziewięciu astronautów. Członkowie załogi, podporządkowani Totowi, w liczbie ośmiu wymieniani są później w mitologii jako prabogowie.

Egiptolodzy nie wiedzieli jednak, co z nimi począć. Toteż towarzyszący Totowi personel uznany został za spersonifikowane elementy chaosu przed dziełem stworzenia. Interpretacja ta jest mocno naciągana i trudno ją przyjąć już choćby ze względów logicznych. W tym miejscu badacze starożytności dokonali prawdziwej sztuki: zamiast bowiem wprowadzić nieco światła w to zagmatwane zagadnienie, jeszcze bardziej zaciemnili dawną historię Egiptu.

Mieszkańcy Hermopolis względnie kapłani nadali wówczas swemu miastu – w hołdzie ośmiu astronautom z pojazdu kosmicznego „Ra” – imię Chnumu/Chemenu, co jest równoznaczne z określeniem „miasto ośmiu”.

Na pytanie, co to mogło mieć wspólnego z rzekomymi elementami chaosu przed dziełem stworzenia, odpowiedzieć nam muszą znani z przenikliwości egiptolodzy...

Laserem i ultradźwiękami?

W następstwie naiwnej wiary, a także z przesądu w starożytności często wynoszono rzeczy do rangi bóstwa. Personifikowano je – tak jak uczyniono to z „Ra”, pojazdem kosmicznym Tota. Dziś nie da się już ustalić, czy ówczesni kapłani też ulegli tej pomyłce, czy tylko świadomie utrzymywali w błędzie lud. Doprowadziło to do tego, że później egiptologia interpretowała Ra lub słoneczną barkę jako samo słońce – nie zważając na wyraźne zróżnicowanie tych pojęć w starych pismach. Pochodzący z 1870 r. Przekład Heinricha Brugscha unaocznia absurdalność tego rodzaju interpretacji:

„Hor-hut wzleciał ku słońcu jako ogromna, uskrzydłona tarcza. Zabrał ze sobą także boginię południa i północy, występującą pod postacią dwóch węży, aby swym ognistym oddechem strawiły żywcem wrogów. Ich odwaga osłabła, albowiem czuli lęk przed nim. Nie stawiali dłużej oporu, tylko umarli na miejscu”.

„Hor” to egipska wersja zlatynizowanego później Horusa. Słowo to oznacza twarz. Można więc

wnioskować, że mamy tu do czynienia z istotą zarówno męską, jak i ludzką. Właściwe imię Horusa (którego dla uniknięcia nieporozumień przedstawiać będziemy najczęściej pod tym imieniem) nie jest znane kręgom fachowców. Ale „bóg” ten od samego początku kojarzony był z lataniem. I tak jak z Ra, nie zważając na fakty, uczyniono słońce, a dopiero potem „boga słońca”, tak i Horus wyniesiony został do rangi istoty niebieskiej o charakterze bóstwa. Z jedną, drobną różnicą: „Ra” został wprawdzie spersonifikowany, nadal jednak był tylko „przedmiotem” – urządzeniem latającym o nieokreślonych rozmiarach, któremu nadano imię, czyli oznakowano, tak jak czyni się to obecnie, nadając różne nazwy współczesnym samolotom.

Horus natomiast był osobą – pilotem pojazdu, który swym wyglądem mógłby przypominać znane nam dzisiaj „latające talerze”. Za jego symbol słusznie więc uchodził sokół! Dokonany przez Heinricha Brugscha dokładny przekład owego zapisanego hieroglifami przesłania z odległych czasów stanowi pomieszanie wszelkich pojęć. Użyty w tym konkretnym przypadku stary tekst odróżnia ściśle centralną gwiazdę naszego układu planetarnego – Słońce – od pojazdu, jakim Horhut (Horus) odleciał w kierunku nieba – ogromnej, uskrzydłonej tarczy. W związku z powyższym nie wolno tu pominąć napisu „hut” („api”), który stanowił celowe uzupełnienie egipskiej wersji imienia Horus („Hor”). Towarzyszył on niemal zawsze uważanej za znak nieba „uskrzydłonej tarczy słonecznej”, zdobiącej prawie każdą staroegipską świątynię. W tym kontekście jej znaczenie oddane jest jako „skrzydlaty zaprzęg” lub „pilot”.

Każdy, kto bardzo dokładnie przeanalizuje cytowany fragment tekstu, zauważy, z jaką precyzją opisane zostało przedstawione w nim zdarzenie. Horus („skrzydlaty zaprzęg” lub „pilot”) skierował swój latający pojazd ku słońcu, nie zapominając jednak przy tym zabrać na pokład „bogini południa i północy” – „pod postacią dwóch węży”, uzupełnia tekst tajemniczo. Nie chodzi tu jednak ani o istoty ludzkie, ani o gady, lecz niewątpliwie o dwa najbardziej niebezpieczne i skuteczne rodzaje broni. To, że owe narzędzia walki opisane zostały za pomocą synonimów rzekomych „bogiń”, świadczy o tym, iż miano na myśli szczególnie ciężki kaliber, co też potwierdzają słowa: „... aby swym ognistym oddechem strawiły żywcem wrogów”. Energiczna akcja Horusa w bliskim Ziemi kosmosie zakończyła się sukcesem: „Nie stawiali dłużej oporu, tylko umarli na miejscu”.

O jaką to broń mogło chodzić? Nietrudno ulec pokusie i pomyśleć o miotaczu ognia. A może „bogowie astronauty” starożytnego Egiptu używali jeszcze bardziej przerażających środków bojowych w celu zniszczenia swych wrogów. Tylko jakich wrogów? Na to pytanie nie jesteśmy w stanie odpowiedzieć, ale możemy sobie wyobrazić, że być może doszło wówczas do rywalizacji między poszczególnymi dowódcztwami załóg kosmicznych i do walki o dominację nad planetą, a w konsekwencji do apokaliptycznych starć na Ziemi i ponad nią. W mitach hinduskich aż roi się od podobnych motywów. Święte epeje Hindusów, takie jak *Mahabharata*, *Ramajana* i inne, mogą być uważane w tym kontekście za wręcz reporterskie relacje ówczesnych pojedynków.

Wróćmy jednak do Tota, który w takich „lotnych” atakach sprawdził się jako doświadczony dowódca. Heinrich Brugsch sięga po raz kolejny do źródeł staroegipskich, z których każde z osobna rozprawia się z „legendą o skrzydlatej tarczy słonecznej”. Tekst ukazuje ponadto niezwykle obrazowo, co się wówczas wydarzyło.

„I przemówił Święty Majestat Ra-Harmachis do twej świętej osoby Horhut: O ty, dziecko słońca, ty Szlachetny, ty, któryś stworzony został przeze mnie, zniszcz jak najszybciej wroga, który jest przed tobą. Na co Horhut uleciał ku słońcu pod postacią ogromnej tarczy słonecznej ze skrzydłami. I dlatego od tej pory nazywany jest «wielkim bogiem, panem nieba». – Gdy ujrzał wrogów na wysokościach, począł ich ścigać pod postacią ogromnej uskrzydłonej tarczy słonecznej. Rzucił się na nich z takim impetem, że ani nie widzieli na swe oczy, ani nie słyszeli na swe uszy i każdy zabijał swego sąsiada. Po krótkiej chwili ani jeden nie pozostał żywy. Horhut, błyszcząc kolorowo, wrócił pod postacią ogromnej uskrzydłonej tarczy słonecznej do statku Ra-Harmachis. Bóg Tot przemówił do Ra: Panie bogów! Bóg Hut powrócił pod postacią ogromnej uskrzydłonej tarczy... I od tego dnia nazywany jest dlatego Horhut. I powiedział Harmachis: Niech od dzisiaj miasto Apollinopolis zwie się «miastem Horhuta»”.

Przede wszystkim należy zauważyć, iż na początku tej reporterskiej relacji „Święty Majestat Ra” ulega personifikacji. Czytelnicy przypominają sobie z pewnością, że już raz mieliśmy do czynienia z takim przypadkiem. W Roederowskim przekładzie napisów z owego kamienia pamiątkowego znajdującego się w Bostonie zdarzyło się to mianowicie Ra, „gdy Jego Majestat... był pięknym dzieckiem”, przy czym w rzeczywistości również i tam kwiecisty opis i pochwały odnoszą się do pojazdu kosmicznego Tota. Jeśli nawet na pierwszy rzut oka wszystko to wydaje się nieco skomplikowane, rozwiązanie jest o wiele prostsze, niż by można przypuszczać. Trzeba tylko znowu

„oddzielić plewy od ziarna”, a w tym konkretnym przypadku – przyczynę od skutku.

Ponieważ statek kosmiczny w żadnym razie nie mógł mówić, musiało to przebiegać inaczej. Prawdopodobnie najpierw na pokładzie statku odbyła się szczegółowa narada wszystkich członków załogi pod kierownictwem dowódcy (Tota!). Chodziło o ustalenie środków, jakie należało podjąć przeciwko agresorom. Swą gotowość do odparcia ataku zgłosił Horus, który jako doświadczony pilot bojowy (w każdym razie dzisiaj tak można by go określić) cieszył się z pewnością zaufaniem załogi statku. Głównym zaś mówcą w radzie wojennej mógł być Tot i pewnie na nim także spoczywała odpowiedzialność za wyszkolenie Horusa („O ty, dziecko słońca, ty Szlachetny, ty, któryś stworzony został przeze mnie...”). Jednakże ówczesne wydarzenia zostały w wersji mitologicznej przedstawione w sposób uproszczony – słowa Tota i prawdopodobnie zgodę jego ośmioosobowej załogi włożono w „usta” wymagowanego Ra (pojazdu kosmicznego). Istotną wskazówkę wyjaśniającą rzeczywisty przebieg narady przed akcją stanowi słowo „Harmachis”, dodane w tekście legendy do Ra. Jest ono równoznaczne z określeniem „Horus na horyzoncie”. Chodziło więc zapewne o zmierzającego w kierunku nieba pilota, który posługując się okrągłym pojazdem towarzyszącym, podejmował z pokładu ogromnego promu kosmicznego „Ra” swoje akcje.

Trudność w analizie tych tekstów polega na rozpoznaniu zamierzonej lub przypadkowej koincydencji osoby i rzeczy i rozróżnieniu ich (załoga „boska” względnie prom kosmiczny). W niektórych przypadkach nie jest to wcale łatwe zadanie, staje się jednak prostsze, jeśli przestrzega się następującej reguły: Horus, którego symbol sokół odzwierciedla jego uzdolnienia i ówczesną działalność, wyruszał w drogę, czyli symbolicznie wlatywał „ku słońcu”.

Aby uniknąć nieporozumień, trzeba tu jednak zaznaczyć, iż celem pilota nie była oczywiście centralna planeta naszego układu. W tej legendarnej relacji chciano jedynie zasugerować, że Horus wystartował w pobliżu Ziemi kosmos, czyli (symbolicznie) leciał ku słońcu. Ale i w tym miejscu dokonuje się wyraźnego rozróżnienia pomiędzy „słońcem” a „ogromną tarczą słoneczną ze skrzydłami” Horusa. On włączał się do akcji „pod postacią” owej tarczy latającej, co nie oznacza nic innego, jak tylko to, że w czasie akcji znajdował się wewnątrz swego okrągłego pojazdu.

Mogło tu chodzić o niezwykle szybki i łatwo sterowalny pojazd lotniczy, ponadto – co wynika jasno z tekstu – Horus dysponował bez wątpienia jakąś okrutną niszczycielską bronią. Jej działanie było tak silne i skuteczność tak ogromna, „że (wrogowie) ani nie widzieli na swe oczy, ani nie słyszeli na swe uszy i każdy zabijał swojego sąsiada”.

Cóż to mogła być za broń?

Odpowiedź zdaje się kryć w jednym z fragmentów tekstu. Z całą pewnością nie było to nic postrzegalnego za pomocą wzroku, albowiem siły nieprzyjacielskie zostały całkowicie zaskoczone skutecznością tej broni i „w krótkim czasie jednej minuty” doszczętnie zniszczone. Nikt nie uszedł z życiem („...po krótkiej chwili ani jeden nie pozostał żywy”).

Z tego dramatycznego opisu można wywnioskować, iż broń Horusa funkcjonowała na zasadzie akustycznej. Niewykluczone, że operował on ultradźwiękami, co zaskoczonego wroga zupełnie zbiło z pantafelów. Mężowie strony przeciwnej w jednej chwili przestali być panami własnych zmysłów. Zglupieli do tego stopnia, że sami nawzajem się zabijali.

Po zwycięskiej akcji Horus skierował swój pojazd ponownie do punktu wyjścia, tj. do statku macierzystego „Ra”. Zupełnie możliwe, że manewr ten był widoczny z ziemi, albowiem kosmiczny pojazd Tota określany jest w tekście jako Ra-Harmachis, czyli jak wiemy – „Horus na horyzoncie”. Akcja ta prawdopodobnie obserwowana była wówczas przez współczesnych, dzięki czemu kronikarze mogli rozpoznać „uskrzydloną tarczę słoneczną” Horusa w przestrzeni kosmicznej i opisać ją jako „barwnie błyszczącą”.

W owej legendarnej relacji nie omieszkało również wspomnieć o pochwałach, jaką Horus otrzymał od swego dowódcy Tota za stoczenie zwycięskiego pojedynku z wrogiem. „Z tej przyczyny był nazywany od tego dnia Horhut”, dowiadujemy się z przekładu Brugscha, co mogło z całą pewnością oznaczać, iż wraz z dodatkowym przydomkiem „hut” Hor(us) wyróżniony został awansem. Ale na tym nie koniec zaszczytów. Jak przypuszcza się w tekście, cała załoga statku „Ra” podjęła wówczas jednogłośnie decyzję: „Harmachis” – tu nazwa ta oznacza przypuszczalnie „słoneczną barkę” – nadała miastu Apollinopolis imię Horusa („miasto Horhuta”). Dziś figuruje ono pod nazwą Edfu.

Miejscowość ta, zamieszkała przez Arabów, Koptów, Berberów, a także Nubijczyków, leży na zachód od Nilu, około piętnastu minut drogi w głąb łądu. Wznosi się pagórkowato na ruinach

dawno już nie istniejącego miasta Apollinopolis. W przeciwieństwie do innych budowli stara świątynia zachowała się tu po dziś dzień niemal w stanie kompletnym. Znajduje się ona w centrum Edfu, w dziesięciometrowym zagłębieniu pod powierzchnią ziemi. Aby uniknąć pomyłek, należy zaznaczyć, iż nie wiadomo, jak nazywało się Apollinopolis w czasach Tota. Tę grecką nazwę miasto Hor-hut otrzymało znacznie później – podobnie jak imię samego Horusa zmienione zostało na Apollo.

Heinrich Brugsch dowodzi, że dzisiejsze Edfu musiało być jednym z tych miejsc walki, na którym, zgodnie z legendą, „promieniejący bóg światła” Hor wydał wojnę odwiecznemu wrogowi Egiptu, Tyfonowi.

„Legenda ta – pisze Brugsch – naprowadza nas bezpośrednio na ten przedmiot, ...z którym wizerunek uskrzydłonej tarczy słonecznej pozostaje w szczególnym związku”.

Egiptolog ten rozpoznał także naciągany opis w tekstach mitologicznych, który tak wielu jego kolegów wprowadził w błąd. Jest to „czuły punkt”, na który należy zwrócić uwagę.

„Charakterystyczną cechą właściwą istocie starożytnego Egiptu – stwierdza Brugsch – jest to, że wszystko, co znajdowało się w bliższym lub dalszym związku z kultem religijnym, skrywano nie pod zewnętrznymi symbolami, lecz starano się już przez samo nadanie nazwy UKRYĆ w słowach i uczynić niezrozumiałym dla niewtajemniczonych. Właściwy klucz mieli w swych rękach kapłani i jedynie oni mogli pojąć symbol i właściwie zinterpretować niejasne słowo”.

W czasach najbardziej odległych „klucz” ten przekazywano, jak przypuszcza Brugsch, przez naukę ustną. Odbywało się to w ten sposób tak długo, dopóki materiał, jaki należało zapamiętać, nie rozrósł się do tego stopnia, że konieczne stało się sięgnięcie do pisma jako nośnika i strażnika tradycji. Jako „bardzo wymowny przykład” Brugsch wymienia egipską *Księgę Umarłych*. Widać w niej wyraźnie, „jak z biegiem czasu prastare wyobrażenia o istocie bóstwa, wyrażone we właściwy im osobliwy sposób, stawały się coraz mroczniejsze i niezrozumiałe nawet dla wtajemniczonych i jak bardzo potrzebowano nowych objaśnień dla ujęcia starego słowa”. Wydaje się więc wskazane, by nie komplikować jeszcze bardziej starych przekazów, lecz studiować je przytomnym okiem i tłumaczyć w oparciu o dzisiejszą wiedzę. W tym miejscu możemy nawiązać do sceny, w której pilot bojowy Tota, Hor(us)-hut, w swojej „barwnie lśniącej”, uskrzydłonej tarczy słonecznej wrócił na pokład słonecznej barki „Ra”, odniósłszy triumfalne zwycięstwo nad wspólnym wrogiem.

Tym razem – jak pisze Brugsch – „pokonał wrogów na niebie i rzucił na ziemię”, co odważnemu pilotowi przyniosło laur wawrzynu.

„Bóg Tot, ujrzawszy leżących na ziemi wrogów, rzekł: «Ciescie się, bogowie Nieba, ciescie się, bogowie na Ziemi! Horus, nasz młody, powraca w pokoju ze swej wyprawy, dokonawszy rzeczy niezwyklej, zgodnie z księgą, która mówi o pokonaniu Tyfona...» Na co Horus przyjął po raz wtóry postać tarczy słonecznej ze skrzydłami, zajął swe miejsce powyżej przedniej części statku Ra. Zabrał też ze sobą boginie południa i północy, pod postacią dwóch węży, aby swym ognistym oddechem spaliły żywcem wrogów, pod ich wszelką postacią..., wszędzie, gdziekolwiek by się znajdowali w Górnym i Dolnym Egipcie”.

Z powyższego fragmentu dowiadujemy się po raz pierwszy imienia przypuszczalnego przeciwnika Tota. Był nim Tyfon – twardy, jak się zdaje, młodzieniec i wcale niełatwy do pokonania. Właściwe (egipskie) imię Tyfona brzmiało Set, a za jego ojczyznę przyjmowana jest Libia. Z gmatwaniny legendarnych przekazów da się wywnioskować, że wśród pozaziemskich kolonizatorów doszło dość szybko do przejawów zawiści i walki o władzę, Set (Tyfon) zaś rościł sobie pretensje do panowania nad całym państwem egipskim. Jednakże Tot wolał Horusa i wysłał go do walki przeciwko Setowi. Rezultat tego pojedynku już znamy, ale nie skończyło się bynajmniej na tej jednej próbie sił. Heinrich Brugsch odnalazł w starych tekstach dowody przemawiające za tym, że Tyfon alias Set, mimo klęski, posiadał zdolność ciągłego odradzania się. Jego ataki przeciwko zniechęconemu Totowi następowały w formie „metamorfoz”, co nie miało jednak nic wspólnego z baśniowymi czarami–marami, lecz posiadało wymiar technologiczny:

„Naówczas Set – czytamy u Brugscha – przyjął postać ryczącego węża. Zagrzebał się w ziemię obok tego miasta i stał się niewidzialny. I przemówił Ra: «Zamienił się... (Set) w ryczącego lwa. Niech Horus stanie na nim, aby nigdy już nie mógł stamtąd wyjść.»”

Rozgniewany do ostateczności Tot wydał rozkaz przystąpienia do akcji. Poleciał swemu czołowemu wojownikowi Horusowi, aby dał nauczkę upartemu rywalowi.

„I statek Słońca wylądował koło miasta Pe-cherau...”

„Pe-cherau” można przełożyć jako „miasto walki”. Jest to więc określenie ogólne, z którym nie wiązała się żadna konkretna nazwa. Tekst nie wyjaśnia również, w jaki sposób Horusowi udało się tym razem zwyciężyć. Za to jego „uskrzydłona tarcza słoneczna” otrzymała własne imię: „Począwszy od tego dnia święty statek Horhuta nazywany jest «Neb-Cherau» (statek Pana Jazdy)”. Poza tym Horus został mianowany dowódcą floty bojowej Tota („Horhut powinien na zawsze pozostać mistrzem w walce, aby zabijać swych cudzoziemskich wrogów!”), czemu Tot dał wyraz mówiąc: „...twoich statków, o Horhucie, było wiele na wodach...”

Nie mniej interesujące jest dla nas to, jak zostało nazwane narzędzie bojowe Seta: ryczący wąż! Czy nie należy z tego wysnuć wniosku, że miało ono coś wspólnego z akustyką, która była nieodłącznym elementem skuteczności broni Seta? I czy to nie huk działa w połączeniu z jego wyglądem złożyły się na to określenie?

Jest rzeczą wiadomą, iż Egipcjanie przedstawiali swe bóstwa niemal zawsze w postaci obojnaczej. Horus miał głowę sokoła, Tot – ibisa, bogini zaś głowę kota. Nic więc dziwnego, że również najbardziej zagorzały przeciwnik Tota, Set, ukazywany jest nam zarówno pod postacią człowieka, jak i zwierzęcia. Jego głowa przypominała swym wyglądem głowę czarnej dzikiej świni – tyfona.

To osobliwe zwierzę ze swym długim, zakrzywionym pyskiem, stojącymi, spiczastymi uszami i uniesionym, rozszczepionym na końcu ogonem nie daje się tak łatwo sklasyfikować pod względem zoologicznym. Ale dla naszych analitycznych studiów starych tekstów nie ma to aż tak wielkiego znaczenia.

Horus po raz kolejny zwyciężył Seta, co z pewnością stało się możliwe dzięki przewadze jego broni. Jak przystoi zwycięzcy, w kwaterze głównej zgotowano mu godne przyjęcie. Heinrich Brugsch pisze:

„Harmachis podązał w swoim statku i wylądował w pobliżu miasta «Horus-Thron». I przemówił Tot: «Nadawca promieni, spłodzony przez Ra, pobił wrogów w swojej postaci. Począwszy od tego dnia niech nazwany będzie: nadawca promieni, zrodzony z góry światła.»”

Wiemy już, że „Harmachis” (co tłumaczone jest również jako „Horus na horyzoncie”) oznacza (w każdym przypadku), iż barka słoneczna „Ra” była widoczna na niebie, aby tuż potem wylądować w pobliżu „Horus-Thron” – prawdopodobnie siedziby dzielnego pilota bojowego z oddziału Tota. Gdzie leżało owo miasto, nie wiadomo. Z niemałą dozą pewności można przyjąć, że dawno już zniknęło z mapy Egiptu. Oczywiście „Ra”, jak zawsze, dowodzona była przez Tota, on też przemawiał do Horusa. W tym kontakście najbardziej interesuje nas wymienienie po raz pierwszy przez Tota broni, którą nazywa „nadawcą promieni”, a która powstała niewątpliwie w jego kuźni broni” („stworzony przez Ra”).

O co mogło chodzić?

Niemal wszystko przemawia za tym, że siła owego urządzenia przejawiała się już w jego określeniu: nadawca promieni!

Wynika z tego jasno, iż rzecz ta mogła odpowiadać współczesnemu działu laserowemu. Musimy tylko pamiętać o tym, że różne narzędzia niszczenia spotykać będziemy wielokrotnie pod różnymi nazwami. Dlatego też wydaje się wskazane, abyśmy w kolejnym rozdziale zajęli się nieco wnikliwiej znajdującymi się wówczas w użyciu rodzajami broni, stosowanymi przez Tota, Horusa i ich towarzyszy w walce z wrogiem. Już teraz możemy obiecać czytelnikom, że czeka ich kilka pysznych niespodzianek!

Zabójcze oczy

Statek kosmiczny Tota musiał być statkiem bojowym znacznych rozmiarów. Mieścił bowiem w sobie nie tylko „uskrzydłoną tarczę słoneczną Horusa”, ale miał na swym pokładzie także inne statki, dysponujące bronią o najwyższym prawdopodobnie stopniu rażenia. Legendarne jest w tym kontekście „oko Ra”. Aby dać wyobrażenie o mocy tego urządzenia latającego, należy zwrócić uwagę, iż było ono porównywane z ziejącym ogniem wężem ureusem.

Określany jako „oko” pojazd latający był oczywiście obiektem całkowicie samodzielnym. Poza tym korzystanie z niego nie stanowiło wyłącznego przywileju załogi barki słonecznej. Służył on – prawdopodobnie w kilku wersjach ludziom „Ra”, a także Horusowi jako przydatny instrument niszczenia licznych nieprzyjaciół. W wyniku naiwnej wiary, czy też z wyrachowania kapłanów, został podniesiony – jak wiele rzeczy w Starym Państwie – do rangi bóstwa. W ten oto sposób również Tefnut – „lewe oko Horusa” – została boginią, która wraz ze swym „bratem”, bogiem powietrza Szu, uosabiała w kosmogonii Memfis najwyższą władzę boską. Na czym ona polegała, sugeruje nam jedno z opowiadań mitologicznych, w którym mowa jest o tym, że Tefnut, „lewe oko Horusa”, zapodziało się mu kiedyś jako „oko Ra” i wylądowało na Pustyni Nubijskiej. Być może z powodu błędu komputera. Tot wyprawił się zatem z Szu, aby sprowadzić satelitę z powrotem. „Przeistoczywszy się w pawiany”, dowiadujemy się dalej, „odkryli boginię tuż przy górze wschodu słońca...” Totowi udało się odzyskać ponownie kontrolę nad „okiem” – „pokonał” je podobno „czarami”, by potem (przy pomocy Szu) przetransportować je „powietrzem” na pokład.

Do jakiego stopnia sens słów pozostawał w owym czasie „ukryty” w wyniku manipulacji kapłanów, staje się jasne, gdy z legendy dowiadujemy się, że Tefnut po swym powrocie z Nubii „poślubiła” Tota. Nastąpiło to jednakże dopiero wówczas, gdy Ra umieścił ją „jako siejącego postrach węża ureusa” na swym czole. A mówiąc wprost i konkretnie: Tot przystosował do działania „ziewając ogniem” broń (*ureus*) dopiero wtedy, gdy krąbną, określaną jako „oko” łódź znalazła się ponownie na statku macierzystym. Tefnut nie była więc boginią, nie była w ogóle żadną samodzielną istotą, lecz obiektem sztucznego pochodzenia, podobnie jak sam „bóg słońca”. Przedmiotem użytkowym na pokładzie „Ra”, czymś w rodzaju rzeczy posłusznej Totowi i jego załodze. Była jednak wystarczająco uzbrojona w ów śmiertelności przedmiot, o którym usłyszymy jeszcze – w węża ureusa.

Zgładzenie boskich wrogów na całym terytorium Starego Państwa, w której to akcji Horus miał rozstrzygający udział, możliwe dzięki zastosowaniu okrutnej broni niszczenia – „nadawcy promieni”, działającemu przypuszczalnie jak działło laserowe, oraz „ziewającego ogniem” węża ureusa – w bezpośredni sposób przyczyniło się do otoczenia czcią „uskrzydłonej tarczy słonecznej” i do jej popularności. Mówią o tym nauki świątynne z Edfu. Zgodnie z nimi z centrali dowodzenia Ra-Harachte (czyli statku kosmicznego Tota) wydano następujące polecenie:

„Wykonaj to uskrzydłone słońce w każdym miejscu, gdzie osiadłem, również w miejscach bogów w Górnym Egipcie i w Dolnym Egipcie. I wówczas Tot (który prawdopodobnie sam miał w tym udział) uczynił ów obraz w każdej siedzibie boskiej, w każdym miejscu, w którym byli, i gdzie bogowie i boginie są po dzień dzisiejszy”.

„Harachte” oznacza m.in. „Horus obu horyzontów” – określenie to sugeruje pełną widoczność, jaką Tot i jego ośmioosobowa załoga mieli z pokładu statku na cały obszar Egiptu.

A co uczyniła z owego wizerunku „uskrzydłonej tarczy słonecznej” egiptologia? – Motyw dekoracyjny ze skrzydłami, rozciągający się niby baldachim nad Górnym i Dolnym Egiptem, symbol bogactwa domu królewskiego. Symbol słońca lub boga słońca, utożsamianego początkowo z Horusem.

Z biegiem czasu niezrozumiałe teksty i pojęcia coraz bardziej stapiały się w jedno, co dało podstawę do wysnucia tezy, że słońce i księżyc oznaczają oczy Horusa. Podobnie stało się z niebieskim „rozpromienionym złotem” statkiem słonecznym, który w rozumieniu egiptologii dzieli się teraz na dwa statki: barkę poranną „manecet” (prawe oko) i barkę wieczorną „mesektet” (lewe oko). Upraszczając można powiedzieć, że księżyc należy utożsamiać z okiem Horusa (oko księżyc), słońce zaś z okiem Ra. Mimo że interpretację taką wciąż jeszcze znaleźć można w różnych leksykonach egiptologicznych, to stała się ona już przedmiotem gwałtownych sporów w ramach samej egiptologii. I nic dziwnego.

Powód tej wysoce naukowej rozbieżności poglądów jest naszym zdaniem równie drażliwy co zabawny. Są nim liczne i tak różnorodne legendy dotyczące „latających oczu”, które przez różnych „bogów” stosowane były do obserwacji, poszukiwań lub bezwzględnego niszczenia wrogów.

Do najstarszych przekazów tego typu zalicza się mit o oku słonecznym, które „było na obczyźnie”. Chodzi tu mianowicie o tę odtworzoną wyżej historię, w której Tefnut (raz będąca „lewym okiem Horusa”, raz „okiem Ra”) odgrywa decydującą rolę. To, co egiptologia dostrzega w wizerunku Tefnut, jest w pewien sposób i zabawne, i niezrozumiałe. I tak na przykład, wywodzi się ją od „oka sokoła” boga-sokoła Horusa. Nowsze opracowania z kolei widzą w nim „oko byka,

którego kontury, wyznaczone kością nosa i dolną częścią powiek, pociągnięte zostały czarną i zieloną szminką” (Manfred Lurker w *Götter und Symbole der alten Ägypter* [„Bóstwa i symbole starożytnych Egipcjan”], Monachium 1980).

Ktoś, kto nie stracił jeszcze trzeźwego spojrzenia, może się tylko dziwić. Egipciolodzy toną wręcz w symbolice. A w staroegipskich przekazach prawdziwa praprzyczyna aż ciśnie się na pierwszy plan, gdy np. Czytamy: „Kiedy otwiera oczy, wypełnia Kosmos światłem, gdy je zaś zamyka, powstaje ciemność”. Mowa tu o „czołowym pilocie” Tota, Horusie, który wraz ze swą skrzydlatą tarczą słoneczną najczęściej służył w akcjach wojennych i wykorzystywał te niebezpieczne instrumenty jako śmiertcionośną broń. Tzw. „oczy Ra” (Tot posiadał ich na swym ogromnym statku kosmicznym na pewno więcej, a niewątpliwie co najmniej dwa) wyposażone były w coś o charakterze dział laserowych lub w inny, podobnie skuteczny kaliber. Egipciolog Lurker wyraża pewność, że Egipcjanie wiedzieli „o promieniowaniu i świeceniu, o błyskawicach i żarze oczu”, które to zjawiska były używane jako „oznaki władzy i jako symbol ognia”. Ponadto „wąż ureus uchodził za ziejące ogniem oko boga słońca”.

Skoro jesteśmy już przy etymologii, to wypadaloby zająć się także Ozyrysem. Podobnie jak zdemaskowaliśmy rzekomą „boginię” Tefnut jako pojazd towarzyszący latających statków Tota i Horusa, odsłonimy teraz także właściwą tożsamość „boga” Ozyrysa. Również i w tym przypadku nie chodziło wcale o osobę! Potwierdzenia dostarcza nam sama egiptologia, choć jej wyznawcy znowu zupełnie nie dostrzegają prawdziwego tła swoich analitycznych rozważań. Manfred Lurker dowodzi:

„Najbardziej znaną i w swej symbolice być może najbogatszą postacią egipskiego Panteonu jest Ozyrys. JEGO IMIĘ MOGŁOBY OZNACZAĆ TYLE CO «SIEDZIBA OKA» i pozostawałaby wtedy w zgodzie z odpowiadającym mu znakiem pisma”.

Jeśli tak, to dlaczego wszystko pozostaje nadal tak bardzo zagmatwane? Ozyrys, jak stwierdzono wprost, był „siedzibą oka” – czyli, podobnie jak Tefnut, obiektem nieosobowym, wyposażonym w broń ureus pojazdem towarzyszącym dowódczego statku Tota, „Ra”. To samo odnosi się do bogini Izydy, której imię również oznacza „siedzibę” – przy czym niewątpliwie mogła ona pozostawać w ścisłym związku z Ozyrysem. Być może przedstawiała coś w rodzaju sterowania komputerowego czy centrali radiowej tego pojazdu kosmicznego.

Dopiero teraz nabiera właściwej wymowy owa saga, która popowiada o zuchwałym ataku podjętym przez najbardziej zagorzałego wroga i konkurenta w walce o panowanie nad całym państwem Górnego i Dolnego Egiptu.

Set (lub Tyfon) – bo o nim tu mowa – wymyślił sobie w tym celu specjalne uroczystości w mieście Memfis, gdzie po pierwotnym ukazaniu się w Hermopolis rezydował również Tot i jego ośmioosobowa załoga z „Ra”. Świętowano tam po raz kolejny „triumfalny powrót Ozyrysa”, co przypuszczalnie oznacza, że w mieście tym znajdował się „hangar” względnie magazyn broni Tota i Horusa. Inne legendy mówią z kolei, że tego druzgocącego ataku dokonano w Nedit, niedaleko Abydos, jednakże położenie geograficzne danego regionu nie wydaje nam się rozstrzygające. Pewne wydaje się natomiast, że Setowi udało się w jakiś sposób wejść w posiadanie tego niebezpiecznego narzędzia, jakim był Ozyrys, bądź też wykorzystał on możliwość zniszczenia go w nieoczekiwanym zamachu. Według legendy Set rozbił „Ozyrysa” (pojazd towarzyszący, broń lub jedno i drugie) „na czternaście lub szesnaście części”, a następnie zatopił je w Nilu. Inna legenda głosi, że „zwłoki” Ozyrysa zniesione zostały przez wody Nilu w dół rzeki i utknęły w sitowiu bagnistej Delt. Izyda i Neftyda (uważane za bóstwa siostrzane) były rzekomymi świadkami tego haniebnego wydarzenia; znalazłszy fragmenty „oka”, „pobudziły je na nowo do życia”.

Prawdopodobnie te tzw. Boginie to nic innego tylko skomplikowany twór techniczny (coś w rodzaju samoregenerującego się urządzenia komputerowego) – by tak rzec: „dusza” pojazdu kosmicznego „Ozyrys”, albowiem wszelkie dostępne nam przekazy informują zgodnie, że Set uruchomił wszystkie dźwignie, aby zapanować nad „Isis”, schowaną gdzieś w Delcie – co jednak chyba mu się nie udało.

W rywalizacji o rozstrzygającą dominację w Starym Państwie zwyciężył w ostateczności Tot. Jego najbardziej niebezpieczna broń – „nadawca promieni” oraz „wąż ureus” – okazała się skuteczniejsza od broni Seta (mimo jego niszczycielskiego „węża podziemi” Apofisa). A ponieważ, jak wiadomo, po każdej wygranej wojnie zwycięzca (niemal) zawsze ma rację, pokonanemu Setowi przypisano wszelkie możliwe negatywne właściwości. Był więc przedstawiany z rudymi włosami i

rudą brodą – kolor ten symbolizował później w Egipcie „zło”. Za XXII dynastii zaś wiele wizerunków Seta lub aluzji do niego zostało usuniętych i zastąpionych postacią Tota. „Jedyną epoką, w jakiej Set cieszył się jeszcze uznaniem”, dowiadujemy się z tekstów mitologicznych (pomijając okres panowania azjatyckich, a zatem nieegipskich faraonów Hyksosów, którzy darzyli uznaniem Seta, wiążąc go z ich własnym bóstwem Sutechem), „był czas panowania Ramzesów, jako jedynych faraonów, którzy w swym dążeniu do prześcignięcia militarnych dokonań Hyksosów, nadawali sobie imiona takie jak «ukochany przez Seta». To przywrócenie do życia było jednak krótkotrwałe”.

Leksykon kultury egipskiej Knaura (Monachium/Zurych 1960 i 1978) potwierdza tę niekorzystną dla Seta tendencję: „jego wizerunki zamieniano wówczas częściowo na obrazy Amuna (...) Najczęściej jednak obrazy i imię Seta na starszych pomnikach niszczone, a poświęcone mu święte miejsca przeklinano. Z boga «o wielkiej sile» w późniejszym okresie uczyniono złego demona”.

Z całą pewnością nieprzypadkowo na miejscu Seta umieszczono Amuna („pana tchnienia powietrznego”), Set bowiem uchodził od tamtej pory za kogoś w rodzaju „wroga państwa”. Amun natomiast należał do owej grupy „ośmiu”, która wspólnie z Totem ukazała się po raz pierwszy w Hermopolis.

Imię Amun nie było z pewnością jego imieniem prawdziwym, albowiem słowo to oznacza „Ukryty”. Jednym z powodów takiego stanu rzeczy mogło być to, że obcy przybysze różnili się swym zbliżonym do małpy wyglądem od nas, ludzi, w wyniku czego bardzo rzadko pokazywali się publicznie.

Powróćmy jednak do mitu „oka słonecznego”.

Nie chodziło tu bynajmniej o nasze słońce. Dowodzi tego również wypowiedź Tota, przekazana w „jego” *Księdze Umarłych*. W rozdziale 161. znajdujemy wskazówki, jak „bez przeszkód” dotrzeć do wnętrza dysku słonecznego:

„Patrzcie, siłą wymuszam sobie
dostęp do słonecznego dysku...
Słuchajcie, słuchajcie! Rygle potężnej furty
zostają odsunięte...
Przekroczyć wolno tylko mnie
ten święty próg”.

Dotarcie do tego obiektu bez odpowiednich środków ochronnych było prawdopodobnie rzeczą wcale niełatwą. Wskazuje na to *Papirus Kufi*, który przedstawia dość drastyczny opis oka słonecznego „Tefnut” i opowiada o tym, z jakim wysiłkiem udało się wreszcie Totowi odzyskać kontrolę nad owym urządzeniem latającym.

Egiptolog Wilhelm Spiegelberg w *Egipskim micie o oku słonecznym* (Strassburg 1917) przytacza przekład tekstu oryginalnego, w którym Tefnut przeciwstawiona jest Totowi jako „rycząca, rozwścieczona lwica”. A oto ten fragment:

„Jej powierzchnia paliła się ogniem. Jej grzbiet miał barwę krwi, jej oblicze lśniło jak tarcza słoneczna, jej oko żarzyło się ogniem. Jej spojrzenia płonęły jak płomień, ciskając ogniem niczym słońce w południe... Cała się od tego świeciła”.

Dowódca „Ra” był jednakże przygotowany na ewentualne trudności. Wiedział, jak można ponownie przystosować do latania „oko”, które znalazło się poza kontrolą. Przy użyciu swej magii, jak mówi tekst z papyrusu, Tot zdołał ostudzić żar Tefnut i dostać się do jej kokpitu. Od tej chwili urządzenia sterownicze dysku słonecznego były posłuszne jego rozkazom, dzięki czemu bez kłopotu powrócił nim znowu do Egiptu.

Wilhelm Spiegelberg dostrzegł w tej relacji jedynie „bajkę o zwierzętach” lub „przyrodniczy mit”. Równie naiwne i niezadawalające są objaśnienia na temat wznoszącego się i latającego „oka Horusa”, jakie można spotkać niekiedy w publikacjach egiptologicznych. A właśnie odnośnie tej sprawy teksty z egipskiej *Księgi Umarłych* nie pozostawiają najmniejszych wątpliwości co do rzeczywistych okoliczności. Wznoszenie się i zstępowanie w dół „boskiego oka” ukazywane jest wielokrotnie, w rozdz. 140. zaś czytamy:

„Patrzcie, potężny bóg wznosi się na niebie.
Tum się pojawia, otoczony miło pachnącymi obłokami.
Przez promieniowanie uświęconych duchów

rozpłomienia się niebo...

A teraz rozbłyśnie boskie oko

podczas długiej nocy...

Potem rozbłyśnie

boskie oko.

Lśni swoją wspaniałością jak niegdyś

przy nadejściu czasów..."

Tum, inaczej „Atum”, oznacza najwyższe bóstwo w kosmosie i może być tu rozumiany jako pojawienie się anonimowego (czytaj: nieznanego) „boskiego” pilota w latającym pojeździe.

Jeszcze bardziej jednoznacznie opisuje start „oka Horusa” *Papirus Nebseni*. Jego wznoszenie się obserwowali liczni świadkowie, a to rozpalone zjawisko było widoczne nad wieloma egipskimi miastami. I nie chodziło tu zapewne o wschodzące słońce, jak chętnie twierdzą egiptolodzy. Obiekt ten był sterowany! Ton relacji spisanej na zwoju papirusu jest na poły zaklinający, na poły reporterski:

„O ty, boska istoto, która tak ogromnymi krokami
posuwasz się naprzód i wznosisz się w Heliopolis,
wysłuchaj mnie!

...która ukazujesz się w Kher-Aha i której ramiona
otoczone są płonącym ogniem...

która objawiasz się w Hermopolis i

oddychasz zgodnie z bogami...

która wznosisz się na niebie pod

postacią podwójnego lwa...

która rozbłyśniesz w Letopolis i której

dwoje oczu kłują i dżgają niczym sztylety...

której obliczem płonąca maska, ty, która

powoli kroczysz do tyłu...

która rozbłyśniesz w Herakleopolis,

miażdżąc i rozcierając na proch nogi zmarłych,

która kroczysz w Memfis, wysoko

rozrzucając rozpalone płomienie...

która pojawiaasz się nad morzem

i której zęby migoczą połyskliwie jak słońce,

która pojawiaasz się obok szafotu i

rzucasz się chciwie na krew twoich ofiar,

istoto, która opuszczasz swe ukryte siedziby,

istoto, której jedna noga opasana jest płomieniami,

o ty, która rozbłyśniesz na nieboskłonie..."

Podobnie jak opisy Starego Testamentu i Biblii oraz różne ich wariacje dotyczące pojawienia się tzw. „światłości Pana”, również wizerunek „oka Horusa” był jednym z licznych opisów wyglądu „boskich” urządzeń latających. A że na dodatek wyposażone one były w załogę, potwierdza to *Księga Umarłych*:

„Spójrz na Horusa przebywającego w jego boskim oku!
Zanurzam się w otchłań nieba..."

I w innym miejscu:

„Horus siedzi teraz na tronie, co wznosi się
z morza ognia!"

Lub:

„Spójrzcie, jak rozświetlony promieniami, z napiętym
żaglem sunę w niebieskiej barce w górę ku gwiazdom!"

Tu nie ma mowy o żadnej symbolice. To, o czym tu czytamy, rzeczywiście się wydarzyło.

VIII. Skrzydlata tarcza słoneczna

Oczywiście zdarzały się w owych czasach w Egipcie także i wypadki. Niektóre kończyły się nawet śmiercią. Również Horus miał problemy. Po gwałtownym pojedynku ze swym zaciętym wrogiem Setem jego urządzenie latające, tzw. „ogniste oko”, zostało najpierw uszkodzone, a potem zdobyte przez przeciwnika. Horusowi udało się jednak odzyskać („odnaleźć”) swą bezcenną własność, ale musiał poddać naprawie („wyleczyć”) uszkodzony pojazd. Specjalistą od tego był Tot, który wykorzystując umiejętności matematyczne, zdołał ponownie złożyć poszczególne części „oka Horusa” i uczynić całość zdolną do użytku. Jak dowiadujemy się ze zwojów papyrusu, Tot przed odlotem „napełnił” ów na nowo sprawny obiekt, przez co z całą pewnością należy rozumieć proces „tankowania”. W podobnych pod względem treści mitach przewijają się również „wzbudzające postrach oko słoneczne”, „oko Ra”, a także „niepowtarzalne oko Atum”.

Jeśli przyjąć założenie, że określone części kilku większych obiektów kultu (np. w Denderze, Edfu, Abydos) miały do spełnienia szczególne zadania i dlatego pozostawały niedostępne dla „niewtajemniczonych” (a przez ludność były uważane za święte), wówczas hipoteza o istnieniu w obrębie świątyń ważnych urzędzeń służących komunikacji lotniczej „bogów”, np. warsztatów naprawczych czy magazynów z paliwem, nie wydaje się wcale taka naciągana.

I rzeczywiście, w świątyni w Edfu i Denderze znajdują się specjalne schody, które egiptologia, z braku lepszych wyjaśnień, określa jako „schody rytualne”. Gdy jednak zagłębić się bardziej wnikliwie w treść pewnych wspomnień mitologicznych, można się wówczas dowiedzieć, do czego owe schodki służyły naprawdę. Otóż prowadziły one prawdopodobnie do „mózgu” obiektu świątynnego, gdzie dokonywano („świętowano”) „napełnienia” latających obiektów (oczu), względnie ich naprawy. Tak odnowione urządzenie nazywano potem *okiem udżat*. W przypadku Horusa, który był w posiadaniu takich maszyn latających, *oko udżat* – zgodnie z twierdzeniem egiptologów składało się z trzech elementów: człowieka, sokoła i pantery. Owo połączenie egiptologia wyjaśnia rzekomym wyglądem „latającej pantery”, istoty niebieskiej. I jest to zupełnie zrozumiałe. Jeśli nawet to i owo uległo zatarciu, jedno zostało, jak się zdaje, zachowane: fakt latania. A że w przypadku owych „oczu” chodziło o skrzydlate urządzenia, wyposażone w śmiercionośną broń, udowodniliśmy już wcześniej.

Ortodoksyjna egiptologia nie jest w stanie sprostac tego rodzaju faktom, o czym świadczą rozważania licznych uczonych. Jeden z nich prof. J. H. Breasted dostrzega w starych przekazach jedynie „motywy myśliwskie”, a „sprowadzenie ognistego oka” interpretuje jako „prymitywną scenę z polowania”. Usiłując podciągnąć owe opowiadania pod „zwykłe mity przyrody”, próbując określić je jako „barwny wachlarz legend”, „dopuszczający wiele interpretacji”, prof. Breasted daje dowód nie tylko braku wyobraźni, ale i braku elastyczności jako naukowiec.

Jeszcze bardziej naiwnie ocenia ów legendarny materiał jego kolega po fachu, prof. Rudolf Anthes. Aż korci, by jemu i podobnie myślącym akademikom podsunąć krzywe zwierciadło i przytoczyć słowa *Księgi Ezechiela* ze Starego Testamentu: „Nie bój się ich słów i nie drzyj przed ich obliczem, gdyż to dom przekory! / Lecz mów do nich moje słowa – czy będą słuchać, czy nie – gdyż są przekorni”. (*Księga Ezechiela*, 2, 6–2, 7), które może wreszcie nakłonią ich do myślenia nie w sposób abstrakcyjny, lecz logiczny.

Jako „zabawę w słowa” określa prof. Anthes te opowiadania, które mówią o zatankowaniu pustego oka Horusa przez pełne oko Horusa. Według niego historia ta oznacza jedynie „umieszczenie oka Horusa w pustych oczodołach” – niezależnie od tego, jaki sens praktyczny mogłoby to mieć.

Twierdzenie, że oko Horusa było zdolne do latania, prof. Anthes bez wahania odrzuca. Jego interpretacja brzmi następująco:

„Horus miał dwoje naturalnych oczu, «oko Horusa» jest zatem dodatkowym, swoistym trzecim, cokolwiek by to oznaczało”.

Mamy tu więc do czynienia z niezwykle deficytem interpretacji. W mitologii i rzeczywistości językowej Egiptu identyczne pod względem istoty pojęcia często ulegają wymieszaniu, co nieuchronnie prowadzi do nieporozumień i sprzeczności. Nierzadko pierwotne znaczenie pojęcia daje się odszukać jedynie z wielkim wysiłkiem, a niekiedy w ogóle jest to niemożliwe. Oto przykłady:

- wyobrażenie sklepienia niebieskiego pod postacią sokoła;
- Horus-sokół jako bóstwo;
- jako ptak, jako Hor-hut pod postacią uskrzydłonej tarczy słonecznej;

ponadto:

- uskrzydłone słońce, ziejące ogniem węże ureusy, oko słoneczne, oko Ra, „osobliwe” oko Atum, słońce jako gwiazda, łódź słoneczna, barka poranna, barka wieczorna, barki niebieskie, księżyc, oko księżycy, „uzdrowione” *oko udżat*, oko Horusa, oko słoneczne jako bogini Hathor, oko słoneczne jako bogini słońca, bóg Tot jako oko księżycy – i podobne.

Powyższą listę można kontynuować w nieskończoność.

Mylnie przekazy

Jeszcze większy chaos wprowadzają oczywiście także różne tłumaczenia starych tekstów, wpływające z odmiennych interpretacji. Przyczyną niespójnych objaśnień jest też forma zapisu, która z upływem stuleci uległa zmianie. Ponadto kapłani Starego Państwa posługiwali się tajemnym pismem, zrozumiałym wyłącznie dla nich, czego przykładem mogą być hieroglify z krypt świątyni bogini Hathor w Denderze, które właśnie są w trakcie rozszyfrowywania. W tym przypadku – biorąc pod uwagę przynależne im reliefy ze ścian podziemnych katakumb Dendery jako materiał ilustracyjny – bardzo dużo jeszcze pozostało do wyjaśnienia. Współczesnemu obserwatorowi zbyt wiele spraw wydaje się tu niezrozumiałych, a przynajmniej wieloznacznych.

Niestety, nauka poprzestaje często na upartym trwaniu przy przestarzałych szablonaх interpretacyjnych. Ze wszystkich zachowanych tekstów starożytnego Egiptu egiptolodzy nie potrafią na razie wyodrębnić realnych faktów. Zadowolają się symbolicznymi wyjaśnieniami, tkwiąc nieugięcie w pojęciowych schematach. W wyjątkowych, ezoterycznych zwyczajach doszukują się jedynie działań kultowych, tworząc w ten sposób na własny użytek świat mistyczny, co do którego można mieć ogromne wątpliwości, czy mógłby odpowiadać ówczesnym realiom.

A na dodatek bardzo często dochodzi jeszcze do różnego pojmowania przez egiptologów określonych słów. I tak – by podać tylko dwa przykłady – pojęcie *ogień* (w zależności od zastosowania w pierwotnym tekście przekazu) – może być przełożone zarówno jako „promieniowanie”, a także jako „błyszczanie”, a określenie „wznosić się” dopuszcza również wiele interpretacji, np. „wychodzić”, „wysiadać”, „latać”, „wspinać się”, a także „oddalać się”.

W obliczu tego rodzaju rozbieżności, które z całą pewnością nie są wynikiem złej woli, lecz nieudolności tłumaczenia starych hieroglificznych zapisów, już niejedyn ambitny egiptolog znalazł się w ślepej uliczce. I to tylko dlatego, że nie potrafił wyzwolić się od zastanych schematów myślowych. A przecież każdy parający się nauką człowiek powinien zdać sobie sprawę, że ludzie tamtej epoki nie musieli wcale kształtować swego życia według tych kategorii, jakie narzucane są im częściowo w ramach studiów nad starożytnością. Gdy źródła oryginalne opisują pojazd latający i mówią, że „przemierza on siedziby Seta na niebie pod postacią uskrzydłonej tarczy słonecznej, lśniącej jak słońce, sterowanej przez Tefnut i Szu, wznosząc się z miasta Heliopolis”, to nie należy tych słów wtłaczać na siłę w przygotowane uprzednio ramy narracji. Naprawdę trudno zrozumieć, dlaczego kronikarze swoich czasów mieliby koniecznie mylić „uskrzydłoną tarczę słoneczną”, która wzniosła się ku niebu z jakiegoś miejsca startowego miasta Heliopolis, z rzeczywistym słońcem (jak to zakłada wielu egiptologów). Jest przecież odwrotnie: kronikarze ci oddzielają bardzo wyraźnie jedno od drugiego, oznajmiając, że owa tarcza latająca w swym blasku przypominała

słońce – a zatem byli w pełni świadomi różnicy między tymi dwoma obiektami.

Jednakże obciążanie generalnie wszystkich archeologów, przeprowadzających badania w Egipcie, tego rodzaju chaosem pojęciowym byłoby niesprawiedliwe. Są tu także wyjątki, o czym świadczą różnice zdań panujące od dawna wśród uczonych, którzy bynajmniej nie zawsze wykazują jednomyślność.

I tak, wspomniany już przez nas prof. Anthes wykazał, że popularna opinia, według której słońce i księżyc to inaczej „obydwoje oczu” (Ra i Horusa), nie znajduje potwierdzenia w *Tekstach Piramid*, a zatem pozostaje w sprzeczności z pojęciem „osobliwego oka”, opisanym w *Tekstach Sarkofagów*. Ale proponowana przez Anthesa interpretacja nie jest wcale mniej kontrowersyjna: naukowiec ów dopatruje się bowiem w „oku Ra” „gwiazdy – mianowicie Syriusza – a także zupełnie ogólnie gwiazdy porannej i wieczornej, czyli nieokreślonej astronomicznie, która tylko w okolicy przełomu roku jest Syriuszem”. Natomiast „oko Horusa” to według niego jedynie określenie *królestwa ziemskiego*.

Przykro nam, ale z tak mglistych rozważań nauki nie możemy w ogóle skorzystać! Chyba nie da się w sposób jeszcze bardziej niezdecydowany i enigmatyczny zinterpretować danych dotyczących pradziejów człowieka. Z całą pewnością nie tak zamierzano je wówczas przedstawić potomności.

Również teza amerykańskiego pisarza i lingwisty Zecharii Sitchina, że tego rodzaju odwzorowania uskrzydłonych tarcz słonecznych oznaczały pierwotnie planetę określoną przez niego jako „dwunasta” (*Götter, Mythen, Kulturen, Pyramiden, Herbig*, Monachium 1990), rozmija się, naszym zdaniem, z przekazanymi faktami. Sitchin twierdzi, że dowód na istnienie tej gwiazdy znalazł w sumeryjskich tekstach sporządzonych pismem klinowym. Zgodnie z tą teorią, „jego” planeta porusza się po dużej orbicie eliptycznej, pojawiając się raz na 3600 lat w naszym systemie słonecznym, W książce swej pisze:

„Przyjmując założenie, że tarcza niebieska na wizerunkach egipskich przedstawiała niebieską siedzibę Ra, uczeni określali uparcie Ra jako boga słońca, uskrzydłą tarczę zaś jako tarczę słoneczną. Teraz dopiero jasne jest, że to nie słońce, lecz Dwunasta Planeta była tak przedstawiana”.

Pomijając już fakt, że w przypadku tym wszyscy (zdaniem Sitchina wysoce rozwinięci i inteligentni) mieszkańcy (postulowanej przez niego) „Dwunastej Planety” narażeni byłiby na niewyobrażalne obciążenia podczas trwającej tysiące lat wędrówki tego ciała niebieskiego przez śmiertelny chłód kosmosu i że żadne ciepło słoneczne nie podtrzymałoby jego ekosfery, to na dodatek hipotezie tej przeczą jeszcze teksty starożytnego Egiptu.

Przez kronikarzy tamtej epoki słońce, jako gwiazda, przedstawiane było pod postacią wychodzących z niego promieni. „Uskrzydłą tarczą słoneczną” nazywali natomiast zawsze poruszający się w przestrzeni niebieskiej *latający pojazd!*

Tak czy inaczej, to precyzyjne odwzorowanie wydaje się sprzeczne z wyobrażeniem, że mogłoby tu chodzić o jakąś planetę czy w ogóle gwiazdę. Zachowane przekazy pozwalają raczej przypuszczać, że przy obsłudze owych urządzeń konieczne były szczególne umiejętności techniczne. A zatem wszystko to uległo później niewłaściwej interpretacji.

Planeta Tota

Imię „Tot” związane jest ściśle w mitologii egipskiej z pojęciem „latać”, a on sam w przypisywanej mu treściowo *Księdze Umarłych* przedstawia relację z takiego lotu, która zdaje się być i zaklęciem, i reportażem jednocześnie. Oczywiście tutaj także wszystko ukazane jest w sposób nieco zagmatwany, przy użyciu tradycyjnej orientalnokwiecistej retoryki. Mimo to warto poddać się euforycznemu nastrojowi Tota podczas jego „podróży ku niebu” i przenieść się w świat uczuć tego praegipskiego tytana, którego prawdziwą tożsamość otacza nimb tajemnicy, nigdy do końca nie wyjaśnionej.

A oto fragment rozdziału 136. egipskiej *Księgi Umarłych*, którego tytuł brzmi: „Aby udać się łodzią Ra”:

„O wy, duchy gwiazdne z Iunu,
I wy, istoty świetlne z Kher-Aha!
Patrzcie, właśnie narodził się bóg!

Kompletny jest takielunek jego niebieskiej barki.
Teraz chwyta za wiosła...
Jestem chyba wystarczająco silny, aby dowodzić
bronią bogów! Oto pozwalam sunąć mojej łodzi,
i spójr!
Jestem już po środku nieba; przemierzając jego kanały
dotarłem do Nut; jako małpie podobna istota
towarzyszę barce Ra; z dala trzymam od kosmosu zło,
jakie mu zagraża, tak samo jak zagraża schodom
Sbagu”.

Słowa te kojarzą nam się, w pierwszej chwili z czymś w rodzaju radiotelegramu, jaki Tot z kokpitu swojej barki kosmicznej „Ra” skierował do nie dających się bliżej określić „duchów gwiezdnych” i „istot świetlnych”. Można założyć, że w obu tych przypadkach chodziło zapewne o istoty najwyższe, uważane w Starym Państwie za „boskie”. Z kolei „Iunu” mogło oznaczać położone w dolinie Nilu stare miasto, którego nazwa pochodziła prawdopodobnie od słowa „iun”. A „iun” znaczyło tyle samo co „filar”, ten zaś posiadał wykraczającą poza powyższe znaczenie właściwość: uważany był za fetysz miasta Heliopolis – co być może wyjaśniałoby pochodzenie nazwy „Junu” (pod którą kryło się owo Heliopolis). Co się zaś tyczy wspomnianych filarów (czytamy w *Götter und Symbole der alten Ägypter* [„Bogowie i symbole starożytnych Egipcjan”]), to nie mają one nic wspólnego z obeliskami, o których pierwotnym znaczeniu dowiemy się nieco później.

Kher-Aha, drugie miasto wymienione przez Tota w *Księdze Umarłych*, leżało blisko Memfis i dzisiaj może być z całą pewnością zidentyfikowane jako Fustat (Stary Kair). Interesujący wydaje się w tym kontekście komentarz francuskiego egiptologa prof. Dra Gregoire'a Kolpaktchy'ego, zawarty w aneksie do *Księgi Umarłych*, którą uczony ten przetłumaczył z języka angielskiego na francuski i niemiecki. „Tak jak zawsze, gdy w *Księdze Umarłych* wymieniane są miasta – stwierdza Kolpaktchy – nie chodzi o miasto ziemskie, lecz o jego prototyp, prawzór na wyższym «planie»”.

Kto przyjął początkowo, że raport Tota opowiada jedynie o zwyczajnej przejażdżce łodzią po Nilu, niebawem musi uznać to za błąd. Nasz boski reporter mówi całkiem jednoznacznie o „takielunku niebieskiej barki”, daje też do zrozumienia, że „Ra” była dostatecznie wyposażona, a on sam potrafił obchodzić się z „bronią bogów”. Z dalszych słów wynika jasno, iż ów statek kosmiczny posłuszny był jego sterom i że w mig znalazł się „pośrodku nieba”, „przemierzając jego kanały”.

W ten sposób Tot dotarł do „Nut”. Nie była ona boginią w tradycyjnym znaczeniu. Według heliopolitańskiej nauki o bogach symbolizowała po prostu „nieboskłon”. Należy zatem przyjąć, że Tot, który w czasie tego lotu czuł się wspaniale i nie kryjąc entuzjazmu, dawał temu wyraz („Spójrście, właśnie narodził się bóg!”), opuścił w swym pojeździe przestrzeń okołoziemską (stratosferę). Nie przemilcza przed nami także swojego prawdziwego wyglądu, określając siebie jako „istotę małpie podobną”. Tu warto przytoczyć interesującą uwagę poczynioną na ten temat przez prof. Kolpaktchy'ego:

„Istota małpie podobna – aani, wasale Tota, bogowie wiedzy ezoterycznej, czciciele słońca”.

I tak oto, w sposób oczywiście niezamierzony, ów doświadczony Francuz potwierdza nasze przypuszczenie, że w przypadku Tota i towarzyszącej mu załogi (ośmiu „prabóstw”) chodziło wprawdzie o przedstawicieli ludzkiej, lecz z pewnością nie ziemskiej inteligencji. W tym miejscu w pełni zrozumiałą jest niepokój egiptologów, każący im zgadywać, dlaczego „bóg-pawian” Tot ma wprawdzie ciało małpy, ale wyglądem twarzy w ogóle jej nie przypomina. Hamburgski egiptolog dr Wolfgang Waikus, na przykład, porównuje głowę Tota z głową żaby!

Następnie Tot udał się w oddalony od Ziemi Kosmos. To, czego dowiadujemy się na ten temat z *Księgi Umarłych*, ma charakter sensacji. Można odnieść wrażenie, że Tot wyruszył w swego rodzaju lot kontrolny („...z dala trzymam od kosmosu zło, jakie mu zagraża...”) i udał się w rejon naszego systemu słonecznego, określony przez niego jako „schody Sbagu”. I tu pojawia się pewien problem. Ale Kolpaktchy w aneksie do *Księgi Umarłych* odsłania tożsamość owych zagadkowych „schodów” w Kosmosie: „Sbagu” (lub „Sebagu”) to staroegipskie określenie planety Merkury!

To najbliższe Słońcu ciało niebieskie jest oddalone od naszej macierzystej planety o 57,9 mln km. Jego średnica ekwatorialna wynosi zaledwie 5140 km (dla porównania: średnica Ziemi wynosi

12756 km). W rozgwieżdzone noce można dostrzec Merkurego na niebie również gołym okiem. Planeta ta nie posiada ani atmosfery, ani księżyców, temperatura panująca na jej powierzchni jest bardzo wysoka – waha się od 200 do 400°C. Czas trwania rotacji planety nie jest nam niestety znany – znany jest natomiast jej przyczynowy związek z owym mitologicznym tytanem, o którym tutaj mówimy. Nazwa Merkury da się mianowicie wywieść od imienia rzymskiego boga Merkuriusza, którego greckim odpowiednikiem jest Hermes. A Hermes z kolei to nikt inny, jak tylko znany nam z Egiptu boski Tot!

Abu'l-Faradz (ur. W 1226 r. w Metylenie) wspomina go w swej *Historii dynastii* jako „Hermesa Babilończyka”. Hermes/Tot żył podobno w czasach tuż „po potopie” w „Kallubie, mieście Chaldejczyków”. Jemu właśnie ten semicki naród – jak pisze Abu'l-Faradz – zawdzięczał najważniejsze wiadomości dotyczące gwiazd. Hermes/Tot był tym, który „jako pierwszy po Nimrodzie, synu Kusza, odbudował miasto Babilon”. Również kronikarz Al Bitrudzi (XII w.) wspomina o babilońskim Hermesie. Średniowieczni Sabierowie uważali go za twórcę ich religii i podziwiali jego rozległą wiedzę astronomiczną.

Znając relacje mitologiczne, nie dziwią nas wcale liczne wyprawy Hermesa/Tota na ziemi i w kosmosie. One też mogły stać się powodem, dla którego awansował on u starożytnych do rangi „posłańca bogów” i był czczony jako bóg trzód i opiekun podróży oraz karawan. Ku jego czci wznoszono przy drogach słupy z kamienia – tzw. *hermy*. Również Chaldejczycy widzieli w Hermesie (podobnie jak starożytni Egipcjanie w Tocie) wybitną osobowość, cieszącą się w całym Oriencie najwyższym szacunkiem – i wcale nieprzypadkowo (co stwierdziliśmy powyżej) kojarzoną z planetą Merkury.

Dlaczego jednak doszło do tej wyprawy? Co kazało Totowi wyruszyć z Egiptu słoneczną barką „Ra” w przestrzeń kosmiczną i wraz z ośmioosobową załogą (praboską „Ósemką”) skierować się w stronę Merkurego? Na pewno nie były to przyczyny natury astronomicznej czy astrologicznej. W przedsięwzięciu tym należałoby się raczej doszukiwać powodów czysto strategicznych. A te odsłaniają się wyraźnie w następnym rozdziale *Księgi Zmarłych* (137.), w którym najbardziej doświadczony pilot bojowy Horus sprawdza się po raz kolejny:

„Spójrzcie, promieniejące oko Horusa, błyszczące jak Ra,
ukazuje się na niebie; poruszając się w bratnich sferach,
pokonuje trzykrotną przewagę Seta.
Albowiem przez bogów postanowiono, że Set zostanie pojmany i wydany; przeciw niemu zwrócony będzie trawiący ogień boskiego oka...”

Broń, jaką Tot i Horus posłużyli się w walce z ich zaciętym wrogiem, Setem, musiała być nadzwyczaj skuteczna i do tego druzgocąca. Jej zasięg umożliwił załodze statku kosmicznego przeciwstawienie się nawet trzykrotnie większym siłom wroga. Podobnie jak poprzednio, także i teraz „promieniejące oko” – dodatkowa łódź „Ra” wyposażona w śmiertcionośne narzędzia wojenne, jak miotacze płomieni, działa laserowe i urządzenia ultradźwiękowe – odegrało rozstrzygającą rolę w walce. Również ten pojedynek, tak jak inne potyczki zakończył się chyba kolejnym zwycięstwem Tota i jego załogi – w każdym razie tak wynika z treści rozdziału 136. egipskiej *Księgi Umarłych*, którą czyta się niemal jak dziennik pokładowy, spisany ręką kapitana. Fragment ten brzmi:

„Dalej! Sił mam teraz aż nadto!
Mistrzem i panem jestem boskiej sprawiedliwości,
której cugle trzyma w ręku władczyni Wadzet.
Siły, co ze wszystkich zakątków i krańców
świata płyną, chroniąc mnie,
zaprawdę osłaniają Ra na niebie!
Otwieram siłę, która mnie chroni, ona
chroni też i ciebie!”

Już na samym początku Tot czuje się bardzo pewny siebie, wręcz powołany jako „wybraniec”, by dopomóc w zwycięstwie boskiej sprawiedliwości (jak sam ją określa). Jego oparciem w tym zamiarze wydaje się m.in. „władczyni Wadzet”, w przypadku której po raz kolejny nie chodzi z

pewnością o osobę, lecz o broń. Jednakże Kopaktchy zauważa, że Wadżet (Uadżit, Uto – przyp. red.) to imię „pradawnej” bogini węży, której świątynia znajdowała się w Buto (Per-Uadżit). Jej domeną był Dolny Egipt – tu zwany „Egrogor”, Górny zaś Egipt przynależał Nekhebit (Nechbet – przyp. red.). Lecz w obu przypadkach chodziło o przedmioty, co bez trudu można odczytać z komentarza Kopaktchy'ego. Píše on, iż obie „boginie” przedstawione były symbolicznie pod postacią „dwóch węży ureusów na czole Ra” (podobnie jak na koronie królów egipskich). Ureus z kolei wiąże się ze znanym nam już „węzem ureusem”, pod którym to określeniem kryje się niezwykle niebezpieczna broń, funkcjonująca przypuszczalnie na podobnej zasadzie jak używane dzisiaj miotacze ognia. W innym miejscu aneksu komentator zauważa, że Wadżet była tożsama z „boskimi oczami” Ra – co jasno wyraża sens myśli.

Wyraźnie widać, że Tot i jego ośmiu towarzyszy (wśród których, jak zawsze, znajdował się wielokrotnie sprawdzony „pilot bojowy” Horus) w pełni polegali na druzgocącej sile tej miotającej ogień broni. Potwierdza to także zawarta w tekście wskazówka, że chcąc dopomóc „boskiej sprawiedliwości”, powierzono prowadzenie „jej cugli” władczyni Wadżet, co podkreśla niewątpliwie dominujące znaczenie jej ognistego „oddziaływania”. W spisany przez siebie dzienniku pokładowym Tot nie pozostawia też wątpliwości co do przydzielonego sobie samemu zadania:

„Jako bóg zemsty ukazuję się na niebie
I dla Ra przywracam na nim na nowo porządek.
Serce bogów raduje się, gdy ujarzmiam demony...
Albowiem ja jestem bóstwem, tajemnym,
o zamglonym obliczu...
Rozpierają mnie siły, a moje dary ofiarne
przyjmuję o czasie wyznaczonym przez los”.

Nieustanne ataki Seta, jego uparta walka o dominację w Starym Państwie przeszkadzały Totowi. Ten pozaziemski trybun w coraz większej mierze czuł się strażnikiem starego (sterowanego przez niego) porządku, ale uważał się również za ducha zemsty, dokonywanej na tych, którzy – jak Set – wyraźnie dążyli do zachwiania fundamentem starego Egiptu. We fragmencie tym uwagę zwracają dwa słowa: „serce” (bogów) i „demony”. Jak pamiętamy, już przy okazji identyfikacji Ra jako maszyny latającej Tota został on określony jako „serce Ra” – a zatem centralny ośrodek i jednocześnie wódz tego niebieskiego przedsięwzięcia.

Tutaj także wydaje się istnieć całkowita zgodność: Tot jako „serce” (centrum konfliktu z Setem), jako latający dowódca bojowych akcji w kosmosie. Ów Set jednakże, po swej ostatecznej klęsce w walce o tron starożytnego Egiptu, zarówno publicznie, jak i we wszystkich dokumentach pisanych został umieszczony na swego rodzaju czarnej liście i, strącony z boskich wyżyn, stał się pogardzanym „demonem”. Nic więc dziwnego, że w późniejszym rękopisie *Księgi Umarłych* podtrzymano tę pogardliwą ocenę i uznano Seta wraz z pokonanymi towarzyszami za „demony”.

Totowi musiało bardzo zależeć na utrzymaniu w tajemnicy swej prawdziwej tożsamości także wobec późniejszych generacji. Stąd może właśnie ta wskazówka, iż jest on „tajemnym” bóstwem z „zamglonym” obliczu. Natomiast salomonową mądrością i lisią przebiegłością wydaje się praktykowana przez niego skromność, polegająca na tym, że należnych mu „darów ofiarnych” – trybutu składanego Totowi za jego działalność – domagał się dopiero w określonym momencie („w czasie wyznaczonym przez los”).

Wśród bóstw egipskich wiele jest takich, które nigdy nie występują inaczej niż pod postacią ludzką. Co prawda wyposażone są one w szczególne atrybuty, na przykład w tzw. „boskie laski”, ozdobione głowami określonych bóstw lub ich świętych zwierząt. Inne z kolei – do nich należał również Tot – miały obce, zwierzęce rysy (może maski), które kryły je przed ludźmi.

Już na początku dynastii faraonów w Hermopolis istniał osobliwy rytuał, związany nierozłącznie z bogiem słońca, a nazywany „odsłonięciem twarzy”. Tot, jak wiadomo, pokazywał się chętnie pod postacią ogromnego, białego pawiana. Jak więc należy rozumieć ten rytuał? Może była to aluzja do zdjęcia z głowy – hełmu kosmonauty?

Egipska *Księga Umarłych* nie przemilcza też wcale, gdzie znajdowały się miejsca składowania poszczególnych rodzajów broni. Dotyczyło to zwłaszcza „płonącego oka” Horusa, o którym czytamy:

„Zaprawdę, płonące oko Horusa żyje!
Żyje w skrzyni świątyni, tej wielkiej:

a imię jej jest «An-Maut-f»”.

I by rozwiać najmniejsze choćby wątpliwości, że w przypadku owego „oka” nie chodziło tylko o symboliczny znak, pozbawiony realnego znaczenia, *Księga Umarłych*, będąca swoistym testamentem Tota, zdradza nam funkcję i zadanie tego latającego obiektu, noszącego imię „Ozyrys”:

„O Ozyrysie!
Oto ja, Horus, który troszczy się o ciebie.
Doprawdy, potężni tamtego świata drżą
ze strachu, gdy, z nożem w dłoni,
ty opuszczasz Duat...
Spójrz na Horusa przebywającego
tu, w swoim boskim oku! Spójrz na Tuma
wśród jego płomieni! Bogowie wschodu
a także zachodu spoczywają w jego łonie.
Dotarłem do miejsca: było mi przeznaczone.
Głowa zdobna w koronę, przekraczam bramę,
O ty, bóstwo podwójnych skrzydeł,
którego imię Tajemnica! Dowiedz się:
Ja jestem święty lotos.
Moje promienie przenikają głębie nieba”.

Fragment ten dostarcza nam szczegółów na temat przebiegu startu w „hangarze” oka Horusa. „Ozyrys”, samodzielny obiekt latający, używany jednak najczęściej we wspólnych akcjach bojowych razem z barką słoneczną „Ra”, opuszcza Duat. Ze słów: „zaprawdę, potężni tamtego świata drżą ze strachu”, można wywnioskować, że „oko” po raz kolejny wyprawione zostało z morderczą misją – „z nożem w dłoni”. Sformułowanie to miało służyć przypuszczalnie podkreśleniu szczególnie niebezpiecznego charakteru pojazdu.

Słowo „Duat” z punktu widzenia egiptologii oznacza „świat podziemny”, co niektórzy uczeni próbowali wyobrazić sobie jako królestwo zmarłych. My zaś jesteśmy pewni, że nie tak było to rozumiane. A w każdym razie nie w tym rozmytym znaczeniu, jakie proponują egiptolodzy. Wychodząc bowiem z założenia, że to latające oko, ów służący Totowi „Kamikaze”, umieszczone było we wspomnianej wcześniej „skrzyni” świątyni „An-Maut-f”, określonej mianem wielkiej – można wysnuć dość prawdopodobny wniosek, iż miejsce to znajdowało się pod ziemią (mówiąc obrazowo: w „podziemiu”). W ten tylko sposób można było zapewnić optymalną ochronę urządzenia latającego. Dlatego też Tot nie omieszkął zwrócić szczególnej uwagi w „swojej” *Księdze Umarłych* na pilota „boskiego oka”. Jego los był bez wątpienia ściśle związany z losem „Ozyrysa” (czy jak nazywał się ów obiekt latający). Na tej podstawie można również stwierdzić, że tzw. „oko Horusa” nie mogło być wyłącznie symbolem, który raz udawał słońce, raz księżyc. O wiele bardziej kojarzy się z nim zdolny do latania pojazd powietrzny. Używano go do specjalnych zadań w obrębie ekosfery, a także w przestrzeni okołozemskiej. „Ozyrys” wyposażony był oczywiście w załogę. Tot mówi: „Spójrz na Horusa przebywającego tu, w swoim boskim oku!”

Podobnie należy patrzeć na element określany nazwą *Tum* (lub „Atum”). Z Tekstów Piramid wynika jednoznacznie, że pod imieniem tym nie kryła się wcale osoba, lecz owo „prawzgorze”, na którym Tot i towarzysząca mu „Ósemka” wylądowali na ziemi egipskiej pod Hermopolis. „Tum” to powszechne wówczas określenie działających w przestrzeni powietrznej Egiptu „statków niebieskich”, które wywoływały prawdziwy podziw nieświadomych niczego mieszkańców doliny Nilu.

„Spójrz na Tum wśród jego promieni!” Ludzie nie mogli się nadziwić, widząc rozbłyskującą w słońcu metalową powłokę obiektu latającego, i nie byli w stanie oderwać oczu od „promiennego blasku” pojazdu.

IX. Feniks z Heliopolis

Obeliski, obiekty kultowe starożytnego Egiptu, w najmniejszej ilości – co paradoksalne – znaleźć możemy w kraju, z którego pochodzą. W dolinie Nilu, czyli w pierwotnym miejscu ich powstania, stoi co najwyżej jeszcze pięć tych kamiennych słupów, podczas gdy kilka miast w Europie i Stanach Zjednoczonych szczyci się ich mnogością, mimo że nie mają przecież absolutnie nic wspólnego z tym dawnym symbolem państwa faraonów.

To niezrozumiałe zjawisko można tłumaczyć z jednej strony zamiłowaniem europejskich władców i amerykańskich magnatów do sztuki, z drugiej zaś ich dążeniem do podniesienia własnego prestiżu przez sprowadzenie owych świadków przeszłości Egiptu do swych krajów. I w ten oto sposób ponad piętnaście obelisków znalazło się na reprezentacyjnych placach Europy i zaoceanicznych metropoli.

Jak mieliśmy okazję stwierdzić już niejednokrotnie, wiele określeń ukształtowanych zostało w późniejszych czasach w Grecji, w tym także „obelisk”. Wywodzi się ono od greckiego słowa „obeliskos” a to z kolei od „obelos”. To ostatnie znaczy właściwie tyle co „dzida, ostrosłup, rozeń”, podczas gdy „obeliskos” oznacza tylko właściwości, jakimi wyróżnia się „ostrosłup” czy „rozeń”.

Natomiast kronikarze arabscy stosowali tu inne określenie, przedstawiając obelisk jako „misallat Fir aun” – ogromna igła faraona, lub także jako „ain asz-szems” – co można przetłumaczyć jako „źródło słońca”.

Ta nazwa jest już bliższa właściwemu znaczeniu obelisku, albowiem jego istnienie miało rzeczywiście coś wspólnego w szerokim sensie ze „słońcem”. Architektura tych kamiennych słupów wywodziła się z pradziejowego kultu legendarnego Starego Państwa, opartego na oddawaniu czci rzekomo „świętemu” kamieniowi w Heliopolis – tzw. Kamieniowi „benben”.

Egiptolodzy wyprowadzają to wszystko z faktu, że kiedyś słońce w czasie swego porannego wschodu rozświetliło promieniami ów kamień i w ten sposób zapoczątkowało jego „uświęcenie”. Z góry jednak należy powiedzieć, że w tak prymitywny sposób nie da się wytłumaczyć tego zjawiska. Sprawa ta wymaga znacznie bardziej wnikliwego zagłębienia się w historię powstania kultu obelisków w Egipcie.

Przede wszystkim trzeba wspomnieć, że staroegipskie słowo oznaczające obelisk brzmi „thn (techen)”, co oznacza „oko” lub „zranić źrenicę” – a jeszcze wyraźniej: „zranić niebo”. W 1908 r. Egiptolog Wilhelm Spiegelberg tak przetłumaczył związaną z tym inskrypcję z piramidy:

„Dwa ogromne obeliski stoją mocno na zewnątrz przed przed Izydą i Neftydą i tną obłoki na niebie”.

Temat ten podjął również publicysta niemiecki Peter Fiebag, który w opublikowanej niedawno pracy (*Kosmische Spuren* [„Ślady w kosmosie”], t. 2, Monachium 1922) pisze, co następuje:

„W tym miejscu można poddać dyskusji dwie hipotezy robocze: A) tradycyjną – chodzi o metaforyczny obraz w rodzaju naszego współczesnego „drapacza chmur”, B) nową – mamy tu do czynienia z metaforycznym sposobem wyrażania się, ponieważ obiekt przypominający raketę jak gdyby «ranił», «przewiercał» w czasie swego startu niebo”.

Refleksja Fiebaga jest w pełni uzasadniona. Odsyła on m.in. do *Tekstów Piramid* (nr 1178a) i do zawartej w nich wypowiedzi: „Król Pepi jest tym, który należy do obu obelisków Ra, jakie są na ziemi”. Pojęcie „thn” (oznaczające obelisk) w inskrypcji tej przedstawione jest „za pomocą wizerunku atakującego byka, ponieważ obeliski zostały nazwane właśnie tak od «szturchania nieba»” – *Teksty Piramid* (nr 1266c). W tym znaczeniu, zdaniem Fiebaga, rozumiane jest też greckie „obelikos”: jako potężny, kamienny oszczep, który niczym byk wbija się w niebo. Jeśli dodamy do tego fakt, że wspomniany w *Tekstach Piramid* (nr 1178a) król Pepi zgodnie z przekazem (inny fragment *Tekstów Piramid*) wznosił się w niebo na słonecznej barce Ra, okaże się, iż poszczególne elementy naszej praegipskiej moziki idealnie do siebie pasują. Zanim jednak król ów

wszedł na pokład latającego pojazdu, musiał najpierw przywdziać specjalne szaty. Interesujące w tym opisie jest to, że Pepi został tak samo wyekwipowany jak witający go piloci – Tot i Horus. Przekaz ten nawiązuje zresztą do legendy o feniksie oraz do wyobrażenia kamienia „benben”. Poniższy opis wyprawy Pepiego w kosmos kojarzy się ze startem *space-shuttle*:

„Niebo przemawia, ziemia trzęsie się, ziemia drży:
obie sfery boskie przywołują,
ziemia się rozstępuje, gdy król wznosi się
ku niebu, kiedy przemierza nieboskłon.
Ziemia się śmieje, niebo się uśmiecha,
gdy król wznosi się ku niebu.
Niebo przyjmuje go radośnie, ziemia drży dla niego.
Grzmąca burza pędzi go, on grzmi jak Set.
Strażnicy nieba otwierają mu bramy”.

W tekście tym utrwalono również tych, którzy z ziemi obserwowali to spektakularne widowisko:

„Widzą króla, jak leci niby sokół,
jak bóg, by żyć ze swymi ojcami,
by jeść ze swymi matkami.
Król jest bykiem niebieskim,
którego brzuch pełen jest magii Wyspy Płomieni”.

I to jest właśnie owa łączność, podkreślona w cytowanym przez Petera Fiebaga fragmencie *Tekstów Piramid* (nr 1178a). Przy czym przypuszczenie Fiebaga, że związek z bykiem rozszerza prawdopodobnie znaczenie obelisku o aspekt płodności (przyjmowane oczywiście przez egiptologów) może być całkiem trafne.

Co się zaś tyczy pochodzenia i powstania obelisku, obiekt ten należy zawsze łączyć z tzw. Kamieniem „benben”. Ów „święty kamień” – praobelisk – nie został wprawdzie stwierdzony jako fakt archeologiczny, lecz potwierdzenie jego istnienia znajdujemy w zapiskach hieroglificznych. W każdym razie egiptologia przyjmuje takie założenie i tym razem chyba się nie myli. Albowiem hieroglify (podobnie jak pismo chińskie) stanowią naśladownictwo realnych zjawisk i wydarzeń. Woda, na przykład, przedstawiana w nich była za pomocą linii falistych, piramida – w postaci trójkąta, a „benben” otrzymał w piśmie hieroglificznym wygląd, który mógł odpowiadać oryginałowi: kończył się *spiczasto* lub *stożkowato*.

Zgodnie z mitami staroegipskimi, pierwotny „benben” znajdował się w Heliopolis. Chodziło o obiekt, który był zdolny dotrzeć z nieba na ziemię. Miał nim sterować sam bóg słońca (jak wiemy, Tot), aby na początku wszelkiego czasu – wynurzywszy się z „prawody” (oznaczającej oczywiście kosmos) – wylądować w Egipcie. W *Tekstach Piramid* (nr 1652) czytamy: „Objawiłeś się jako benben”, co zgodnie z wyobrazeniami starożytnego Egiptu oznaczało obelisk, uważany od samego początku za „mieszkanie bóstwa”. I rzeczywiście, archeolodzy znaleźli kamienny model „izby niebieskiej” – podobny do piramidy „benben” o otwartych drzwiach! A w nich przedstawiony został bóg słońca wykonujący gest powitania. Biorąc pod uwagę wygląd „benben” i łącząc go z przypisaną mu zdolnością „latania”, natychmiast nasuwają się skojarzenia ze współczesną kapsułą kosmiczną. Przypadek? Czy rzeczywistość?

Peter Fiebag próbował prześledzić historię tego świętego kamienia (uznanego później za przedmiot kultu). Nie ulega wątpliwości, że od dawien dawna „benben” posiadał w starożytnym Egipcie swą własną wartość. Korzenie jego mitu sięgają okresu trzech pierwszych dynastii Starego Państwa (2850-2600 p.n.e.), a może nawet wcześniej. „Benben” pisany jest właściwie „bnbn”. Co oznacza to słowo? Oto opinia Fiebaga:

„Nie da się jednoznacznie zidentyfikować go pod względem etymologicznym. Z jednej strony związek spółgłosek «bn» wskazuje na «kamień», albowiem począwszy od epoki piramid istnieje słowo «bn» znaczące «rodzaj kamienia». W Państwie Średnim (2040-1551 p.n.e.) słowo «bnw.t» (*benut*) wchodzi do literatury, gdzie symbolizuje «rodzaj twardego kamienia». Współcześnie jednak istnieje tendencja, by rzeczownik «bnbn» wywodzić od czasownika «wbn», znaczącego «wznosić się», «błyszczeć», «świecić» – a więc od słońca i gwiazd... (Cyt. za *Wörterbuch der Ägyptischen Sprache*, wyd. A Erman/H. Grapow, Berlin-Lipsk 1926-1931) Ponadto przytaczane są tłumaczenia takie jak «coś, co wypływa», «wystrzelony w niebo», ponieważ czasownik «wbn» jest określony przez «promienie świetlne wpływające z tarczy słonecznej». (Cyt. za E. Dondelinger *Der Obelisk*, Graz 1977)

Nie jest też bez znaczenia fakt, że „benben” i obelisk zawsze przedstawiane są we wzajemnym związku przyczynowym. Górny koniec każdego z tych zwięzających się ku górze kamiennych monumentów ozdabiał mianowicie „benben” zwany *piramidionem*. Była to miniaturka piramidy, całkowicie pokryta miedzią, złotem lub lekkim stopem magnezu, zwanym „elektronem” (składającym się w 90% z magnezu oraz śladowych ilości aluminium, manganu, miedzi i cynku; dzisiaj, co osobliwe, jest on stosowany min. do budowy samolotów). Jeśli przedstawiony tu wygląd obelisku przyjąć za podstawę rozważań na temat znaczenia, jakie mógł on mieć w tej swojej smukłej postaci w tamtych czasach, to z całą pewnością dojdzie się do podobnych wniosków jak te, które Peter Fiebag w formie „tradycyjnej tezy” przeciwstawia proponowanej przez siebie „współczesnej antytezie”. By tak rzec – A kontra B:

„A) Obelisk jest mitycznie ukonstytuowanym kamieniem o aspekcie solarnym. B) Obelisk symbolizuje rodzaj rakiety, którą kiedyś Atum-Ra przybył na ziemię i przyczynił się do powstania egipskiej kultury. Wykonany przypuszczalnie z metalu pojazd niebieski, został określony z powodu swej twardości jako „rodzaj twardego kamienia, który «świeci» i «wystrzela w niebo»”.

Błyszcząca w świetle słońca warstwa miedzi/złota/elektronu stanowiła ów punkt odniesienia, który również Fiebag wiązał ściśle z wyobrażeniem „rzucania światła” i który podkreślany jest szczególnie w źródłach hieroglificznych – prawdopodobnie „wywołujący wrażenie start pojazdu kosmicznego”. Fiebag wspomina tu rysunek, zakwalifikowany przez egiptologów jako „znacząca ilustracja”, ukazująca „benben” razem z bogiem Min. „Min” uchodził m.in. za boga grzmotu!

I znowu interesujące będzie bliższe przyjrzenie się wywodom Fiebaga, opartym na przeciwstawieniu tradycyjnej tezy (A) współczesnej antytezie (B).

„A) Domniemanie egiptologów: «W tym sensie pasuje on (Min) wyśmienicie do kamienia *benben*, który może być meteorytem i dlatego, jak później *ka'aba*, z powodu swego niebieskiego pochodzenia cieszył się czcią.» (Cyt. za Wainwright w: *JEA* XVI, 1930) B) Współczesne kontra: Bliski związek z bogiem grzmotu obok aspektu optycznego (światło) wskazuje na hałas towarzyszący startowi rakiety. Pochodzenie niebieskie jest bezsprzeczne. Również forma jest mniej typowa jak na meteoryt, o wiele bardziej przypomina raketę”.

Warto wspomnieć, że Hermopolis, Heliopolis i Memfis (każde z osobna) przypisywało sobie sławę miejsca, w którym bóg słońca pojawił się po raz pierwszy. A to spowodowało w konsekwencji, że w każdym z tych miast zbudowano „prawzgórze” (oczywiście tylko skopiowane), na którym (a właściwie: którym) Tot i jego ośmioosobowa „boska” załoga kiedyś przylecieli na ziemię.

Rywalizacja między Hermopolis, Heliopolis i Memfis nie jest dla nas zaskoczeniem. Ostatecznie były to miasta, które Tot wybrał jako punkt wyjścia swej niezwykle owocnej działalności w egipskim kraju. Śledząc jednak dostępne nam przekazy mitologiczne, „palmę pierwszeństwa” przyznać chyba należy Hermopolis. Albowiem w odniesieniu do tego miejsca – i tylko tego – istnieją pisemne świadectwa pojawienia się tam Tota i jego „Ósemki” oraz przybycia barki słonecznej „Ra”.

Musiało to nastąpić w okresie panowania tzw. Dynastii Tynickich, tj. Ponad 3000 lat przed narodzeniem Chrystusa, czyli w czasie nieoczekiwanego i wręcz cudownego przygotowania Egiptu do rozkwitu kultury epoki faraonów. W jednym z tekstów na temat pojawienia się po raz pierwszy „boga słońca” Tota czytamy:

„Twoja siedziba jest od pradawnych czasów na wzgórzu Wenu (Hermopolis); wstąpiłeś na ląd z Morza Noży i ukazałeś się w wodzie z tajemnego jajka”.

A w inskrypcjach arcykapłana Pet-Ozyrysa znajdujemy potwierdzenie tych słów:

„Jajko spoczywało w gnieździe na prawzgórze na «wyspie płomieni» w Morzu Noży”.

Informacja ta skłania nas z kolei do sięgnięcia po cztery pisma o podobnej treści, zajmujące się „nauką z Hermopolis”.



20



21



22



23



24



25



26

20. Najslawniejszy egiptolog francuski Auguste Mariette w mlodości. Jemu to wlasnie swiat zawdziecza istotne odkrycia z przeszlosci Egiptu. Zagadkowe plaskorzezby z Dendery staly sie znane rowniez dzieki Mariette'owi.

21. Unoszacy sie pionowo z kwiatu lotosu waz uwaszany byl przez staroegipskich kaplanow za „nosiciela swiatla”.

22. Jedna z licznych plaskorzezb, ktorej tresc jednoznacznie wiazze sie z elektrycznoscia. Na ilustracji tej widoczny jest zarowno „bog powietrza” Szu (w pozycji kucznej), jak i Reharachte – „bog swiatla”. Na uwage zasluguje zwlaszcza prowadzacy od lotosu do pojemnika („magazynu energii”) kabel, skladajacy sie jak gdyby z kilku segmentow.

23. Egiptolodzy nazywaja te jedyne w swoim rodzaju plaskorzezby z krypt Dendery „kamieniami wazy”. Na podstawie tych wizerun kow inz. Garn skonstruowal nasz model zarowki.

24. Nizwykła płaskorzeźba z Dendery, na której widoczne są dwa umieszczone naprzeciw siebie źródła światła.

25. Ta płaskorzeźba ukazuje nieco inny motyw: dwie kolby szklane oparte na tzw. *filarach dzed* (izolatorach?). Po prawej: „bóg nauk” – Tot, pod postacią pawiana.

26. Płaskorzeźba przedstawia kapłanów trzymających przedmiot przypominający gumowy wąż, z którego wypływa ciecz; jest to prawdopodobnie rodzaj pompy wodnej. Czyżby już wtedy znano działanie różnicy ciśnień strumienia wody wypływającego przez zwężony otwór? Urządzenie przypominające dzisiejsze pompy wtryskowe?

Chodzi tu o *Teksty Piramid* nr 446 i 1466, *Papirus Harris* nr 54, oraz także wskazówkę zawartą w rozdz. 56. *Księgi Umarłych*. Ich rekapitulacji dokonał Walter Beltz w swej książce *Mythen der Ägypter* („Mity egipskie”).

Pisze w niej tak:

„Gdy tylko pojawiło się pramorze Nun, wyrósł z niego wypukły grunt. Na tym wspaniałym wzgórzu prapoczątku leżało ukryte jajko wielkiego gaduły. Z niego wyszedł Amun... A gdy już Amun wystąpił z jajka, stworzył porządek w ciemności i podporządkował mrok porządkowi, dzięki czemu świat stał się widzialny... Amun rządził światem przy pomocy swojej „Ósemki”... w wielkiej zgodzie i porozumieniu”.

Księga Umarłych uzupełnia tę relację następująco:

„Kieruję kroki me ku siedzibie księcia bogów.
Sprowadził mnie tutaj duch uskrzydłony.
Bądź pozdrowiony, ty, który szybujesz w niebie,
oświetlając twoimi promieniami Białej Korony syna!”

Trzeba tu zaznaczyć, że owym „wielkim gadułą” nazywany był zwykle sam Tot, ale określenie to mogło odnosić się także do odgłosu urządzeń napędowych podobnego do jajka obiektu latającego – czyli do akustyki towarzyszącej zbliżaniu się pojazdu. Jeśli przeanalizować te legendarne relacje bardzo dokładnie, wówczas okaże się, że Tot i Amun („pan powietrznego tchnienia”) to jedna i ta sama osoba, co wydaje się bardzo prawdopodobne. Sugeruje to jednocześnie wskazówka, że „Amun rządził światem (czytaj: Egiptem) przy pomocy swojej Ósemki”.

Również fragmenty egipskiej *Księgi Umarłych* potwierdzają przypuszczenie, iż ów tzw. „książę bogów” to w rzeczywistości nikt inny tylko Tot („ty, co szybujesz w niebie”), a anonimowy sprawozdawca („Białej Korony syn”) to być może najwyższy kapłan, czyli „wtajemniczony”. Wieloznaczne wydaje się też jego twierdzenie, że na miejsce przeznaczenia został przetransportowany niezwykłą drogą („uskrzydłony duch sprowadził mnie tutaj”). Czy znaczy to, że kapłan ten dotarł do Tota drogą powietrzną? Na koniec wreszcie należy przywołać ponownie wywód Petera Fiebaga, dotyczący „rzucania światła” przez benben w chwili jego przylotu i odlotu, i dostrzec tu pewną paralelę („Twoimi promieniami oświetlając!”).

Wobec powyższych informacji muszą upaść wszelkie domniemania, jakoby opis ten dotyczył po prostu piorunochronu. W tym miejscu wypada wspomnieć egiptologa Richarda Henninga, który w 1909 r. Dokonał bardzo precyzyjnego rozróżnienia między stojącymi przed świątyniami w Edfu i Denderze obeliskami, ozdobionymi „pozlacaną miedzią”, a ogromnymi masztami z flagami, „które, poczynając od ziemi, biegły w kamiennych wyłobieniach wzdłuż obelisków i wystawały wysoko ponad nimi”. Jak zauważa Henning, to nie obeliski, lecz owe maszty miały ostre czubki, „służące wyraźnemu celowi odpędzania niepogody”.

Ku czci kamienia *benben* wzniesiono nawet oddzielną budowlę w Heliopolis – *hut-benben* – gdzie przechowywano ów „tajemniczy obiekt” (jak nazywano na zewnątrz ten praegipski obiekt latający). Informacji na ten temat dostarczają nam *Teksty Piramid* (nr 2069a), w których czytamy: „Bnbn (*benben*) jest w domu Sokar”. Peter Fiebag przypuszcza, że budowla ta jest identyczna z sanktuarium słońca w Heliopolis.

Dzisiaj wiadomo nam o sześciu takich obiektach (znamy też ich nazwy), które wzniesiono za panowania V dynastii królów egipskich, tj. mniej więcej w latach 2480-2350 przed narodzeniem Chrystusa, dla upamiętnienia dawnej obecności przybyszów spoza Ziemi w Starym Państwie. Budowle te przypisuje się rodowi arcykapłanów On (Hermopolis), do którego należeli wówczas wszyscy faraonowie. Jedynie po dwóch z tych świątyń, Userkaf (wzniesionej przez Sakere, założyciela V dynastii) i Neuzerre (Ne-wozer-re), zachowały się pozostałości. W przypadku

tej ostatniej są tak znaczne, że umożliwiły w miarę pewną rekonstrukcję. Owo sanktuarium Ra znajduje się pod Abu Gurab i zostało wzniesione przez króla z okazji uroczystości trzydziestolecia jego panowania, na miejscu istniejącej tu wcześniej, skromnej budowli z cegły.

Głównym elementem świątyni był bez wątpienia obelisk. Ten słup bogów, liczący około sześćdziesięciu metrów wysokości, o pozłacanym, być może ozdobionym tarczą słoneczną czubku, górował nad wszystkim wokoło i zwłaszcza w świetle słońca był widoczny daleko w otaczającej okolicy. Dostępne świadectwa pisane dowodzą jednak, że szczególną wagę przywiązywano wówczas do dolnej części budowli – co każe nam przypuszczać, że stanowiła ona odwzorowanie owego sztucznego wzgórza, „prawzgórza”, czyli legendarnej „wysokiej wyżyny”, przedstawianej w ten właśnie sposób, na której znajdowało się sanktuarium słońca Heliopolis.

Jak wynika z *Księgi Umarłych*, *benben* chroniony był w miejscu jego przechowywania przez dwie grupy bogów. Co niekiedy kryje się za owymi bogami – to już zupełnie osobny rozdział. Przede wszystkim wspomina się tam, że tego bezcennego obiektu latającego pilnowało wewnątrz budowli trzech bogów (którzy według tekstu *Księgi Umarłych* „posiadali tajemnicę”). Ośmiu kolejnych bogów strzegło go od zewnątrz. *Księga Umarłych* określa tę boską dwunastkę także jako „wioślarzy Ra”, wybranych do obsługiwanego niebieskiej „łodzi milionów lat”. Jak widać, do straży i opieki nad „barką słoneczną” Tota nie był dopuszczony żaden członek stanu kapłańskiego. Na szczególną uwagę zasługuje ponadto zawarte w *Księdze Umarłych* stwierdzenie, iż zadaniem boskiej załogi było wytwarzanie płomieni dla „barki słonecznej”, co wyraźnie wskazuje na zabiegi techniczne, jakich wymagało obsługiwanie pojazdu kosmicznego „Ra”.

Trudna powiedzieć, jak mógł wyglądać dom będący schronieniem *kamienia benben*. Peter Fiebag doszukuje się pewnych sugestii w hieroglifie ściśle związanym z „wysokim piaskiem” (sztucznie zrekonstruowanym „prawzgórzem”). Zgodnie z nim, owa konstrukcja z Heliopolis miała mniej więcej wygląd okrągłego wału, określanego wówczas jako wyspa płomieni.

„Hieroglif oznaczający «h.t-bn» obok kamienia *benben* zawiera także ptaka. Nazywa się go ptakiem *ben*. «Bnw» (*benu*) w literaturze okrywany jest jako „święty, słoneczny ptak feniks; w *Tekstach Piramid* wiązany jest z bogiem Ra, w *Księdze Umarłych* zaś przedstawiany jako gwiazda poranna lub forma występowania Ozyrysa”. (Cyt., str. 198 *Księga Umarłych*, wyd. A. Champdor; Monachium 1977)

Jak wyglądał ów *benben*, można stwierdzić również na podstawie fragmentu *Tekstów Piramid*, odkrytego swego czasu przez Francuza Auguste'a Mariette'a w świątyni w Abydos. Nosi on dzisiaj numer 2069 i mówi, że *kamień benben* przypominał ów stożkowato uformowany chleb, jakiego używano w kultowych obrzędach w świątyni. Bynajmniej nie przypadkiem nosił też imię „benben”. Czyżbyśmy mieli tu do czynienia ze zwiastunem czynności kultowej, przejętej później przez Kościół chrześcijański pod postacią komunii świętej (hostia: opłatek sporządzony z nie zakwaszonej mąki przennej – symbol ciała zmitologizowanej postaci)?

W starych relacjach *benben* określany był jako „wypukłe miejsce”, a także „mieszkanie bogów”. A ponieważ na dodatek potrafił latać i opisywany był jako „twardy, błyszczący kamień”, nasuwa skojarzenie z legendą z Dalekiego Wschodu. Mowa jest w niej o tajemniczym królestwie „Szambhala”, ukrytym przed światem zewnętrznym, a leżącym prawdopodobnie gdzieś w górskich rejonach Chin-Tybetu-byłego Związku Radzieckiego. Szlachetni mieszkańcy tej tajemnej krainy rozwinęli podobno – „w wyniku swego pozytywnego nastawienia do świata materialnego” naukę i technologię, które stały tu ponoć na wysokim poziomie, ale podporządkowali je wyłącznie celom spirytualnym. Aby ochronić się przed niepożądanymi intruzami, strażnicy królestwa posługiwali się maszynami latającymi, które w legendarnych opowieściach opisywano nieco tajemniczo jako kamienne konie o „sile wiatru”. Należy się domyślać, że chodziło (podobnie jak w przypadku egipskiego *kamienia benben*) o metalowe pojazdy powietrzne.

Boskie przywileje

W miarę wnikliwa analiza starych źródeł egipskich wykazuje, że Tot i jego ośmioosobowa załoga musieli dokładnie zaplanować swe działanie w Dolinie Nilu. Wkrótce po udanym lądowaniu w okolicy Hermopolis miały miejsce jeszcze dwa inne „występy” w rejonie miast Heliopolis i Memfis. To ostatnie leżało zresztą tylko dwadzieścia pięć kilometrów od Heliopolis, pokonanie więc

takiej przestrzeni powietrznej było dla barki „Ra” drobnostką.

Miasto Heliopolis (po egip. On lub Iunu) znajduje się na północny wschód od Kairu, na skraju pustyni. Oprócz obelisku poświęconego Sezostrisowi I i kilku usypanych wzgórz (a także kilku grobowców pod dawnym przedmieściem Matarie) Heliopolis nie ma dziś do zaoferowania żadnych osobliwości. Ząb czasu nie naruszył jedynie *Tekstów Piramid*, opisujących przybycie boga słońca – Tota, herosa Starego Państwa.

Podobnie ma się rzecz z Memfis. To stare miasto egipskie przez długi czas, aż do założenia Aleksandrii (która zyskała rangę światową dzięki swej słynnej bibliotece), było metropolią królestwa faraonów: spełniało rolę zarówno stolicy administracyjnej, jak i siedziby władzy. Wielu władców utrzymywało w tym mieście swój harem i wybudowało liczne pałace, które upiękшыły jego wygląd. W Memfis znajdowało się też sanktuarium bóstwa Ptah. Ze wszystkich stron tłumnie napływali tu wierni, by odwiedzić świątynię. Również Serapeum, gdzie uprawiano kult byków Apisów, cieszyło się niemałą popularnością.

Każdy wróg Egiptu zdawał sobie sprawę, że aby zawładnąć Doliną Nilu, trzeba najpierw zdobyć Memfis. Hyksosi, Etiopczycy i Asyryjczycy musieli to brać pod uwagę tak samo jak Persowie. Miasto to było bowiem ważnym miejscem przeładunku w Starym Państwie. Tu znajdowała się „centrala zbrojeniowa”. W Memfis budowano też statki. A zatem nic dziwnego, że cały ruch rzeczny kraju koncentrował się w porcie tego miasta. Nawet urząd skarbu z Teb posiadał w Memfis swoją filię. Było ono również centrum handlowym, i to często uczęszczanym. Działo się tak aż do czasów Herodota. Podczas wizyty w tym mieście ok 440 r. p.n.e. Ów grecki historyk zastał je (jak sam twierdzi) pełne kupców z Tyru, karyjskich żołnierzy i innych „barbarzyńców”. Gdyby nie *Teksty Piramid*, trudno byłoby dać wiarę tego typu relacjom. Dziś bowiem na miejscu owego starożytnego miasta, dwadzieścia osiem kilometrów od Kairu, turysta znajduje jedynie miejscami płaski, gdzieniegdzie zaś pagórkowaty krajobraz; tylko bujne gaje palmowe nadają temu miejscu pewnego uroku i stanowią świadectwo zwycięstwa przyrody.

Z *Tekstów Piramid* wiemy, iż król Menes, legendarny władca i założyciel I dynastii Starego Państwa, w tzw. Epoce tynickiej (która zapoczątkowała Stare Państwo) kazał wznieść ok. 2950 r. p.n.e. w siedzibie boga Ptaha potężną barykadę, nazwaną „Białym Murem”, dzięki której Menes był w stanie kontrolować „życie Obu Państw Górnego i Dolnego Egiptu”).

Z wału tego pozostały jedynie resztki cegieł i stopy gruzu. W dzisiejszej wsi Mit-Rahine znaleźć można obecnie – obok ruin dawno już zawalonej świątyni Ptaha – przewrócony potężny posąg Ramzesa II, nad którym rozpościera się dach ochronny. Wiedząc, jak ogromną siłę przyciągania miało swego czasu Memfis jako ośrodek handlu, nietrudno zrozumieć, że Tot zapewnił sobie usługi tego miasta. Również w *Księdze Umarłych* (rozd. 5) znaleźć można odpowiednią sugestię na ten temat, której autorstwo da się prawdopodobnie przypisać Totowi. Zresztą czytelnik tego fragmentu mimo woli doszukiwać się będzie jego autora w jednym z członków „Ósemki” boga słońca.

„Zmierzając z Hermopolis, przybyłem tutaj,
by podnieść ramiona istot,
które są przygnębione i bezsilne.
Jestem ożywczą duszą bogów,
wtajemniczoną w mądrość duchów
służących wielkiemu Totowi...”

Zgodnie z interpretacją egiptologów (potwierdzającą zarazem naszą opinię), we fragmencie tym chodzi o istotę małopodobną Aani (także Iani), uważaną za jednego z „mistrzów mądrości”, która swym wyglądem miała przypominać pawiana.

W realizacji planu przygotowanego przez Tota, a przewidującego kulturalne przebudzenie kraju, ogromne znaczenie miała znaczna pomoc jego załogi. Z różnych wskazówek zawartych w *Tekstach Piramid* można wywnioskować kto wchodził w skład tej ukonstytuowanej w Heliopolis „Dziewiątki”. Widać też wyraźnie, że najbardziej znane w zamierzchłych czasach dziewiątki stworzone zostały – tu należałoby powiedzieć: zastosowane – wyłącznie przez kapłanów z Heliopolis. Na czele każdego „ściśle logicznie” zbudowanego systemu stał za każdym razem „samotnie” Atum. Nie była to oczywiście żadna istota żywa, lecz „Ra” – pojazd kosmiczny Tota, nazywany też, jak wiadomo, „barką milionów lat”.

Umożliwiał mu on odwiedzanie przedstawicielstw kapłanów w poszczególnych świątyniach, czego Tot w większości przypadków dokonywał prawdopodobnie sam lub delegował do tego

rodzaju kontroli miłych mu zastępców. W *Knaurs Lexikon der ägyptischen Kultur* nadmienia się, że „inne nauki o bogach” przyporządkowały bogu stworzenia Atumowi (lub „Tumowi”) również osiem „boskich postaci” – w wiernej zgodzie z wzorcem „Dziewiątki” z Heliopolis (chodziło tu przypuszczalnie o odnośnych kapłanów). W związku z tym powstaje uzasadnione podejrzenie, że odpowiedzialni za to „wtajemniczeni” nie robili tego całkiem bezinteresownie – pewnie i ich zbyt mocno nęciła możliwość korzystania wobec reszty świata z atrybutu „boskości” (czyli bycia wybranym).

Nieco zabawna może wydać się zawarta w *Leksykonie* informacja, że liczba „9” stała się niebawem za mała, by skupić w sobie wszystkich mieszkańców świątyni. Wydaje się raczej, że to biurokracja wśród kapłanów rozrosła się jak balon, przyjmując wprost trudne do przewidzenia rozmiary. Coraz więcej tych, którzy uważali się za wybranych, cisnęło się do żłobu, rosząc sobie pretensje do określonych „boskich” przywilejów. I tak oto doszło do kuriozalnej sytuacji, że na przykład w Heliopolis, obok ustanowionej przez Tota „Wielkiej Dziewiątki” (egips. *pesedjet*: grupa dziewięciu), musiała powstać dodatkowo „Mała Dziewiątka”, aby zadowolić również tych wtajemniczonych, którzy z powodu niższego zaszeregowania w hierarchi nie znaleźli już miejsca w „Wielkiej”.

Z kolei w innych miastach było akurat przeciwnie – z powodu braku odpowiednio wykwalifikowanych sił „boscy” kapłani pozostawali w liczbie nie zaspokajającej limitu i magiczna „dziewiątka” nie mogła być zrealizowana. Na przykład w Abydos, gdzie zaledwie siedmiu arcykapłanów spełniało służbę świątynną – podczas gdy w tak dużym mieście jak Teby do gildii wtajemniczonych należało nawet piętnastu kapłanów.

Zresztą Teby uchodziły wówczas za ulubione miejsce pobytu „pana tchnienia powietrznego” Amuna, z czego można wnioskować, że Tot, którego domyślamy się za tym anonimowym imieniem boskim, rezydował nie tylko w Hermopolis.

Jeśli wierzyć *Tekstom Piramid*, Amun był istotą o ludzkim wyglądzie, Tot zaś (którego utożsamiamy z Amunem) przedstawiany jest zawsze pod postacią istoty małpopodobnej – z głową (lub maską) żaby bądź ptaka ibisa. Czy to wszystko miało być jedynie maskaradą? Kamuflażem dla ludzi z ulicy, a także wyższych osobistości na dworze królewskim i w świątyniach, aby zaoszczędzić im niezwykłego widoku?

Nie jest to wykluczone, albowiem jeśli Tot i jego towarzysze byli rzeczywiście pozaziemskimi hominidami (co zdają się potwierdzać niektóre informacje), to istoty te dzięki swej przemożnej wiedzy zajmowały się też z pewnością studiami nad zachowaniem.

W związku z regularnymi pobytami „pana tchnienia powietrznego” w Tebach *Teksty Piramid* wspominają też o tym, że Amun/Tot ukazywał się ludziom przeważnie na swoim „magicznym tronie”. Faktu tego egipciolodzy nie potrafili sobie wytłumaczyć, co nas jednak specjalnie nie dziwi. Ale ta zagadkowa pozycja siedząca zdradza, rzucający się w oczy, związek z tym, co określane jest jako tzw. „przedmiot kultu”, a co jako *omfalos* zasługuje na naszą uwagę.

W staroegipskich źródłach pisanych „omfalosem” nazywane jest owo prawzgórze, które w rzeczywistości było obiektem latającym i przy użyciu którego Tot i jego towarzysze wylądowali w pobliżu Hermopolis „na wysokim wzniesieniu”. Lub – by wyrazić się jeszcze dokładniej: „omfalos” i „benben” to jedno i to samo! Na początku rozdziału poświęconego Totowi zwróciliśmy już na to uwagę. Wygląd „omfalosa” został zachowany na jednym z tzw. „kamieni pamiątkowych”. Jest to zaokrąglony u góry stożek, w którym rozmaici archeolodzy – nie zważając na istniejące fakty – rozpoznali wizerunek meteorytu. Jednakże nie wszyscy. Dwaj eksperci w tej dziedzinie, Wolfgang Helck i Eberhard E. Otto, zalecają wprawdzie rozróżnianie („oddzielenie”) „magicznego tronu” Amuna od wizerunku „omfalosa”, ale jednocześnie absolutnie nie chcą przyłączyć się do interpretacji swoich kolegów po fachu. Albowiem – jak stwierdzają w *Lexikon der ägyptischen Kultur* (Monachium/Zurych 1978) – „interpretacja omfalosa jako meteorytu nie jest raczej trafna”.

Należy jeszcze wspomnieć, że również w Memfis (podobnie jak w Hermopolis i Heliopolis) wzniesiony został obelisk ku wyższej czci boga słońca. Z błyszczącym „kamieniem benben” na szczycie.

Osoba zorientowana w mitologii Egiptu bardzo szybko zrozumie, że różne imiona i określenia często oznaczają tu tylko jedną osobę lub rzecz. Tak właśnie jest z kamieniem „benben”. Z początkowo niejasnych, ale wreszcie jednak zrozumiałych powodów ów latający, błyszczący „kamień” utożsamiany jest zarówno z uważanym za świętego ptakiem „benu”, jak i z legendarnym „Feniksem z popiołu”. We wszystkich trzech przypadkach istnieje rzeczywiście bezpośredni

związek między nimi – wszystkie bowiem mają coś wspólnego z lataniem. Peter Fiebag rekapitułuje:

„Ptak światła został wybrany po to, by wskazać na odniesienie do wznoszącego się i zstępującego pojazdu bogów. Odradzający się z własnego popiołu ptak Feniks/Benu symbolizuje powstałe w miejscu startu ślady spalania («popiół»), z którego co jakiś czas wznosił się w niebo ten sam ptak, ku powszechnemu zdziwieniu – wcale niespalony”.

Wznoszenie się w kierunku nieba, w kosmos, przedstawione jest obrazowo w wielu fragmentach *Księgi Umarłych*. W centrum uwagi pozostaje tu oczywiście najdzielniejszy pilot bojowy Tota, o którym czytamy:

„Horus siedzi teraz na tronie, który wyrasta ponad morzem ognia! Jemu właśnie pomogłem kiedyś zasiąść na jego tronie, który wznosi się w barce milionów lat”.

Jak wiadomo, właśnie Totowi, a nie komu innemu zawdzięczać należy spisanie *Księgi Umarłych*. A zatem również i jemu należałoby przypisać intronizację Horusa – co konkretnie mogłoby oznaczać, że Tot powierzył dowództwo nad promem kosmicznym „Ra” (tu nazywanym w znaczący sposób „barką milionów lat”) swojemu najbardziej niezawodnemu pomocnikowi (członkowi „Ósemki”).

Inny fragment tekstu jeszcze raz potwierdza niezaprzeczalną odmienność owych istot, które przybyły wraz z Totem na Ziemię i przyczyniły się do uzyskania przez Egipt nowej tożsamości:

„Bądźcie pozdrowieni, wy, czterej potężni bogowie o małych obliczach, wy, co siedząc w przedniej części barki Ra, władcy świata obwieszczacie rozkazy... Ujarmijcie bogów płonącym ogniem, co rozpala się z waszych ust”.

O ptakach widzenia i ptakach słyszenia

Znamy już hipotezę egiptologii akademickiej zakładającą, że w przypadku barki słonecznej Ra, „barki milionów lat”, chodziło jedynie o samo słońce, wędrujące codziennie po nieboskłonie. Twierdzenie to, jak zdołaliśmy udowodnić, okazało się fałszywe. W tekstach *Księgi Umarłych* bardzo wyraźnie rozróżnia się macierzystą planetę naszego systemu planetarnego i barkę „Ra”, z ośmioosobową ekipą pod dowództwem Tota, do której należał także zwycięski pilot bojowy „boga słońca” – Horus.

Obecnie jesteśmy nawet w stanie uzupełnić ten „proces dowodowy” o następne informacje, wystarczy tylko sięgnąć do staroegipskiego piśmiennictwa, dostarczającego nam dowodów za darmo. Oto Tot i jego towarzysze posiadali urządzenia umożliwiające „WIDZENIE aż po kres ciemności”, „PRZENIKANIE WZROKIEM przez morze aż po prawodę Nun” oraz „SŁYSZENIE tego, co działo się na niebie”. W tym celu potrzebny był ptak WIDZENIA, a także ptak SŁYSZENIA, przy czym uzupełnieniem tego pierwszego było podobno „tajemnicze” czarodziej-skie lustro Tota. Źródłem tych niezwykłych informacji, które można nawet uznać za sensacyjne, są dla nas legendarne przekazy, zamieszczone przez Emmę Brunner-Traut w jej zbiorze *Altägyptische Märchen – Mythen und andere volkstümliche Erzählungen* (Monachium 1989), a także w analitycznym opracowaniu Kurta Sethe *Zur altägyptischen Sage vom Sonnenauge das in der Fremde war* (Lipsk 1912). W publikacji tej czytamy na przykład, o ptaku słyszenia, co następuje:

„...spójrz, potrafię tak ZACZAROWAĆ NIEBO, że SŁYSZĘ, co w nim się dzieje. SŁYSZĘ, co Ra, bóg słońca, mściciel wśród bogów, każdego dnia w CENTRALNYM PUNKCIE NIEBA przeznacza ziemi”.

Przy czym niezakłócony odbiór był możliwy prawdopodobnie dopiero wtedy, gdy barka Ra „coraz bardziej oddalała się od ZIEMI ku niebu”.

Są to znaczące informacje, toteż należy przestudiować je uważnie i z powagą. Po pierwsze – stwierdza się wyraźnie, że pojazd kosmiczny „boga słońca” (za którym, jak zdołaliśmy ustalić, kryje się Tot) udał się „z powierzchni ziemi” w swą powietrzną podróż. Po drugie – dowiadujemy się, że dzięki „ptakowi słyszenia” Tot był zdolny „zaczarować niebo” (przy czym „niebo” oznacza nie firmament, lecz pojazd latający, a słowo „zaczarować” należy rozumieć w ścisłym związku z

pozornie magicznymi, a właściwie technicznymi manewrami). Po trzecie zaś – ten sam pojazd służył dodatkowo jako stacja nadawcza. Czytaliśmy przecież, że Tot („bóg słońca”) mógł słyszeć, co tam „każdego dnia... przeznacza ziemi”. Jest to typowy dla stylu orientalnego, kwiecisty opis obiektu latającego, przedstawionego jako „centralne miejsce” nieba.

Teksty Piramid, przełożone przez Kurta Sethe, informują nas dodatkowo o osobliwym „domu Horusa”, w przypadku którego z całą pewnością nie miano na myśli żadnej ze zwykłych budowli na powierzchni ziemi – podkreślono przecież specjalnie, że znajdował się on „na niebie” i że w określonych porach słyszeć w nim było „słowo bogów”.

Ze wszystkich tych cytatów nietrudno wyczytać, że „bogowie” starożytnego Egiptu dysponowali doskonałą technicznie aparaturą do przekazywania wiadomości i że urządzenia te dorównywały stosowanym dzisiaj w systemie komunikacji globalnej. A zatem telewizja, radio i satelity nie są bynajmniej dziećmi naszej epoki. Znajdują swoje odbicie w urządzeniach takich jak „ptaki widzenia i słyszenia” (pod którymi możemy domyślać się staroegipskich satelitów), jak również w „tajemnych” czarodziejskich zwierciadłach (aparatura telewizyjna). Należy przypuszczać, że wszystkie te przyrządy stały na wysokim poziomie technicznym, inaczej nie byłoby możliwe „widzenie aż po kres ciemności” lub „przenikanie wzrokiem przez morze po prawodę Nun”. Biorąc pod uwagę tę frapującą wypowiedź, można nawet założyć, że Tot i jego ludzie dysponowali stacjami głębinowymi, z których przy użyciu telewizyjnych urządzeń nadawczych byli w stanie poprzez satelitę kontrolować „prawodę Nun” – czyli przestrzeń kosmiczną.

Jest to doprawdy myśl fascynująca, ale nie wzięła się ona jedynie z naszej wybujałej wyobraźni, o czym świadczy opisanie niżej wydarzenie.

„Mayday! Mayday!”

Już grecki dziejopisarz Plutarch pozostawił potomnym relację, w której mowa jest o spadnięciu na ziemię jakiejś boskiej barki słonecznej. Szczątki tego wykonanego z czerwonozłotego metalu statku powietrznego mogło jeszcze oglądać na jednej z wysp na Nilu pokolenie porzedzające generację, do której należał Plutarch. Toteż z niemalym prawdopodobieństwem można przyjąć, że pasażerowie tego pojazdu doznali obrażeń, a może nawet stracili życie. Jest to kolejny argument przemawiający za tym, że staroegipcjacy „bogowie” nie byli istotami nieśmiertelnymi i eterycznymi, lecz tak samo kruchymi jak my, ludzie. Z drugiej jednak strony, ubóstwiani przez nieświadomych niczego Egipcjan, tajemniczy goście „przybyli z nieba” mieli tak wielką przewagę nad swym otoczeniem pod względem posiadanej wiedzy, że wcale nie od rzeczy wydaje się myśl, iż przybysze ci, których przywódca pod imieniem Tot wszedł do historii królestwa faraonów, byli nosicielami cywilizacji pozaziemskiej.

Ale jak już stwierdzono, mimo niezwykłych umiejętności i wiedzy w wielu dziedzinach, dla kapłanów Egiptu wręcz uniwersalnych, ci tzw. „bogowie” nie byli wolni od niebezpieczeństw, o czym świadczy pewna dramatyczna relacja.

Węgierski badacz mitów László Kákosy powołuje się tu na znalezisko, jakie zachowało się po nasze czasy z okresu panowania wielkiego egipskiego czarodzieja Nektanebosa II (IV w. p.n.e.) Jest to kamienna tablica z magicznymi wizerunkami i hieroglificznymi tekstami, zwana stelą Metternicha. Pomnik ten, pochodzący z czasów przed narodzeniem Chrystusa, znajduje się obecnie w nowojorskim Metropolitan Museum of Art, wcześniej zaś należał do rodziny Metternichów, której najbardziej znanym przedstawicielem był austriacki kanclerz Klemens Lothar książę von Metternich (1773-1859).

To, o czym *Teksty Piramid* tylko napomykają, w inskrypcji steli znajduje spektakularne potwierdzenie: chodzi o nagły bezruch słonecznej barki!

Ponieważ nie może być mowy o tym, że słońce „wyhamowało” swój codzienny bieg po firmamencie (czego nie bierze pod uwagę również żaden egiptolog), należy poszukać przyczyn rzeczywistych. I nie potrzeba tu żadnych karkołomnych interpretacji, albowiem na steli Metternicha jest wyraźnie napisane, co wówczas, w tych odległych czasach, wydarzyło się na niebie. Relacja ta brzmi jak reportaż.

Horus, który sterował pojazdem kosmicznym Tota, nieoczekiwanie znalazł się w tarapatkach. Oto nagle statek zawisł bez ruchu w przestrzeni kosmicznej. Między kokpitem a centralą radiową doszło

do nerwowej rozmowy:

„Co się stało? Co się stało? Kto zamierza się przeciwko synowi Horusowi? Izydo, ubłagaj niebo, aby załoga Ra zatrzymała się i nie poruszała dalej, póki syn Horus leży na jego boku.» Izyda POSŁAŁA SWÓJ GŁOS KU NIEBU, krzyknęła ku «barce milionów». SŁOŃCE STAŁO CICHU NAPRZECIWKO NIEJ, nie ruszało się ze swego miejsca”.

W tym momencie musimy przerwać na krótko i przeanalizować zacytowany tekst, aby nie wprowadzić czytelników na niewłaściwe tory. Cóż więc napisano na steli? – Horus jest bezradny i zrozpaczony. („Co się stało? Co się stało?”) Pilnie telegrafuje do kwatery głównej w Heliopolis, gdzie jak wiadomo z zachowanych przekazów, znajdował się hangar barki słonecznej – tzw. „dom Feniksa” (zwany również „domem benben”). W *Tekstach Piramid* (nr 1652) czytamy na ten temat: „Atum-Chepre, stałeś się wysoki jako wzgórze, zniknąłeś jako *benben* w domu Feniksa w Heliopolis”. „Atum” – co zdążyliśmy już ustalić – to anonimowe określenie wszelkiego rodzaju pojazdów latających, stosowane w starożytnym Egipcie. Feniks z kolei oznaczał owego legendarnego ptaka, zdolnego za każdym razem odradzać się z popiołu i wznosić w powietrze. Pod imieniem Feniks (również *benben*) krył się w rzeczywistości sztuczny obiekt – skomplikowane technicznie urządzenie latające, identyczne, jak należy przypuszczać, ze słoneczną barką Tota.

Egiptolodzy (mimo że wydaje się to całkowicie absurdalne) nadal skłaniają się ku utożsamianiu Ra ze słońcem, co wynika zapewne z fałszywej interpretacji niektórych fragmentów tekstów z murów świątyń lub z papyrusów. Choćby i z tych znajdujących się na steli Metternicha: „Izyda... krzyknęła ku «barce milionów». Słońce stało cicho naprzeciwko niej”.

Jest to niewątpliwie sformułowanie, które bardzo łatwo może prowadzić do nieporozumień. Nie chodzi tu bowiem o Izydę, lecz o barkę. Wyłącznie do niej odnosi się zaimek „niej”. Egiptolodzy mogli jednak omyłkowo przyporządkować to słówko Izydzie, w wyniku czego powstawał zupełnie inny obraz, nasuwający wniosek, że to właśnie słońce znalazło się w bezruchu przed oczami bogini.

Podczas tego nieudanego lotu Tot, dowódca „Ra”, był przypuszczalnie nieobecny na pokładzie swego pojazdu. Dowiedziawszy się jednak o jego awarii, natychmiast nawiązał kontakt ze stacją naziemną (prawdopodobnie w Heliopolis), starając się opanować sytuację:

„Co się stało, co się stało, Izydo, pełna chwały bogini, która zna swe czarodziejskie zaklęcie? Horusowi nie mogło przydarzyć się nic złego, jego ochroną jest słoneczna barka. Dzisiaj przybyłem z barki boga... ciemność zapanowała, światło pierzchło, dopóki Horus nie powróci do zdrowia...”

Tot pospieszył z pomocą w przestrzeń kosmiczną. Prztelegrafował na Ziemię, że Horus znajduje się w dobrych (czyli jego) rękach, po czym rozpoczął akcję ratowniczą:

„Cofnąć się, trucizna! Spójrz, czary (dobywają się) z ust Ra, język wielkiego boga trzyma (cię) z daleka. Barka stoi nieruchomo, nie leci dalej... póki Horus nie odzyska zdrowia... Wyjdź na ziemię (trucizna), aby barka mogła dalej jechać, a załoga obleciała niebo”.

We fragmentach tych znaleźć można oczywiście także pewne nonsensy. Nieznanemu kronikarzowi pomyliły się różne rzeczy. Jak widać, również on nie zdawał sobie niekiedy do końca sprawy z różnicy między barką Ra a słońcem. Tekst na steli Metternicha został napisany ponad dwa tysiące lat później niż *Teksty Piramid*, a zatem pozostał zachowany (nie sfalszowany) tylko motyw. Okoliczności towarzyszące uległy później zmianie. W każdym razie to dramatyczne wydarzenie znalazło się także w Starym Testamencie, gdzie oczywiście nie wiadomo, co począć z barką słoneczną Tota. Cała ta historia, być może ze względów dramaturgicznych, została więc przeniesiona na Jozuego, bohatera z Efraim. Przypisywany mu całkowicie nieprawdopodobny czyn znajduje swe odzwierciedlenie również w jednym z tekstów koptojskich, w którym czytamy:

„Widziałem w Sziêt człowieka, który potrafił zatrzymać słońce w bezruchu na niebie jak Jozue”.

Jednakże katolicka Biblia Pattlocha ujęła swemu bohaterowi wiele (niezasłużonej) chwały. Na samym wstępie tej legendarnej opowieści mówi się „że... części tej księgi nie pochodzą od Jozuego”. Co do tego nie ma wątpliwości, bo przecież ów „cud słoneczny” (co prawda w zmienionej postaci) wywodzi się ze źródeł staroegipskich i wiąże się całkowicie z Totem.

Aż trudno nie uwierzyć w siłę przypadku, gdy słyszymy, że ogólnoeuropejski projekt wyprawy kosmicznej z udziałem 13 państw ma nosić nazwę „Hermes”! A ponieważ imię greckiego wysłańca bogów wywodzi się w ostateczności od Tota, egipski „bóg gwiazd” doczekał się więc, co prawda późnego, ale bez wątplenia zasłużonego, uznania.

X. Testament

W starożytnym Egipcie kapłani byli czymś więcej niż tylko głosicielami swojej religii. Posiadali również władzę świecką i niekiedy pełnili także służbę państwową.

Kasta kapłanów w Starym Państwie była ponadto poddana ścisłej hierarchii. Na jej czele stał zawsze arcykapłan, który nosił tytuł „sem” i w prowadzonej przez siebie świątyni posiadał władzę absolutną. Ponieważ był on nominalnie „pierwszym prorokiem boga” (tego, któremu poświęcona była dana świątynia), oczekiwano od niego odpowiednich talentów, bez których piastowanie odpowiedzialnej funkcji byłoby niemożliwe. Mądrość i wiedza stanowiły warunki niezbędne.

Ale od arcykapłana wymagano również szczególnych zdolności organizacyjnych, on to bowiem prowadził wszelkie sprawy dotyczące świątyni. Jego obowiązkiem było troszczenie się o to, by panowała w niej dyscyplina, a służba przebiegała bez zakłóceń. On też sprawował kontrolę nad administracją wszystkich nieruchomości w swoim okręgu.

Poza tym korzyści zapewniała mu także możliwość współdziałania w polityce państwowej. Dlatego też zapobiegliwy zarządca świątyni miał zawsze dobre kontakty z dworem faraona, a nawet i z nim samym. Władcy Egiptu dana była bowiem moc mianowania lub odwoływania arcykapłanów w określonym czasie. Toteż wiele zależało od osobowości i wpływów danego kapłana na dworze, jeśli chciał on umocnić swą władzę zarówno tam, jak i na terenie własnej świątyni.

Kapłani starożytnego Egiptu posiadali przywileje, z jakich poza nimi korzystał jedynie faraon. Formalnie pełnili oni w swych świątyniach funkcję namiestników faraona, a on sam, jako „król-bóg”, był oficjalnie odpowiedzialny za utrzymanie w państwie religijnego porządku. Jednakże regulacja ta obowiązywała jedynie „na zewnątrz”, albowiem w rzeczywistości kapłani żyli w swoim własnym świecie, opartym na zasadach teokratycznych, co oznaczało, że poszczególni faraonowie nie mieli zazwyczaj żadnego wglądu w ich sprawy i dlatego najczęściej nie wiedzieli, co tak naprawdę dzieje się w murach świątyń.

Z drugiej zaś strony kapłani wywierali niemały wpływ na wielu władców. Sprawowali kontrolę – gdy uważali to za istotne – nad interesami państwowymi, a niekiedy wręcz nie cofali się nawet przed usunięciem siłą tych regentów, którzy działali wbrew politycznym interesom arcykapłanów. Z tego też powodu faraonowie egipscy co najwyżej w stopniu drugorzędym zajmowali się obrzędami odbywającymi się w świątyniach. Wydawali przyjęcia lub uczestniczyli w wyprawach, którymi oczywiście sami dowodzili. Tymczasem liczba kapłanów ciągle rosła, aż wreszcie doszło do powstania państwa w państwie i przerostu aparatu biurokratycznego, liczącego tysiące kapłanów. Władcy świątyń uzasadniali tę wysoką liczbę zwiększonymi zadaniami, jakie mieli do spełnienia. Setki obiektów kultu, poświęcone najrozmaitszym bogom, wymagały opieki. A każda z tych świątyń była w pewnym sensie samodzielna, dysponowała własnym sztabem kapłanów i miała prawo organizować czynności rytualne według własnego uznania.

Pielęgnowanie posągów różnych bogów i opieka nad nimi należały prawdopodobnie do najznakomitszych obowiązków kapłańskich. Jednakże do najświętszego miejsca świątyni wolno było wchodzić jedynie wąskiej wewnętrznej elicie – czyli arcykapłanom. To samo dotyczyło „władania” wyrocznią. Zazwyczaj były to specjalne posążki, przechowywane w skrzyniach z pozłocanego drewna. Ponieważ wyższa warstwa kapłańska dysponowała jeszcze na dodatek niemałą wiedzą naukową, uczyniła więcej niż należy, aby te figurki bogów, z których większość symbolizowała Amuna („Ukrytego”), stały się dla wiernego ludu czymś niezwykłym. Ze starych tekstów hieroglificznych dowiadujemy się, na przykład, że bogowie wyroczni posiadali rzekomo zdolność kiwania głową, a w niektórych przypadkach także mówienia.

Trzeba przyznać, że nawet egipciolodzy, którzy tego rodzaju umiejętności staroegipskich mędrców z reguły lokują w świecie fantazji, tu okazują się bezradni. „Nie mamy pewności – pisze badacz starożytności i okultyzmu Robert Brier – w jaki sposób mogło to być inscenizowane. Może kapłani ciągnęli ukradkiem za sznurki, aby spowodować poruszanie się głowy, i sami przemawiali za swojego boga”.

Niezależnie od tego jak to wszystko w istocie przebiegało – cel uświęcał środki. Posągi wyroczni przyciągały do świątyni niemałe tłumy. Zabobonni wierni spieszyli ku nim, by pozbyć się w ich murach swych trosk.

Nim dany kapłan uznany został godnym przyjęcia najwyższych święceń lub awansu na arcykapłana, musiał najpierw przebyć kolejne stopnie kariery kapłańskiej, co wymagało czasu.

Kapłanowi „sem” podlegała w danej świątyni cała kadra najrozmaitszych specjalistów. Byli nimi „horolodzy” (lub kapłani godzinni), których zadanie polegało na sumiennym określaniu pór dnia i nocy oraz dokonywaniu określonych czynności obrzędowych o dokładnie ustalonych godzinach. Z tego powodu uważnie śledzili położenie planet, dzięki czemu potrafili w odpowiednim czasie dać sygnał do rozpoczęcia przewidzianych rytuałów.

Inne zadania spoczywały na „kapłanach-astrologach”. Nie obserwowali oni – jak to czynią dzisiaj współcześni astrologowie – szlaków planet i gwiazd, lecz byli raczej strażnikami kalendarza mitologicznego, przedstawiającego zasady postępowania na każdy dzień roku. Albowiem zgodnie z wierzeniami starożytnych Egipcjan, każdy dzień przyporządkowany był określonemu wydarzeniu, od którego zależało, czy dzień ów będzie miał pozytywny czy niekorzystny przebieg.

Wyjątkową pozycję w obrębie hierarchii kościelnej mieli od dawna „kapłani-magowie”. Rezydowali oni i sprawowali swe posługi w części świątyni nazywanej „Domem Życia”. Wszystkie większe świątynie dysponowały kompleksem budynków, w którym znajdował się szczególnie ważny element obiektu kultu: biblioteka kapłanów. Przechowywano w niej nie tylko księgozbiór świątyni, jej pomieszczenia służyły również jako miejsce, gdzie przebywali uczniowie kapłanów.

„Dom Życia” był poza tym jedyną częścią całego obiektu świątynnego, do której miał dostęp również „lud”. Każdy, kto szukał rady i pomocy kapłanów, właśnie tam był przyjmowany i wysłuchiwany (oczywiście po uprzednim zaanonsowaniu się). Tam zwykły obywatel otrzymywał wskazówki medyczne, rady dotyczące tłumaczenia snów, pomoc magiczną, której udzielano mu za pośrednictwem różnych rytuałów. Nie znający pisma petent mógł też zwrócić się z prośbą o odczytanie lub napisanie listu. Szukający pomocy w świątyniach byli zwykle ludźmi prostymi, a więc i analfabetami.

Do świątliwych kapłanów zwracano się też często w trudnych kwestiach prawnych. Na zwojach papirusu, należących do British Museum w Londynie i Muzeum Egipskiego w Berlinie, zachowały się dwie wersje sporu prawnego z czasów starożytnego Egiptu, dotyczące prawa własności grobu. W obu przypadkach procesy doprowadziły do sprawiedliwych rozwiązań, co dowodzi, że już wtedy kapłani potrafili posługiwać się sztuką dyplomacji, by zadowolić strony sporu.

Szczególnie kapłani-magowie starali się o to, by utrzymać w tajemnicy przed światem zewnętrznym swą rozległą wiedzę i umiejętności w dziedzinie czarów. Robert Brier podejrzewa, że szacunek, jakim cieszyli się magowie wśród ludu, opierał się być może nie tylko na ich uczoności, ale wynikał również z tego, że kapłani ci uciekali się chętnie do pewnych trików i sztuczek w rodzaju wyciągania królika z cylindra, aby wzbudzić w ten sposób sensację wśród naiwnych i niczego nieświadomych ludzi (nie będących w stanie przejrzeć ich gry).

My także jesteśmy o tym przekonani, co nie znaczy, że poddajemy w wątpliwość właściwe im z całą pewnością umiejętności (choćby w dziedzinie alchemii). „Wyborny” przykład Briera odnosi się do Biblii. W Starym Testamencie, w *Księdze Wyjścia*, znajdujemy historię o tzw. „cudzie z laską”. Na polecenie istoty – uważanej początkowo przez Mojżesza i Aarona za Najwyższego, czyli samego Boga, zanim nie rozpoznali oni prawdziwej tożsamości jego i jego towarzyszy (patrz rozdz. VI Władcy Synaju) – obaj mężowie udali się do pałacu egipskiego władcy, by oczarować go i zjednać sobie za pomocą „cudu”:

„Aaron rzucił laskę swoją przed faraonem i jego sługami, a ona zamieniła się w węże.

Wtedy także faraon wezwał mędrców i czarowników, a czarownicy egipscy uczynili to samo czarami swoimi.

Każdy z nich rzucił laskę swoją i zamieniły się w węże. Ale laska Aarona połknęła laski ich”. (*Księga wyjścia*, 7, 10-7, 12)

To, co zdarzyło się na oczach faraona, było po prostu pojedyńkiem iluzjonistów. Odegrali oni scenę, która w rzeczywistości nie polegała na pozornej przemianie zwykłych „lasek” (całkowicie podobnych do dzisiejszych lasek czarodziejskich) w „węże”, lecz opierała się na tajemnych trikach. Tyle tylko, że magicy będący na usługach faraona mieli pecha, ponieważ Aaron osiągnął wyraźnie wyższy stopień wtajemniczenia – z czym możemy się spotkać również u współczesnych artystów

varieté.

Pokazy magiczne w dawnych czasach służyły nie tylko mamieniu naiwnych widzów doskonałą iluzją (choć z pewnością i taki cel także im przyświecał). Magia spełniała również funkcję służebną wobec celów kultowych i nie była jedynie prymitywnym *hokus-pokus*. Można ją raczej uznać za dyscyplinę naukową. Ci jednakże, którzy idąc za swoim powołaniem, posługiwali się nią, zobowiązani byli za cenę własnego życia utrzymywać w tajemnicy zdobytą przez siebie wiedzę i metody jej zastosowania oraz zachować milczenie na temat tego wszystkiego, czego wymagała znajomość magicznych formuł.

Voodoo w Starym Państwie

W ówczesnym Egipcie hołdowano każdemu rodzajowi magii. Z tekstów pochodzących z okresu panowania Hyksosów można wywnioskować, że wśród wysokich kapłanów z zapalem uprawiano zarówno tzw. „czarną magię”, jak i jej pozytywny odpowiednik – „białą magię”. Obie służyły głównie celom ideologicznym, niekiedy jednak wykorzystywane były w polityce państwowej dla ochrony Egiptu oraz jego władców przed atakami wrogów zewnętrznych. Odwoływano się wówczas do ściśle określonych czarodziejskich zaklęć, ale chętnie też używano metody, która przypomina nam stosowaną jeszcze dzisiaj procedurę magiczną, powszechnie praktykowaną w regionie świata położonym daleko od Egiptu, a mianowicie na wyspie Haiti.

Wierzenie to wywodzi się z Bliskiego Wschodu. Czy ktokolwiek mógłby się spodziewać, że niezwykle kult voodoo ma swe źródło akurat w jakimś magicznym ceremoniale Starego Państwa?

Otóż w burzliwych czasach wojen, gdy zagrożenie z zewnątrz przybierało na sile i wojska wroga szykowały się do ataku na kraj, uciekano się wówczas do szczególnie wypróbowanego środka, pozwalającego dać odpór przeciwnikowi. Kapłani-magowie lepili niewielkie figurki z wosku i ryli na nich imiona tych, których zamierzali się pozbyć w ten tak niezwykle sposób. Były to imiona albo wrogich książąt, którzy dowodzili wojskami, albo wojowniczych ludów występujących w roli okupanta. Także w wielu konfliktach wewnętrznych – np. przy okazji buntów przeciwko rządzącym – stosowano złowieszczą magię figurek woskowych.

Po pokryciu posążków napisami przekłuwano je następnie igłą, rozdeptywano i wrzucano do ognia lub zakopywano. W ten sposób zyskiwano pewność, że ich żywe odpowiedniki zostały również unieszkodliwione.

I niech nikt nie próbuje twierdzić, że uważano to tylko za zupełnie nieskuteczną, dziecinną zabawę. Czary traktowane były w starożytnym Egipcie od dawien dawna niezwykle poważnie, a w ich działanie wierzyli nie tylko ludzie – również sami „bogowie” nie stronili od stosowania magii jako środka obrony przed przeciwnikami. Podobnie jak wiele innych zjawisk, także i sztuka magiczna wywodzona jest od mistrza wszelkiej wiedzy, Tota. Jemu właśnie przypisuje się następującą sentencję: „Bóg dał człowiekowi czary jako broń, aby mógł się ochronić przed wszelkim złem”.

Również voodoo – czy jak też nazywała się ta magiczna poprzedniczka haitańskiego kultu – pełniło rolę takiej broni, używanej przez kapłanów zarówno do obrony ich własnych interesów, jak i interesów kraju. Od naocznych świadków z Antyli wiadomo, że stosowana przez mieszkańców Haiti metoda palenia woskowych lalek, będących kopią wrogów plemiennych, i przekłuwania ich długimi, ostrymi igłami okazała się sposobem wcale skutecznym: przeciwnicy skarżyli się na trudne do określenia bóle i odchodzili z tego świata w sposób tajemniczy. Czy zatem voodoo w pierwotnym sensie należy wywodzić od Tota, mistrza magii? Czy on także stosował „czarną sztukę”? Odpowiedzi na te pytania znajdujemy w *Księdze Umarłych*, która jednoznacznie zdejmuje z Tota ten ciężar odpowiedzialności.

W rozdz. 7. *Księgi Umarłych* znajduje się taka oto formuła obronna:

„Złowieszczą istotą z wosku, która posilasz się Słabym Zniszczeniem wiedz, że nie jestem ani bezsilnym słabeuszem, ani wyczerpaną, zwiędłą duszą. Twa trucizna nie zdołała wdrzeć się w moje członki. Albowiem moje ciało jest boskim ciałem Tuma”.

XI. Dendera przemawia!

Gdy przed kilkoma laty odwiedziliśmy po raz pierwszy Denderę i podziwialiśmy doskonale pod względem artystycznym, a niezwykle zagadkowe płaskorzeźby w jednej z dostępnych jeszcze krypt świątyni, byliśmy przekonani, że na temat tych wszystkich osobliwych wizerunków ze ścian uda nam się zdobyć odpowiednie wyjaśnienia. W owym czasie nie mieliśmy cienia wątpliwości, że od doświadczonych egiptologów uzyskamy wyczerpujące informacje o znaczeniu pisemnej spuścizny po starożytnych Egipcjanach.

Toteż pełni optymizmu zwróciliśmy się z naszymi problemami do naukowców zajmujących się historią starożytnego Egiptu. Interesowało nas bezpośrednie znaczenie podziemnych run znalezionych w świątyni bogini Hathor. Jeszcze przed podjęciem podróży do kraju faraonów przezornie sporządziliśmy pismo zawierające szereg pytań, z którymi zapoznaliśmy także pochodzącego z Austrii egiptologa, prof. Dra Ericha Wintera.

Nawiązaliśmy również telefoniczny kontakt z tym naukowcem z Trewiru – i bardzo się ucieszyliśmy, gdy po powrocie zastaliśmy jego odpowiedź.

List ten zaskoczył nas jednak i zawiódł zarazem, mimo że podczas naszego pobytu w Egipcie zostaliśmy już niejako „ostrzeżeni”. Dr Fawzi Soueha, ówczesny dyrektor kairskiego Muzeum Medycyny Prehistorycznej i Aptekarstwa, powiedział nam wówczas:

„Moi panowie, proszę przyjąć do wiadomości, że na przestrzeni dziejów naszego kraju, którego historia liczy sobie trzy tysiące lat, znaki hieroglificzne zmieniły się bez wątpienia kilkakrotnie. Ponadto należy też uwzględnić fakt, iż arcykapłanom Starego Państwa właściwa była znajomość swoistego, tajemnego pisma, dzięki któremu mogli ukryć przed zwykłym ludem i resztą świata swą rozległą wiedzę i nieprzeciętne umiejętności”.

Podobnie wyraził się też prof. Winter. A oto, co nam przekazał:

„Pytanie Panów dotyczy nadzwyczaj interesujących wizerunków, których detale egiptologia wprawdzie już zna, ale co się tyczy ich tła religijno-historycznego, na podstawie którego można by zinterpretować te sceny (widoczne na płaskorzeźbach z Dendery), poruszamy się całkowicie po omacku, nie umiając w ogóle wyjaśnić roli krypt w późnoegipskich świątyniach (spośród których jedynie te z Dendery wyposażone są w płaskorzeźby i inskrypcje). Popularne tłumaczenie, iż są to, z jednej strony magazyny, z drugiej zaś pomieszczenia kultowe, pozostaną tak długo czystymi spekulacjami, dopóki brak będzie szczegółowych badań, które pozwoliłyby w bardziej bezpośredni sposób odnieść je do specyficznej sytuacji późnoegipskiej teologii. To samo dotyczy wymienionych przez Panów inskrypcji. Dotychczas nie zostały one jeszcze przetłumaczone, ponieważ zaledwie od kilku lat dysponujemy godną zaufania edycją inskrypcji Chassinat-Daumas. Przekład o podbudowie naukowej musiałby uwzględniać bardzo obszerny i niezwykle rozgałęziony materiał.

Przygotowanie takiej dysertacji przez studenta wymagałoby dwóch lat intensywnej pracy. Ja sam również mógłbym zająć się tym interesującym i dla mnie tematem, co zajęłoby mi, jak sądzę, cały semestr, czyli sześć miesięcy”.

Prof. Winer chciał w ten sposób dać do zrozumienia, że nie uda się nam namówić go na dokonanie prowizorycznego przekładu, ponieważ, jego zdaniem, praca taka byłaby zwykłym „dyletantyzmem, który do niczego by się (Panom) nie przydał”.

Od chwili napisania tego listu wiele wody upłynęło w Nilu. W tym czasie odbyliśmy następne podróże po Egipcie, odwiedzając oczywiście (i to w pierwszej kolejności) świątynię bogini Hathor w Denderze i przywożąc stamtąd sporo pożytecznego materiału plastycznego i pisemnego. Tylko w jednej sprawie ciągle dreptaliśmy w miejscu: jeśli chodzi o wstępne tłumaczenie hieroglifów z krypty, nie wydarzyło się nic nowego.

Zwróciliśmy się więc ponownie do naszego źródła informacji w Trewirze, kierując kolejny list do prof. Dra Ericha Wintera. Zawarliśmy w nim prośbę o ostatnie nowinki z dziedziny studiów nad hieroglifami – rzucając jako hasło „Dendera”. Czy i tym razem egiptolog udzielił nam odpowiedzi?

Owszem. 21 marca ubiegłego roku otrzymaliśmy pismo od profesora z dołączoną przez niego kopią opracowania jednego z kolegów po fachu, egiptologa, prof. Dietera Kurtha. W opracowaniu

tym zajmuje się on ściennymi rytami z krypt świątyni Hathor ze szczególnym uwzględnieniem płaskorzeźb z północnej ściany krypty południowej 1c. Obwarowując się licznymi przypisami, prof. Kurth dochodzi do wniosku, „że wizerunki te przedstawiają postacie świętych bóstw, sprowadzonych podczas uroczystości świątynnych przez kapłanów”.

Wydaje się jednak, że nie jest on do końca przekonany o słuszności tej opinii, ponieważ wyraża następujące przypuszczenie:

„Prawdopodobnie te na wpół plastyczne postacie przechowywano w kryptach świątyni, napisy bowiem zawierają informacje na temat materiału (np. złoto), z jakiego zostały wykonane, a także ich wielkości (wąż na kwiecie lotosu w barce mierzył tyle samo, ile wynosi szerokość czterech dłoni)”.

Prof. Winter czynił nam poza tym w swym liście nadzieję na rychły przekład tekstów hieroglificznych z Dendery, donosząc, iż na jednym z niemieckich uniwersytetów powstaje dysertacja, mająca za przedmiot opracowanie interesujących nas inskrypcji. W ciągu nadchodzących miesięcy spodziewał się uzyskać bliższe informacje, a następnie skontaktować nas z autorem tejże pracy.

Brzmiało to wprawdzie obiecująco, ale jednocześnie i dosyć mgliście, nie mieliśmy ponadto żadnych wskazówek, gdzie należałoby szukać owego młodego człowieka. Ale, jak głosił tytuł pewnego niemieckiego szlagieru sprzed lat – cuda zdarzają się zawsze... I oto już w trzy miesiące po odpowiedzi prof. Wintera także i nas spotkał cud w postaci liściku od życzliwego nam informatora Eberharda Schneidera z Hamburga. Wiadomość ta okazała się prawie już nieoczekiwanym przez nas „missing link” – brakującym ogniwem w łańcuchu. Słowa Schneidera dodały nam otuchy. Pisał on:

„Właśnie przed chwilą – 28.5., godz. 20.50 – rozmawiałem z egiptologiem Wolfgangiem Waitkusem na temat jego przekładu hieroglifów z Dendery. Praca jest niemal gotowa i może już od lipca będzie do dyspozycji. Gdy jednak zadałem konkretne pytanie, czy istnieją jakiegokolwiek wskazówki sugerujące, że owe przedmioty z węzami mogłyby ewentualnie być lampami elektrycznymi, odpowiedział mi, iż jako przyrodnik (albowiem jest nie tylko egiptologiem), może mnie zapewnić, że wszystkie te opowieści o elektryczności «to blaga» – obiekty te są objaśnialne wyłącznie z egiptologicznego punktu widzenia”.

Negatywna ocena naszej teorii dotyczącej elektryczności wcale nas nie zmartwiła. O wiele ważniejsze było to, że dowiedzieliśmy się wreszcie, do kogo można się zwrócić w sprawie konkretnych już tłumaczeń nie znanych dotychczas inskrypcji z Dendery. Pierwsza próba kontaktu – słowa uznania należą się telefonowi A.G. Bella – miała charakter akustyczny, a rezultat tej krótkiej rozmowy był zadowalający. Wolfgang Waitkus okazał życzliwość wobec naszych zamiarów, chciał jednak zasięgnąć jeszcze opinii instancji nadrzędnej, czyli swojego promotora, czy nie istnieją jakieś przeciwwskazania nie zezwalające na publikację tych fragmentów jego pracy doktorskiej, które dotyczą hieroglifów na płaskorzeźbach z „żarówkami”. Przeszkoda została pokonana – promotor Waitkusa, prof. Kurth, nie miał żadnych zastrzeżeń. Dzięki temu jesteśmy w stanie przybliżyć po raz pierwszy naszym czytelnikom ważne fragmenty tej aktualnej dysertacji, dotyczące znaczenia tekstów z Dendery.

„Sherlock Holmes” i zagadka Hathor

Nim zajmiemy się tłumaczeniami tekstów ze świątyni Hathor, chcemy poświęcić trochę uwagi człowiekowi, któremu cała egiptologia ma do zawdzięczenia ważny krok milowy na swej długoletniej drodze badań. Niemal zawdzięczamy mu także i my, którzy podjęliśmy próbę przeanalizowania w niniejszej książce zagadnień z wczesnej historii Egiptu w sposób – jak nam się wydaje – niekonwencjonalny. Waitkus przekazał nam ogromną ilość nowych, przybliżających nas do celu wiadomości.

Wolfgang Waitkus, rocznik 1953, jest obywatelem niemieckim. Mieszka w Hamburgu, gdzie zdobył wykształcenie i uzyskał dyplom fizyka. W ubiegłym roku na podstawie ponad dwustronicowej dysertacji na temat znaczenia hieroglificznych napisów w podziemnych katakumbach Dendery przyznano mu tytuł doktora filozofii.

Strona egipska wprawdzie już kilka lat wcześniej podjęła próbę rozszyfrowania run z Dendery, jednakże od tamtej pory nic na ten temat nie było słyhać. Dlatego też całą zasługę należy przypisać

drowi Waitkusowi, który – przynajmniej na obszarze europejskim – może uważać się za pioniera w tej dziedzinie. My również gratulujemy mu tego osiągnięcia, choć wiemy, że nasza interpretacja egipskich pradziejów znacznie odbiega od wersji proponowanej przez niego.

A oto sporządzony przez Waitkusa przekład hieroglifów, widocznych na różnych na różnych płaskorzeźbach obok lub ponad wizerunkami plastycznymi. Po każdym fragmencie przełożonych na niemiecki tekstów z Dendery prezentujemy naszą wersję, która jest próbą zinterpretowania „drugiego dna”.

„ŚCIANA PÓLNOĆNA (krypta południowa 1c)

Wypowiedzieć słowa Ihi, Wielkiego, syna Hathor, szlachetnego dziecka oka Ra: «Ucieszyłem twe serce wspaniałościami dla twojej postaci i uśmierzyłem wściekłość słowami.»”

Pierwszy fragment odnosi się do „Ihi”, „Hathor” i oka „Ra”. Wiemy już, że za tymi hasłami kryją się sięgające głęboko znaczenia. Są to uproszczone nazwy określonych właściwości, szczególnych zdarzeń lub przedmiotów. Ihi był synem Hathor i porównywany jest z bogiem powietrza. Stanowił również „symbol nowego początku”.

Hathor z kolei utożsamiano z „okiem Ra”, często też nazywano ją „okiem słońca” – co zdaniem egiptologów świadczy o tym, iż w jej przypadku chodziło o samo słońce.

Jest to założenie, co do którego można mieć wątpliwości. „Oko Ra”, wyposażone w określone właściwości i posiadające zdolność latania, musiało być wyjątkowym pojazdem. Potwierdzają to liczne teksty staroegipskie. W *Papirusie Kufi* przedstawiony jest dokładny opis wyglądu „oka słońca”. Czytamy tam:

„Jego powierzchnia dymiła ogniem. Jego grzbiet miał barwę krwi, jego oblicze błyszczało niczym tarcza słoneczna, jego oczy żarzyły się ogniem. Jego spojrzenia buchały płomieniem, ciskając ogniem jak słońce w południe”.

Czy Ihi jest również jedynie opisem jakiegoś obiektu? Może w jego przypadku chodzi o obiekt świetlny? Jeśli tak, to „przyrząd” ten mógłby znajdować się w „oku Ra”, następnie zaś został z niego wyjęty i przeniesiony do Dendery. Stąd też nazwa „syn Hathor, szlachetne dziecko oka Ra”.

By wywołać określony formę występowania Ihi – w tekście mowa jest o postaci – „uśmierzone wściekłość słowami”. Jeśli przyjąć to za aluzję do niebezpiecznego charakteru przedstawianego zjawiska, czyli elektryczności, można wysunąć wniosek, iż obsługujący ten przyrząd byli w stanie za pomocą odpowiednich słów (formuł) oraz właściwej obsługi zażegnać ewentualne niebezpieczeństwo.

Co jednak miały oznaczać owe „wspaniałości”, które ucieszyły jego serce? Kryje się za tym z pewnością znacznie więcej niż tylko wyraz radości. Prawdopodobnie „wspaniałości” te były niezbędne dla osiągnięcia „postaci” i „uśmierzenia wściekłości” (wyładowanie elektryczne). A zatem „wspaniałości” to inaczej określone detale, znajdujące się w „sercu” urządzenia, może w „magazynie energii”. Kolejną wskazówkę na ten temat zawiera fragment:

„Król Górnego i Dolnego Egiptu, syn Ra: «Przybyłem do ciebie, Piękna (?) (...) Władczyni Egiptu. Ochroniłem twoje ka za pomocą (?) wizerunku (...) za pomocą wspaniałości boga»”.

„Syn Ra” ukazał się, aby ochronić „ka” jakiejś osoby albo jakiegoś przedmiotu o charakterze bóstwa. Warte uwagi jest znaczenie „ka”: było ono utożsamiane z „siłą życiową”, „osobowością” i „właściwością”. Ponadto „ka” uważano też za źródło „potęgi”, „siły”, „mocy czarodziejskiej”, „widzenia”, „słyszenia” i „poznawania”. Ta siła życiowa musiała być chroniona, i to (zgodnie z tekstem) za pomocą „wizerunku” i za pomocą „wspaniałości boga”.

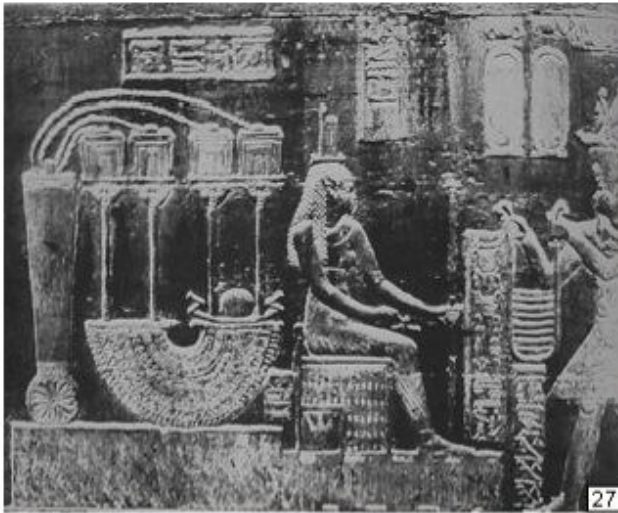
Jak to rozumieć? Czy chodziło o ochronę urządzenia? Czy ową „siłę życiową” należało utożsamiać z funkcjonowaniem urządzenia elektrycznego?

„Wypowiedzieć słowa Hathor, Wielkiej, władczyni Dendery, oka Ra, pani nieba, księżnej wszystkich bogów, tarczy na niebie rozjaśniającej ziemię, której woli posłuszne są gwiazdy”.

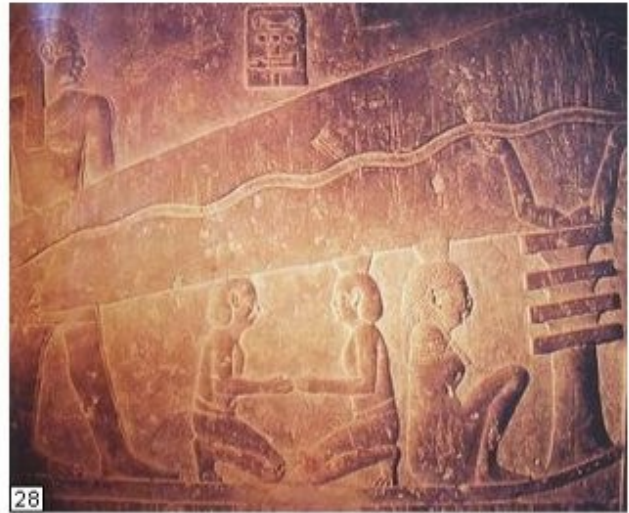
Ten fragment z kolei wyraża szczególny hołd, jaki składano bogini „Hathor” – a mówiąc precyzyjniej: „oku Ra” – owemu osobliwemu ciału latającemu, które nosi jej imię.

Aluzja do „światła” zawarta jest w słowach: „tarczy na niebie rozjaśniającej ziemię”.

„Wypowiadać słowa Harsomtusa, wielkiego boga, który przebywa w Denderze, żywe ba w lotosie barki dnia”.



27



28



29



30



31



32

27. Płaskorzeźba przedstawia proces elektrolyzy. Chodzi tu przypuszczalnie o galwanizację. Od dużego urządzenia elektrycznego (zredukowanego przez egiptologów do „amuletu”) prowadzą sznury pereł do czterech główek z elektrodami, które połączone są w dwie pary.

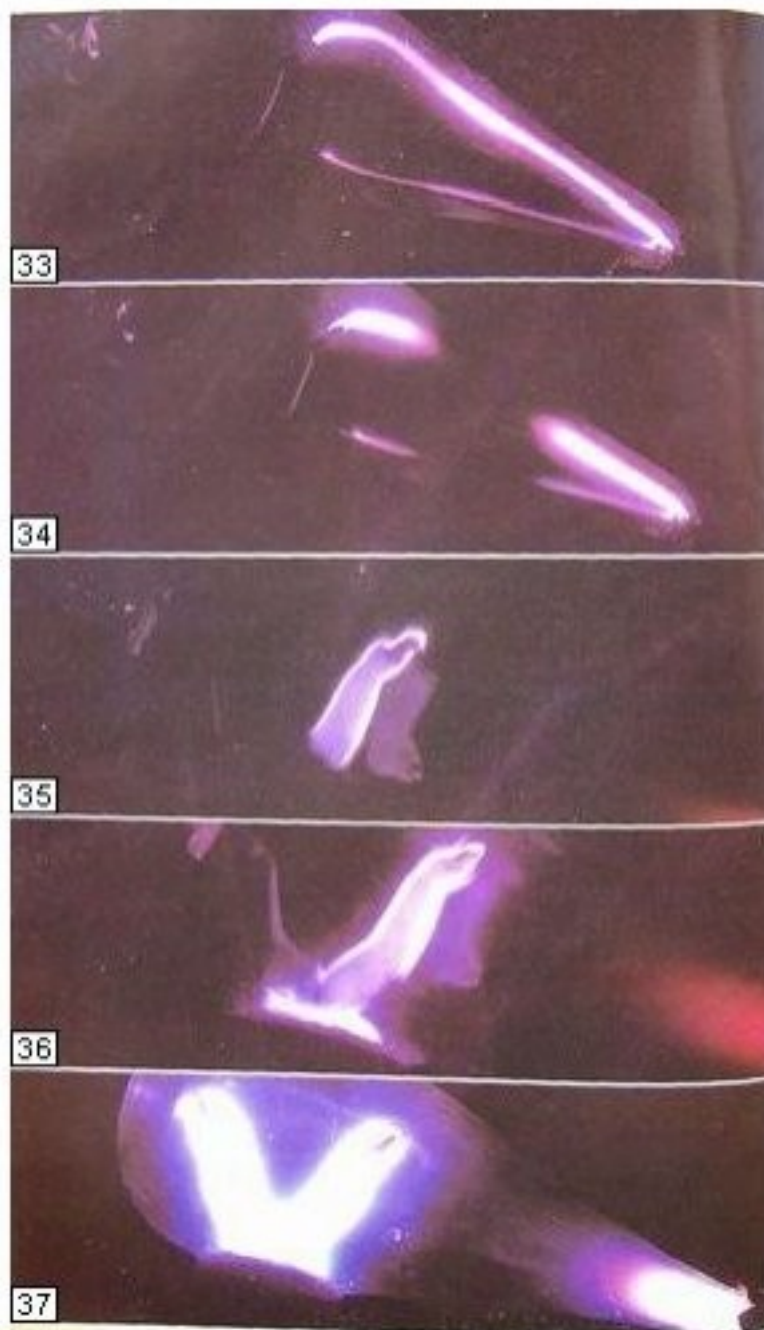
28. Według eksperta od elektryczności, inż Garna, płaskorzeźba ta stanowi najpełniejszą dokumentację dla podjętej przez niego rekonstrukcji żarówki. Jest to też jedyny wizerunek, na którym ramiona filara dzed sięgają do wnętrza żarówki.

29. Kolejna płaskorzeźba, na której nie ukazano Tota.

30. Jedna z wielu wypraw autorów do krypt Dendery, gdzie mieli możliwość studiowania zagadkowych płaskorzeźb.

31. *Filary dzed* symbolizują według interpretacji egiptologów pojęcia takie jak „siła”, „wytrwałość” i „stałość”. Inż. Garn, podobnie jak autorzy tej książki, uważa je za izolatory wysokiego napięcia. To malowidło naścienne ukazuje proces ustawiania dwóch *filarów dzed*.

32. Inż. Walter Garn i zrekonstruowane przez niego staroegipskie źródło światła; w modelu tym potwierdzona została całkowicie funkcja *filara dzed* jako izolatora.



33-37. Pięć faz laboratoryjnego eksperymentu z modelem żarówki – od początku wyładowania gazowego aż do efektu pełnego świecenia ramion *dzed*. To udane doświadczenie potwierdziło zasadność prezentowanej w książce tezy o istnieniu elektryczności w starożytnym Egipcie.

Obok Ihi (obiektu świetlnego?) wymieniony jest również „Harsomtus” jako „syn Hathor”, często utożsamiany z „Horsem”. „Harsomtusa” przedstawiano zwykle jako „mumię o ludzkiej głowie”, „mężczyznę o głowie sokoła i z tarczą słoneczną” lub „pod postacią węża”. „Bóstwo” to ukazane jest na płaskorzeźbach z Dendery jako „wąż”, którego inż. Garn uważa za „wyładowanie elektryczne”. Czyli „Harsomtus” byłby tu rozumiany jako światło w szklanej kolbie naszego modelu (Ihi?). Odnośne tłumaczenie: „Harsomtus...żywe *ba* w lotosie”. Podobnie przedstawiał to już w 1983 r. Prof. Kurth, w dokonanej przez siebie próbie przekładu:

„Żywe *ba*, wąż, który podniósł się na swym ogonie”.

I dalej:

„Harsomtus pod postacią węża opuszcza workowaty pojemnik”.

Pierwotnie „*ba*” utożsamiane było z „formą występowania danej istoty”, później interpretowano je także jako „duszę”. A o lotosie czytamy, że jest on „kwiatem, z którego wychodziło światło”. Kwiat ten jest pokrewny wodzie i ogniovi, chaotycznej ciemności i boskiemu światłu. Lotos „stanowi symbol wydobywającego się z nocy słońca”. Opisy te są wręcz wymarzone dla poparcia naszej tezy o elektryczności.

I rzeczywiście, również w opisywanym już wcześniej eksperymencie „wąż” wydobywa się ze środkowej części kwiatu lotosu (tam bowiem jest najsilniejsze pole) i jak gdyby unosi swój ogon, aż wreszcie jasnością rozпали się cały szklany pojemnik. „Harsomtus” stał się więc „żywym *ba*”.

„Tekst dot. Barki i lotosu: (Barka dnia i lotos ze złota)

Tekst dot. Węża: (metal, wysokość na cztery dłonie)

Tekst dot. Osoby trzymającej lotos: (złoto)”

Czy absurdalne jest więc przypuszczenie, że płaskorzeźby z Dendery stworzone zostały w celu plastycznego udokumentowania wiedzy elektrotechnicznej? Wiedeński egiptolog Helmuth Satzinger stwierdził:

„Nie absurdalne, ale fałszywe. Ilustracje religijne w Egipcie (świątynie, grobowce) nie mają informować, lecz oddziaływać”.

Jeśli jednak płaskorzeźby ukazują jedynie „wytwory wyobraźni”, to od razu nasuwa się pytanie, w jakim celu teksty podają dokładne miary i materiał? Do czego na przykład miałyby służyć informacje o „wężu”, mówiące, iż jego postać jest z metalu, a wysokość równa się czterem dłońmi. Są to bardzo konkretne dane, które przez wykonawców płaskorzeźb podane zostały z pewnością nie tylko dla kaprysu, lecz przypuszczalnie całkiem świadomie. Można odnieść wrażenie, że również prof. Kurth spostrzegł, iż płaskorzeźby te ukazują znacznie więcej niż tylko abstrakcyjną scenę, gdy pisze:

„Prawdopodobnie strzeżono tych na wólpłastycznych figur w kryptach świątyni; napisy zawierają bowiem dane dotyczące zastosowanego materiału (np. złoto) i ich wielkości”.

Tłumaczenie barki (podobny do gumowego węża przewód) i lotosu (uchwyt żarówki) brzmi „barka dnia i lotos ze złota”. Nie musi to oznaczać jedynie tego, że opisane przedmioty wykonane były ze „złota”. Jak głoszą dawne teksty, złoto to „ciało bogów”, boski metal obdarzający „nieśmiertelnością”. Sama „Hathor” uważana jest za uosobienie „złota” – najbardziej błyszczącego, a więc i „najpiękniejszego” metalu. A „piękno” z kolei utożsamiane jest z „promieniowaniem”. Jednakże „złoto” może również wskazywać na szczególną wartość, bezcenny charakter danego obiektu, który z powodu swej niepowtarzalności musiał być dobrze chroniony. Z całą pewnością mogła nim być szklana kolba o tajemniczej mocy wydawania światła.

„ŚCIANA PÓŁNOCNA (krypta południowa 1c)

Wypowiedzieć słowa Harsomtusa, wielkiego Boga, który przebywa w Denderze, sokoła o skrytych skrzydłach. (Złoto, wysokość jednego łokcia)”

Tu dowiadujemy się, że „żywe *ba*” (Harsomtus = wąż = wyładowanie elektryczne) nie jest na razie widoczny, skrywa się więc jeszcze przypuszczalnie w lotosie. „Harsomtus” ukazuje się tu jako „sokół o skrytych skrzydłach”. Pióra sokoła interpretowane są jako „świetlistość” i uchodzą – podobnie jak sam sokół – za „symbol światła”. Fakt, że owo zjawisko świetlne jest „ukryte”, mógłby wskazywać na to, iż nasz obiekt dający światło nie był jeszcze uruchomiony.

„Wypowiedzieć słowa Harsomtusa-dziecka, syna Hathor, pięknego dziecka Złotych, władcy muzykowania dla jego matki oka Ra, ukochanego przez Wielką Dziewiątkę, gdy go widzi, tego, który jest obrazem Reharachte, wspaniałego dziecka o ukrytym imieniu.(1)”

„Harsomtus” (zjawisko świetlne) określony został tutaj jako „dziecko”. Jest to wyraźna wskazówka, że „wąż” nie osiągnął jeszcze swej pełnej mocy wydawania światła. „Harsomtus” dopiero przecież stanie się „wielki” – stąd określenie „dziecko”. Nazywany jest poza tym „pięknym dzieckiem Złotych”. Jak już wspomnieliśmy, „piękno” utożsamiane było z „promieniowaniem”. Ale „Harsomtus” uchodzi także za „pana muzykowania”, co być może stanowi aluzję do określonych odgłosów, jakie wiążą się ze zjawiskami świetlnymi, np. „szum” czy „syczenie”.

Dalej czytamy, że „Harsomtus” jest także „kochany przez Wielką Dziewiątkę, gdy go widzi”. Czy chodzi tu o kapłanów odprawiających w Heliopolis swą służbę bogom? Czy też może raczej o najstarszą „Dziewiątkę”, o „bóstwa systemu kosmogonicznego”, na czele których stał Atum, a towarzyszyli mu Szu, Tefnut, Geb, Nut, Ozyrys, Izyda, Set i Neftyda? Lub też po prostu o peryfrazę określonych funkcji lub specyficznych właściwości? Każde tzw. „bóstwo” miało swoje odrębne znaczenie, zdolności i właściwości pozostające w ścisłym związku z jego imieniem. Nie należy zapominać o tym, że spersonifikowane bóstwa nie zawsze były istotami. Kapłani starożytnego Egiptu, a wraz z nimi oczywiście i lud, w coraz większej mierze zaczęli nadawać określonym rzeczom – przedmiotom o szczególnym znaczeniu – charakter boski, w następstwie czego obiekty te żyły własnym życiem, zamieniając się w „podmioty”.

Atum – to twórca „Dziewiątki”, nazywany „Doskonałym” i „Nieistniejącym”. On właśnie miał podobno stworzyć boga słońca Ra, gdy ten wyłaniał się z płatków kwiatu lotosu. Miał postać „ptaka benu”, znanego nam bardziej jako „feniks”. Osobliwe jest to, że akurat słowo „feniks” tłumaczy się jako „ogniście błyszczący”, „świecić” i „rozpuszczać się”. Niekiedy Atum przedstawiany jest także jako wąż.

Szu – oznacza „wypukły”, ale także „pusty”. Był bogiem powietrza, ale uważano go też za „boga światła”. Niektóre stare teksty utożsamiają Szu z „Reharachte”.

Tefnut – była boginią „życiodajnej rosy” i łączono ją z wilgocią.

Geb – to element ziemi. Miał on złożyć jajo, z którego wykuło się słońce jako „ptak-benu” (ptak słońca). Związana z nim legenda brzmi następująco:

„Geb zdecydował postawić węża ureusa na głowie i wyciągnął rękę, by otworzyć kosz, w którym go trzymano. Wąż wyzionął z siebie od razu śmiertelnie trucizną, od której zginęli wszyscy słudzy Geba, a on sam doznał oparzeń i dostał wysokiej gorączki”.

Nut – to bogini nieba. Uchodziła za matkę boga słońca Ra, pobieżnie uważano, że każdego wieczoru połykała słońce i na nowo rodziła je co rano. Tym samym Nut stała się symbolem „ponownych narodzin”.

Ozyrys – tłumaczony jest jako „stworzyć tron”, ale także jako „siedziba” lub „władza oka”. Utożsamiany jest również z *filarem dzed*, a w konsekwencji posiada jego atrybuty: sybole „siły”, „trwania” i „stałości”.

Izyda – oznacza „siedzenie”, „tron”. Była wielką czarodziejką i uosabiała wszelkie „siły magiczne”.

Set – uważany jest za postać bajkową. Był bogiem „pustyni”, a także „obcości”, przypisywano mu siły magiczne. Najczęściej wiązano go ze „złem” i „niebezpieczeństwem”.

Neftyda – nazywana jest „panią domu”. Była siostrą Izydy i uważano ją za „opiekunkę umarłych”.

Odnosząc powyższe wyjaśnienia do tekstów z Dendery, można przypuszczać, że wymienienie „Wielkiej Dziewiątki” było równoznaczne ze wskazaniem określonych cech, elementów składowych i funkcji. Gdy dochodzi do zgrania wszystkich tych czynników, „Harsomtus” (zjawisko świetlne) jest, by tak rzec, „kochany” przez „Dziewiątkę”. Przepuszczalnie dopiero w ten sposób możliwe było uzyskanie jego prawdziwej postaci. Jednakże nasze źródło światła wydaje się być jeszcze na etapie powstawania, ponieważ „wąż” przyjął „obraz Reharachte”.

Kto lub co kryje się pod „Reharachte”? Oto mityczne wyjaśnienie:

„Harachte, którego imię oznacza «Horus z horyzontu», jest postacią, pod jaką Horus czczony był jako bóg światła – jedna z jego starych funkcji”.

„Harsomtus” przyjął więc tu postać boga światła „Reharachte”. W następnej chwili wychodzi ze

swego „ukrycia”.

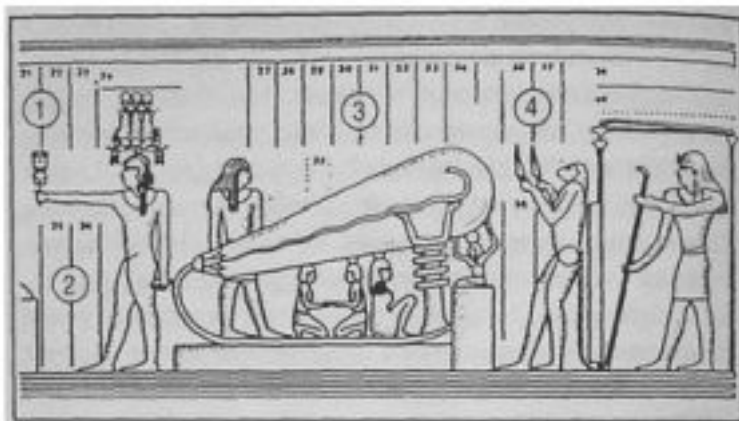
„Rozjaśniasz węzem-ureusem krainę Dendery, w której życie, *dzed* i zdrowie są (przeznaczone) dla twojej ochrony. Władasz obydwoma krajami, gdy jesteś usprawiedliwiony w trybunale i dziedzictwo Ra jest pod twoim nadzorem.(2)”

Mamy tu do czynienia z bezpośrednim odniesieniem do wizerunku węża na płaskorzeźbach z Dendery. „Ureus” jest słowem greckim i po egipsku oznacza „wydymający się”. „Wąż należy do zwierząt, których symbolika wykazuje najbardziej jaskrawe kontrasty. Ich zwinnność, migotliwe piękno, ich niesamowitość i niebezpieczny charakter wywołują uwielbienie i odrazę” – pisze Manfred Lurker w książce *Götter und Symbole der alten Ägypter* („Bogowie i symbole starożytnych Egipcjan”). Są to właściwości, za pomocą których można by także opisać fenomen elektryczności. Odgłosy wyładowania elektrycznego, powstające przed przebicciem, słyszane unisono mogłyby być uznane również za syczenie, podobne do wydawanego przez węża.

Tekst podkreśla ponadto szczególną funkcję ochronną czytamy w nim bowiem, że „dziedzictwo Ra jest pod twoim nadzorem” i życie, *dzed* i zdrowie są (przeznaczone) dla twojej ochrony. Tak więc „Harsomtus” musiał być chroniony. Czy jest to aluzja do szklanej kolby, w której można się było dopatrzeć źródła światła? Czy też w ten sposób chciano dać głównie do zrozumienia, że całe urządzenie musiało być pod szczególną ochroną i dlatego znajdowało się „pod nadzorem”?

„Wypowiedzieć słowa Harsomtusa, wielkiego bóstwa, które przebywa w Denderze, które wznosi się z lotosu jako żywe ba, którego doskonałość wynoszona jest w wizerunkach (statuach) jego *ka*, którego obraz używany jest przez załogę barki dnia, którego ciało wspiera *filar dzed*, pod którego wizerunkiem jest prapoczątek i którego majestat dźwigają towarzysze jego *ka*. (Złoto, wysokość jednego łokcia) (3)”

„Harsomtus wyszedł z lotosu jako «żywe *ba*»” (jedna z postaci istoty żywej) i „pod postacią węża oparł się na swym ogonie” (przekład prof Kurtha). Wąż ukazuje się w „spotęgowanej doskonałości swego *ka*” (*ka* = siła życiowa, moc magiczna, potęga itd.). „Obraz” (forma występowania) „używany przez załogę barki dnia”, wsparty na podobnym do izolatora „filarze *dzed*”, symbolu „siły”, „trwania” i „stałości”.



Mowa jest tutaj o „obrazie doskonałości”, o „Harsomtusie”, który nie jest już dzieckiem, lecz występuje jako „wielkie bóstwo”. „Żarówka” osiągnęła swą „doskonałą” moc świecenia.

Fakt, że zacytowany wyżej tekst łączył się z płaskorzeźbą, która posłużyła inż. Garnowi do skonstruowania jego modelu „żarówki”, co umożliwiło mu przeprowadzenie udanych doświadczeń stanowi również potwierdzenie naszej tezy. „Podczas gdy inne wizerunki – mówi Garn – oddają jedynie szczegóły i procesy, z elektrotechnicznego punktu widzenia najdokładniejsza jest ta płaskorzeźba, na której ramiona «filara *dzed*» sięgają w głąb «żarówki». «Wąż», z wyjątkiem zgięcia głowy, jest przedstawiony tak, jak powinno przebiegać wyładowanie elektryczne. Prawdziwy wąż nigdy nie poruszałby się w sposób ukazany na płaskorzeźbie”.

„Twoje imię jest doskonale jako Upu (małpa), twoje oblicze jest obliczem zaby: «Twoich wrogów zrównałem z ziemią za pomocą noża, i pokonuję Twojego przeciwnika na mieliźnie.» (4)”

Ten fragment tekstu odnosi się do postaci małpy, przedstawionej na płaskorzeźbie w groźnym geście obok żarówki. Jak powszechnie wiadomo, kontakt z przedmiotami przewodzącymi prąd nie

jest bezpieczny. Niewykluczone więc, że owo małe bóstwo, które w każdej ręce trzyma nóż, próbuje w ten sposób zwrócić uwagę na niebezpieczny charakter ukazanego zjawiska, czyli elektryczności. Również tekst tłumaczenia zdaje się na to wskazywać: „Zrównałem Twoich wrogów z ziemią...” Niewłaściwa obsługa urządzenia mogła prowadzić do porażen prądem i wypadków śmiertelnych (por. epizody przedstawione w Starym Testamencie, np. „Skrzynia Świadcstwa” – przedmiot kultu Izraelitów, jako „skrzynia Boga”, również łączony z elektrycznością).

„ŚCIANA PÓLNOCNA (krypta południowa 1c)

Wypowiadać słowa Harsomtusa, wielkiego bóstwa, które przebywa w Denderze, w tajemnej postaci chronionej w jego skrzyni. (Złoto, wysokość jednego łokcia)”

„Harsomtus” – źródło energii, „wielkie bóstwo... w tajemnej postaci” – musiał być odizolowany, „chroniony” „w jego skrzyni” – pojemniku na relikwie, szafie przeznaczonej wyłącznie dla niego. Może chodziło tu o elektrostatyczny generator? Albo też w tym specjalnym pojemniku przechowywano całe urządzenie?

„ŚCIANA WSCHODNIA (połowa północna)

Wypowiedzieć słowa Hathor, Wielkiej, władczyni Dendery, oka Ra, władczyni nieba, księżnej wszystkich bogów. (Złoto, wysokość jednego łokcia)”

Tekst ten zawiera pochwały bogini „Hathor” pod postacią „oka Ra”. Imię „Hathor” oznacza „dom twarzy”. Bogini ta należy do nielicznych bóstw przedstawianych zawsze z twarzą całkowicie zwróconą ku obserwatorowi. Z tego samego źródła wywodzi się także imię „Horus” (bóg-sokół), co też dało początek bliskiemu związkowi między „Hathor” i „Horussem”. Mit opowiada, że „Hathor karmiła piersią żywego Horusa” i „przyjęła w swe ramiona umierające słońce. Podkreślenie w tekście imienia „Hathor” ma bez wątpienia szczególne znaczenie. Istnieją przekazy mówiące o tym, że „oblicze Hathor «naładowane» było promieniami”. To samo mówi się o bogu nauki i dawcy światła Tocie.

„Przybądź w pokoju, władco pasm górskich na zachód i wschód od Nilu. Rzeźbiarze (wytwórcy królewskich napierśników) są za tobą, z tym, co podają twoje wskazania(?). Otrzymałem Twoją cudowną rzecz, właściwie wykonaną ze szlachetnymi kamieniami, i odmładzam się przez Twoje plany”.

Tu mowa jest o tym, aby „władca” (pod określeniem tym Waitkus domyśla się Ptolemeusza XII, czego my bynajmniej nie zakładamy) przybył w „pokoju”. Za jego plecami znajdują się rzeźbiarze. Byli to specjaliści od wytwarzania specjalnej „ozdoby na pierś”, służącej królowi jako ochrona. Przed czym? Przed porażeniem prądem? Czy chodziło tu o ubiór, który by jego użytkownikowi pozwalał na bezpieczne zbliżenie się do urządzeń elektrycznych?

Prawdopodobnie ten tzw. „napierśnik” wykonany został z polecenia („wskazania”) władcy. A skąd pochodziły dyrektywy? Czy opierały się na „boskich” przekazach? Dalej czytamy, że wówczas „przyjęto cudowną rzecz”. Cudowną dlatego, że „właściwie wykonaną z kamieniami szlachetnymi”. Interesująca jest następna część zdania: „... a ja odmładzam się przez Twoje plany”.

W tym miejscu uzasadnione wydaje się przypuszczenie, że podjęto właśnie określone działania, u podstaw których lażały owe „planety” (niezależnie od tego, kto był ich sprawcą). Czy chodziło tu o funkcjonowanie owej „żarówki”, przedstawionej na płaskorzeźbach świątyni Hathor? Czy zdanie „odebrałem Twoją cudowną rzecz, właściwie wykonaną”, odnosi się właśnie do tego? W każdym razie zwrot „odmładzam się” może być bez wątpienia sygnałem, że „Harsomtus” znowu się zmniejszył, stał się „dzieckiem”, aby potem ponownie wyczołgać się w kwiat lotosu (podstawa żarówki).

Czy wszystko to nie potwierdza naszego przypuszczenia, iż cała wiedza na temat przydatności i niebezpiecznego charakteru elektryczności opierała się na instrukcjach istoty uznanej za bóstwo i że z tego powodu wspomniany tu władca związany był niejako wskazówkami, czyli musiał postępować w zgodzie ze ściśle określonymi „planami”?

„ŚCIANA POŁUDNIOWA (krypta południowa 1c)

Przyniesienie amuletu ze złota. Wypowiedzieć (słowa): «To jest ochrona Twojego Majestatu na uroczystość, wykonana ze złota.»”

Zostaje więc przyniesiony „amulet ze złota”. „Amulety” były w starożytnym Egipcie zdecydowanie czymś więcej niż tylko zwykłymi przedmiotami ozdobnymi. Jak głoszą przekazy, posiadały one „moc czarodziejską” i każdemu ich użytkownikowi (w tym szczególnym przypadku „majesta-

towi”) służyły jako „ochrona”. Przy uruchamianiu źródła światła należało przecież, jak już wspomniano, przestrzegać ściśle określonych „wskazań” i „planów”, aby zapobiec tragicznym skutkom (spowodowanym porażeniem prądem). Odpowiednią wskazówkę w tym względzie znajdujemy u Mojżesza w Starym Testamencie. Jak pamiętamy, tragarze elektrycznie naładowanej Skrzyni Świadcstwa także musieli być ubrani w ochronne (izolujące) stroje. Ci zaś, którzy niepowołani i bez odpowiedniego wyposażenia odważyli zbliżyć się do Skrzyni Boga, doznali ciężkich obrażeń w wyniku porażenia lub też w wielu przypadkach ponieśli śmierć (por. rozdz. IV Władcy Synaju). Podobne środki ostrożności obowiązywały również przy obsłudze staroegipskiego źródła światła.

Podczas uroczystości rytualnych, w czasie których „Harsomtus” był pokazywany i prawdopodobnie także uruchamiany, nie zaniebawiano odpowiednich środków dla ochrony kapłanów (i oczywiście także króla):

„Wypowiedzieć słowa Ihi, Wielkiego, syna Hathor, szlachetnego dziecka o świecącym warkoczu: «Raduję twe serce wspaniałościami dla twojej postaci i uśmierzam wściekłość słowami.»”

A zatem „Ihi”, jak sądzimy, mógł oznaczać całą „lampę świetlną”, podczas gdy „Harsomtus” – występujący pod postacią świecącego węża – iskrę elektryczną lub wyładowanie gazowe.

W tekście tłumaczenia znajduje się też inna przekonująca wskazówka, która przemawia za tym, że cytowane tu opisy dotyczą istotnie jakiegoś źródła światła. („Ihi... szlachetne dziecko o świecącym warkoczu”). Po raz kolejny też „serce” naszej żarówki uradowane zostaje niezbędnymi „wspaniałościami” – a wszystko to tylko po to, aby wywołać w ten sposób określoną formę występowania („twoja postać”). „Wściekłość” (chodzi tu być może o ewentualne uderzenia elektryczne) opanowana zostaje jednak dzięki doskonałej obsłudze urządzenia za pomocą „słów” (wskazówki).

„Król Górnego i Dolnego Egiptu, syn Ra: «Przybyłem do Ciebie, do Twojej siedziby (...). Piękna (?), której widok jest doskonały. Przypiąłem amulet ze złota do kwiatu (?) życiem w dniu święta (...) Twojego ciała (?).»”

Król, syn Ra, przybył do Dendery, by osobiście odwiedzić „siedzibę” „Ihi”. Widzi zjawisko świetlne („Piękna, której widok jest doskonały”), przy czym określenie „piękna” można utożsamiać z pięknem. Jest to także synonimem „promieniowania”, „blasku” i „świecenia”.

A zatem król „przypiął do kwiatu” określony „amulet ze złota” (zapewniający mu ochronę) i tym samym sprawił, że urządzenie „w dniu uroczystości” rzeczywiście zafunkcjonowało (zostało wypełnione „życiem”). Znaki zapytania umieszczone w nawiasach przez Waitkusa wskazują wyraźnie, co sam nam potwierdził, że „przekład nie jest gwarantowany”. W uzupełnieniu należałoby tu jeszcze powiedzieć, że w przypadku owego „kwiatu”, do którego został przypięty amulet, chodziło prawdopodobnie o oprawkę źródła światła.

„Wypowiedzieć słowa Izydy, Wielkiej, matki bogów, władczyni Jat-di, Pradziejowej, z której nastaniem zaczęła się Ziemia, Szlachetnej, Silnej, o pogodnym obliczu, malachitowej skórze i głowie barwy lapis-lazuli. (Złoto, wysokość jednego łokcia)”

Izydę wiązano zawsze z „siłami magicznymi”, „czarami” i „magicznymi narzędziami”. Funkcje „lampy świetlnej” były prawdopodobnie dostępne i zrozumiałe wyłącznie wtajemniczonym świątyni (arcykapłanom). Kapłani niżsi rangą zmuszeni byli działać według wyższych „wskazówek”. Tego rodzaju procesy otoczone były zawsze aurą „czarodziejskości”, „tajemniczości” i „magiczności” – co mogło stanowić powód traktowania Izydy jako spersonifikowanego bóstwa.

Bogini ta w większości przypadków przedstawiana jest z różnymi atrybutami: ze „znakiem Anch”, z „kwiatem Izydy”, względnie „węzłem Izydy”, nazywanym krótko „Tet”. O znaku „Anch” czytamy:

„Mimo wielu wizerunków egipskiej wcięż jeszcze nie wiedzą dokładnie, jaki właściwie przedmiot ilustruje znak Anch. Niektórzy uważają, że przedstawia on rzemyk od sandałów, ale nie jest to wcale pewne. Fakt, iż dla sporządzenia Anch nie był przewidziany żaden określony materiał, pozwala przypuszczać, że również Egipcjanie nie mieli jasności co do pochodzenia tego znaku”.

Zakłada się, że pierwotnie „amulet Anch” mógł spełniać „jakąś magiczną funkcję służącą ochronie życia”. Podobną bezradność wywołuje też w środowisku egiptologów znaczenie znaku „Tet”. „Chociaż nazwa bez wątpienia wiązała się z boginią Izydą, nie jest do końca jasne, co

oznacza ten znak, przypominający znak Anch z opuszczonymi ramionami lub pętelkę od paska egipskich bogiń” – pisze Robert Brier w swojej książce *Zauber und Magie im alten Ägypten* („Czary i magia w starożytnym Egipcie”). Również *Księga Umarłych* nie podaje bliższych danych dotyczących znaczenia „Tet”. W rozdziale 156. *Księgi* opisana jest jedynie funkcja, jaką miał do spełnienia amulet, a i to w sposób wyraźnie zaszyfrowany:

„Twoja krew należy do ciebie, Izydo,
twoja moc czarodziejska należy do ciebie, Izydo,
twoja siła czarodziejska należy do ciebie, Izydo,
Amulet jest ochroną tej wielkości
i strzeże (go przed) tym,
co popełnia na nim przestępstwo”.

Interesujące w tekście o Izydzie jest określenie jej słowami: „Szlachetna, Silna o pogodnym obliczu, malachitowej skórze i głowie o barwie lapis-lazuli”. Czy to coś oznacza? Malachit jest produktem przekształcenia minerałów miedzi. Spotkać go można przede wszystkim jako kamień ozdobny, głównie w rękodziele. O „malachitowej zieleni” (lub „świetlistej zieleni”) mowa jest na przykład przy wytwarzaniu przedmiotów (np. „waz malachitowych”) zawierających smołowy barwnik, pochodny trifenylometanu. Chodzi tu o wytworzony w sposób sztuczny z produktów smołowych barwnik organiczny. Produkcja barwników smołowych zaliczana jest dzisiaj do ważniejszych dziedzin przemysłu chemicznego.

Co się zaś tyczy „lapis-lazuli” (mówi się o „lapisowym błękitie”), chodzi tu o kolor lazuru, wywiedziony od „lazurytu”. Jest to minerał (zawierający siarkę glinokrzemian sodu) o wspaniałej niebieskiej barwie. Służy on jako kamień ozdobny w wyrobach rękodzielniczych (np. do ozdabiania drogocennych przedmiotów, inkrustacji i okładzin w połączeniu z brązem). Farba lazuru (lazur miedziany) jest farbą błyszczącą, zawierającą niewiele pigmentu barwnika, co w przeciwieństwie do farb kryjących umożliwia prześwitywanie podłoża. Krótko mówiąc: „Lazur to wierzchnia powłoka z przezroczystej warstwy farby”.

W tym kontekście, opierając się na wskazówce zaczerpniętej z przekładu dr. Waitkusa, możemy przyjąć, że „malachitowa skóra” i „głowa o kolorze lapis-lazuli” to przezroczysta kolba szklana, w której „Harsomtus”, albo lepiej: wyładowanie elektryczne – rozbłyskiwało niebieskawozieloną poświatą. Ów efekt świetlny odpowiada dokładnie zjawisku, jakie dało się zaobserwować podczas naszego eksperymentu, przeprowadzonego przez inż. Garna.

„Wypowiedzieć słowa Harsomtusa, wielkiego boga, który przebywa w Denderze. (Złoto, wysokość na cztery dłonie, w miedzi barka dnia, lotos w złocie)”

I znowu mowa jest o „Harsomtusie”, którego zidentyfikowaliśmy jednoznacznie jako właściwe zjawisko świetlne w tzw. „żarówce”, przy czym w szczególnym przypadku wytworzony został „łuk światła”. W przekładzie Waitkusa podane są dokładne wymiary i materiał. Pod „Harsomtusem”, tworem podobnym do balonu, widać przewód przypominający linę, a przez egiptologów uważany po prostu za „barkę”. Prowadzi on od oprawki żarówki („lotosu”) do podwyższonego, prostokątnego pojemnika, który egiptolodzy określają jako „tron”. Przewód zbudowany był podobno z miedzi.

Jest to założenie zgodne z opinią inż. Garna, który twierdzi, iż „umocowany na końcu liny kwiat lotosu jest – jeśli przyjąć, że chodzi tu o przewód przewodzący – bezbłędnie dostosowany do potencjału ziemi. W każdym razie lotos spoczywa na potencjale stóp przedstawionych osób, a także na podstawie *filara dżed*. Oznacza to, że kabel w tych warunkach nie musi być izolowany, a zatem mógł składać się z cienkich drutów metalowych”.

Przekład dr. Waitkusa potwierdza przypuszczenie Garna – umieszczony w nawiasie cytat: „złoto, wysokość na cztery dłonie, w miedzi barka dnia, lotos w złocie”. Również w naszym doświadczeniu zastosowano miedź jako materiał do wykonania kabla.

„Wypowiadać słowa Harsomtusa, wielkiego bóstwa, które przebywa w Denderze, Barwnopiórego na tronie Serech. (Złoto, wysokość jednego łokcia)”

Trudno byłoby oddać trafniej „grę światel” za murami świątyni Hathor. „Harsomtus” przebywa teraz „w Denderze” i jako „Barwnopióry” może być tam podziwiany na „tronie Serech”. Jak wiadomo, „Harsomtus” oznaczał zjawisko świetlne w „żarówce”. Nazwanie go więc „Barwnopiórym” ma swoje uzasadnienie, albowiem pióra uchodziły w Starym Państwie za typowy „symbol

światła”. Należy przypuszczać, że temu elektrotechnicznemu przyrządowi przypadało szczególne miejsce, jakim w kręgu wyższych kapłanów był właśnie „tron Serech”. Samo słowo „serech” tłumaczone jest jako „władca”, co pozwala przyjąć, że urządzenie to zajmowało miejsce nadające mu bezsprzecznie najistotniejsze znaczenie w całym procesie.

Błyszczący wąż

Działający w Wiedniu egiptolog doc. Helmuth Satzinger nie jest zwolennikiem naszej tezy dotyczącej elektryczności. Zapytany o dające się zinterpretować z technicznego punktu widzenia płaskorzeźby w Denderze, stwierdził lakonicznie:

„Jedyny związek z elektrycznością to podobieństwo kamieni węży ze świecącymi lampami”.

Jednakże dzięki hamburskiemu egiptologowi dr. Wolfgangowi Waitkusowi mamy już pierwsze tłumaczenia tekstów z Dendery, z analizy których wcale nie wynika, iż są one w rzeczywistej sprzeczności z naszą teorią, mimo że hieroglificzna spuścizna ze ścian świątyni w Denderze przedstawiona została w skondensowanej formie mitologicznej. Wręcz przeciwnie: dokonane przez Waitkusa interpretacje staroegipskich znaków w zasadzie podkreślają nawet nasze założenie, zgodnie z którym płaskorzeźby z Dendery stanowią dokumentację procesów elektrotechnicznych.

„ŚCIANA POŁUDNIOWA (krypta 1c)

Wypowiedzieć słowa Ihi, Wielkiego, syna Hathor, Ra w swojej postaci wielkiego boga, który z diademem pokazuje się jako król Egiptu i jako pan ceremonii Sed, Wielki swojego tronu: «Zawładniesz Denderą po milionkroć (?) aż po krańce wieczności i aż po spełnienie wieczności.» (Złoto, wysokość jednego łokcia) (5)”

„Ihi”, nasze źródło światła pod postacią „wielkiego Boga”, cieszył się szczególnym uwielbieniem. Uważany był za „pana ceremonii Sed”, organizowanej wyłącznie ku jego czci. Podczas tej uroczystości arcykapłani demonstrowali przypuszczalnie swoje umiejętności związane z elektrycznością, chętni się zjawiskiem „Harsomtus”, czyli uruchamiali „świecącą lampę”. To jedna możliwość; druga zaś mogłaby ograniczać się tylko do wykonania w bardziej uroczystej formie określonych czynności rytualnych związanych z uruchomieniem źródła światła.

Co wiadomo nam o „ceremonii Sed”?

Robert Brier tak pisze o niej w swej książce *Zauber und Magie im alten Ägypten*, będącej dla nas niezwykle bogatym źródłem informacji:

„Uroczystość ta obchodzona była od najstarszych czasów historii Egiptu, ale chociaż istnieje cały szereg różnych ilustracji, jej właściwy sens nie jest do dzisiaj poznany do końca”.

Ceremonii tej przyświecało motto „odnowić siły życiowe”, a także „siły magiczne króla”. Słowo „Sed” oznacza „ogon”, a zatem „święto ogona” mogło odnosić się do „świecącego węża” – czytaliśmy przecież w przekazach: „Harsomtus, żywe ba, wąż, który oparł się na swoim ogonie”. Był to proces, który, jak wielokrotnie już wyjaśnialiśmy, miał symbolizować wyładowanie elektryczne.

„Ihi” – jak wspomina się w tekście – opanuje Denderę „po milionkroć”. Przy słowach tych prof. Waitkus znowu umieścił w nawiasie znak zapytania, co oznacza, iż z punktu widzenia egiptologii przekład nie jest gwarantowany. Nam natomiast fragment ten wydaje się całkiem jasny: „Ihi” nie był przecież osobą lecz „źródłem światła”, i w tym kontekście konkretnego znaczenia nabiera wskazówka, że panowanie to trwać będzie „aż po krańce wieczności i aż po spełnienie się wieczności”. Słowo „wieczność” zyskuje przy tym specjalną wagę. W połączeniu z pojęciem „żywe ba” (pod którym rozumieć należy formę występowania lub duszę danej istoty) jest to wniosek, który powtarza się w kolejnych fragmentach przekładu Waitkusa – mowa jest w nich, co warte uwagi, o „symbolu wieczności, a także o „ponownym narodzeniu”. Sam „Ihi” zaś uważany jest za uosobienie „nowego początku”. „Ba” z kolei, jak głoszą przekazy, „mogło swobodnie wędrować, co pewien czas jednak powracało do grobu, aby się pożywić”. Co nie oznacza wcale, że w jego przypadku chodziło o Zombie, „nieżywego”, mimo że dadzą się zauważyć pewne paralele. Jeśli bowiem utożsamiać „żywe ba” z blaskiem światła, który – według opisu – pochodzi od owego Harsomtusa,

„błyszczącego węża”, wówczas nie można wykluczyć, że „symbol ponownych narodzin” miał swój odpowiednik we włączaniu i wyłączaniu źródła światła. Innymi słowy: „ba” wydobywa się z kwiatu lotosu (w tradycji staroegipskiej lotos = „kwiat, z którego zrodziło się światło”) i „żyje”, rozprzestrzeniając się jako blask światła – a zatem: „lampa świetlna” jest włączona. „Ba” w odstępach czasu chowa się na powrót do lotosu (uchwyt żarówki), aby (na pozór) „umrzeć” – „lampa świetlna” jest wyłączona.

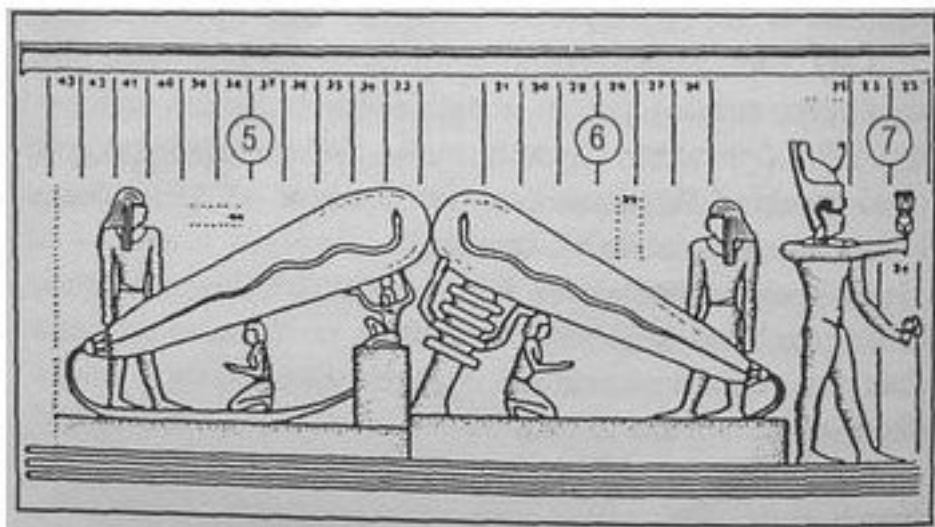
Gdy „ba” „pożywiło się” w lotosie (czyli zapewniło dalszy dopływ prądu), proces imaginacyjny „ponownych narodzin” mógł zacząć się od nowa – i to dokładnie tak, jak głosi przekład Waitkusa: „...po milionkroć aż po krańce... i aż po spełnienie się wieczności”.

„Wypowiedzieć słowa Harsomtusa, wielkiego bóstwa, które przebywa w Denderze, żywego *ba* z lotosu w barce dnia, którego doskonałość dźwigają oba ramiona *filara dzed* jako swój obraz. *Ka* są na kolanach i mają ugięte ramiona. (Złoto, same drogocenne kamienie, wysokość trzech dłoni) (6)”

Jest to kolejny opis uruchomionej „lampy świetlnej”. Podobnie jak w innych ilustracjach tego motywu, również i tutaj podkreślana jest „doskonałość” (pełna moc świecenia) urządzenia, możliwa dzięki „filarowi dzed” i jego „obu ramionom”. Poniżej znajdują się „ka” (siły życiowe), przedstawiane „na kolanach, z ugiętymi ramionami”. A oto komentarz inż Garna:

„Tych kłęczących mężczyzn można uważać za przeciwstawne napięcie pomiędzy kwiatem lotosu i ramionami «filara dzed». Mężczyzna kłęczący bliżej filara byłby wobec tego biegunem dodatnim”.

„Wypowiedzieć słowa Harsomtusa, wielkiego bóstwa, które przebywa w Denderze, które znajduje się w ramionach grupy bogów w barce nocy, szlachetny wąż, którego obraz nosi Heh, którego załoga w światłości dźwiga jego doskonałość, który ukazuje się z Hathor na niebie jako *ba*, którego postać wielbią czciciele, który przybywa jako niepowtarzalny, otoczony przez węża na czole, z licznymi imionami, na czele bogów-patronów, odzwierciedlenie Ra w Atum, ojciec (bogów), który stworzył wszystko. (Złoto, metal, wysokość czterech dłoni) (7)”



Wcześniejszy komentarz odnosi się również do tego fragmentu przekładu: wyładowanie elektryczne demonstruje się w „doskonałej” mocy światła, blask światła spowija wszystko dookoła. W tłumaczeniu zaznaczono wyraźnie, że „załoga” dźwiga go w „światłości”. Na końcu następują precyzyjne dane dotyczące zastosowanego materiału i dokładnych wymiarów (wysokość czterech dłoni). A zatem nasze źródło światła mogłoby mieć 70-80 cm wysokości.

Na koniec podajemy jeszcze dwa przekłady Waitkusa, które z jednej strony ponownie odwołują się do „sił czarodziejskich” Izydy, z drugiej zaś do określonych kapłanów, podporządkowanych jakiemuś wyższemu „panu”, co przypuszczalnie wiązało się z wykonaniem określonych „wskazań” i „planów”, które zapewnić miały właściwą obsługę „lampy świetlnej”.

„ŚCIANA WSCHODNIA (połowa południowa)

Wypowiedzieć słowa Izydy, Wielkiej, matki bogów, władczyni, ...która przebywa w Denderze, królowej poddanych, o spiczastych rogach. – Uwaga na marginesie: «Przybądź w pokoju... (?) – kapłanie swego pana, w którym ... – kapłani są Ci podporządkowani, a Ty chronisz moje gardło twoim właściwym postępowaniem. Raduję się «świeżością» Twojego charakteru. (Złoto, wysokość jednego łokcia)”

Bilans pewnego „prześwietlenia”

W przytoczonych powyżej tekstach użyto zadziwiająco dużo pojęć łączących się bezpośrednio ze zjawiskiem świetlnym. Najbardziej widoczne było to w przypadku „świecącego węża, który dobywa się z kwiatu lotosu”. Wszystko to odpowiada dokładnie obrazowi widocznemu zarówno w naszym (udanym) doświadczeniu, jak i na płaskorzeźbach. To oczywiste, że starożytni Egipcjanie nie stosowali takich określeń jak (a) wyładowanie elektryczne, (b) moc światła, (c) zjawisko świetlne, (d) generator elektrostatyczny, (e) izolator, (f) kabel, (g) światło, (h) oprawka żarówki, (i) porażenie prądem czy (j) polaryzacja (biegun +). Arcykapłani Starego Państwa posługiwali się raczej – co zrozumiałe – określeniami zaczerpniętymi z własnego słownika. Nierzadko były one jedynie w sposób symboliczny zasugerowane, a określone przedmioty, właściwości i procesy świadomie przedstawiano w formie opisowej, „zamaskowane” wobec świata zewnętrznego. Staroegipscy kapłani zajmowali się przecież nauką tajemną – czemu nie przeczą nawet egiptolodzy. Nic więc dziwnego, że (a) przedstawione zostało jako „świecący wąż”, który „oparł się na swoim ogonie”, (b) stała się „ka”, (c) określeniem „żywe ba”, a także „świecący warkocz”, (d) przedstawiony był jako „tron”, „tajemna skrzynia” i „siła czarodziejska”. I dalej: (e) stał się „filarem dzed”, (f) „barką z metalu”, (g) „Reharachte”, (h) „lotosem, z którego wyszło światło”, (i) „wściekłością węża” i wreszcie (j) „ka na kolanach, o ugiętych ramionach”. To tylko niektóre z porównań; jest ich oczywiście znacznie więcej.

Inż Walter Garn, który bardzo wnikliwie zapoznał się z reprezentowaną przez nas tezą o istnieniu elektryczności w starożytnym Egipcie, po dokładnym przestudiowaniu przedłożonego mu materiału pisemnego i plastycznego stwierdził, co następuje:

„Bez elementarnej znajomości elektrotechniki takie rysunki, jakie znajdują się w kryptach świątyni Hathor, nie byłyby możliwe. Zbieżność jest po prostu zbyt duża!”

XII. On przyniósł światło

Przy zwiedzaniu Dendery najbardziej rzuca się w oczy to, że każdy najmniejszy nawet skrawek powierzchni został tu pokryty hieroglificznymi inskrypcjami oraz ilustracjami plastycznymi w sposób dokładnie przemyślany i celowy. Wyraźnie widać, że arcykapłani świątyni Hathor pragnęli udostępnić potomności określone informacje. W każdym razie takie odnieśliśmy wrażenie, odwiedzając w ciągu kilku lat tę monumentalną budowlę.

Jednakże doc. Helmuthowi Satzingerowi, współpracownikowi Kunsthistorisches Museum w Wiedniu oraz jego hamburskiemu koledze dr. Wolfgangowi Waitkusowi tego typu myślenie wydało się całkowicie absurdalne.

Ten ostatni w pełni popiera pogląd Satzingera, według którego religijne wizerunki w egipskich świątyniach i grobowcach stworzone zostały bynajmniej nie po to, by informować, lecz by „oddziaływać”. Zdaniem Waitkusa: „Pozostaje to w zgodzie z wynikami badań egiptologicznych w tej dziedzinie”. O ewentualnej informacyjnej zawartości inskrypcji i materiału ilustracyjnego Waitkus nie chce w ogóle słyszeć. „Jest to – twierdzi – odzwierciedlenie wyłącznie wyobrażeń religijnych”. Oznak (zakładanej przez nas) wiedzy fizyczno-technicznej uczoney ten nie potrafi, „z punktu widzenia fizyka”, nigdzie dostrzec. Co więcej przenosi to twierdzenie także na „zawartość tekstów”.

Inż. Walter Garn wydobywa z wypowiedzi hamburskiego egiptologa inne aspekty. „Jeżeli dane dotyczące wielkości i materiału – zauważa – odnoszą się do realnie istniejących posągów lub obiektów kultu, to można je uznać za dowód, że model takiej «żarówki» rzeczywiście istniał!”.

Dr Wolfgang Waitkus nie popiera także naszego przypuszczenia, iż owe motywy naścienne przedstawione zostały nie w sposób abstrakcyjny, lecz realistyczny, o czym świadczą naszym zdaniem informacje dotyczące wymiarów i materiału. Na wszystko to należy patrzeć „nie perspektywicznie, lecz aspektywnie”, stwierdza Waitkus i wyjaśnia: „np. obok siebie mogą być umieszczone obrazy, które przy perspektywnym sposobie obrazowania nie byłyby widoczne jednocześnie. Nieświadomy tego faktu laik może dojść w konsekwencji do całkowicie błędnych wniosków”.

Niechęć Waitkusa nie powinna jednak zbyt deprimować. W każdym razie Garn nie zbiło to z tropu. Wręcz przeciwnie – uważa bowiem, że dr Waitkus swoim wyjaśnieniem „potwierdził istotny element naszej interpretacji”. „Podkreśla on – mówi Garn – że wizerunki na płaskorzeźbach staroegipskich nie muszą wcale odpowiadać rzeczywistym proporcjom wielkości, że funkcjonalną jednoczesność da się przedstawić i że perspektywiczna – czyli przestrzenna – struktura mogła być inna niż ukazana”. Garn dowodzi, że wszystkie fakty zostały uwzględnione „intuicyjnie”, i jeśli nawet mniejsze znaczenie przypisywano „proporcjom wielkości, a także strukturze przestrzennej”, to w zamian za to „podkreślono i udowodniono wzajemny związek poszczególnych elementów i funkcjonalność całości”. Tak czy inaczej, jak uważa Garn, odpowiedź dr. Waitkusa „potwierdziła naszą interpretację”. Dodatkowe dane dotyczące wielkości płaskorzeźby, podane przez hamburskiego egiptologa (szerokość czterech dłoni), pozwoliły Garnowi przyjąć założenie, że oryginał mógł być dwa razy większy od zbudowanego na jego podstawie modelu (żarówki).

Na pytanie, gdzie mogły się podziąć widoczne na płaskorzeźbach i swego czasu realnie istniejące „obiekty kultu”, Wolfgang Waitkus nie jest w stanie udzielić zdecydowanej odpowiedzi. Uważa za możliwe, że zaginione przedmioty zostały „zakopane i zrabowane”, ale jednocześnie wspomina o tym, że w 1918 r. kilka posągów odnaleziono w pobliżu „świętego jeziora”.

W sporze na temat wyglądu i rzeczywistego znaczenia tzw. „kamieni węży” na uwagę zasługują dwa spostrzeżenia poczynione przez inż. Garnę w odniesieniu do przekładów Waitkusa. I tak, cytowany już fragment: „Wypowiedzieć słowa Harsomtusa, wielkiego boga, który przebywa w Denderze, żywego *ba* w lotosie barki dnia” komentuje on w sposób następujący: „Gdy barka – przypuszczalnie wykonana z drewna lub bambusa – załadowana zostaje kwiatem lotosu wykonanym z metalu, staje się niebezpieczna. Zwłaszcza gdy jest – tak jak przedstawiona na

plaskorzeźbie – uformowana”. W dalszym ciągu swej wypowiedzi Garn powołuje się na współczesne badania nad piorunami. Wykazały one, że podczas burzy jeszcze przed uderzeniem pioruna zaczynają powstawać wyładowania w formie powyginanych linii i że największe z nich pod postacią kanału wyładowań jednoczy się z właściwą błyskawicą. „Podkładając pod to pojęcia mitologiczne, można by powiedzieć, że wąż wyrasta ze środkowego ząbka kwiatu lotosu prosto w niebo, staje się jednością z biegnącą w dół błyskawicą – i w tej kombinacji musi być uważany zarówno za spektakularny, jak i niebezpieczny”.

Określenie „barka dnia i lotos ze złota”, jak również dodatek, że lotos wykonany był ze złota albo ze stopu złota, inż. Garn uważa za „interesujący szczegół”, który potwierdza uzyskany w wyniku praktycznego doświadczenia wniosek, że złoto jest najlepszym przewodnikiem elektryczności i z pewnością najbardziej stosownym materiałem do wywołania opisanego powyżej procesu połączenia wyładowania i błyskawicy. Nawet sam doc. Helmuth Satzinger z Kunsthistorisches Museum w Wiedniu, reprezentujący „przeciwstawny biegun” egiptologii, wyznał nam niechętnie: „Jedynym związkiem z elektrycznością jest podobieństwo kamieni węży z lampami świetlnymi”.

Energia – skąd?

Zanim doszliśmy do przekonania, że początków wiedzy o energii elektrycznej i sposobie jej praktycznego wykorzystania szukać należy o wiele wcześniej niż dopiero i progu XIX w., ciągle pytani byliśmy o dwie istotne rzeczy:

- Skąd kapłani starożytnego Egiptu czerpali energię?
- Jakie źródła energii mieli do dyspozycji w celu uzyskania prądu?

Oto dwa szczególnie drażliwe pytania, które wystawiały na próbę naszą tezę o znajomości elektryczności w starożytnym Egipcie. Pytania, na które nie mogliśmy odpowiedzieć, albowiem właściwym adresatem powinien być specjalista, ekspert w dziedzinie elektrotechniki. Tylko ktoś taki mógł tu wydać werdykt i rozstrzygnąć, czy ulegliśmy fatamorganie, czy też przyjęte przez nas założenie, że kasta kapłanów starożytnego Egiptu stosowała prąd elektryczny, ma realne oparcie. Należało więc znaleźć takiego specjalistę i zapoznać go z naszym materiałem.

Wybór padł na inż. Waltera Garna z Wiednia, kierującego od wielu lat znacznym austriackim przedsięwzięciem z zakresu elektrotechniki. Ekspert nasz wykonał także różne prace zleczone, m.in. dla elektrowni tajlandzkiej.

Inż. Garn, który do tej pory w ogóle nie słyszał o plaskorzeźbach z Dendery, wykazał gotowość poddania dokładnej analizie naszych materiałów – i obietnicy dotrzymał.

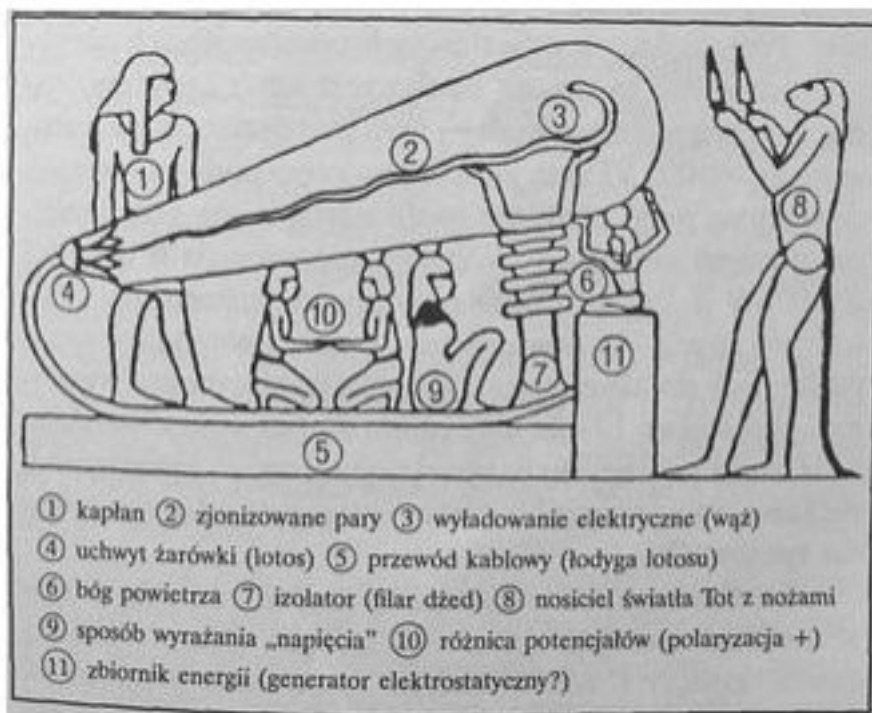
Podjmując się tego, nie mógł oczywiście uniknąć odpowiedzi na postawione wyżej faustowskie pytania, *skąd* prąd mógł być czerpany i *jakie* źródła energii wykorzystywane były w tym celu.

Zdaniem Garna możliwe jest, że już wtedy stosowano źródło energii, przypominające używany obecnie, nowoczesny generator taśmowy. Tego rodzaju urządzenie skonstruowane zostało ponad sześćdziesiąt lat temu przez Holendra van de Graafa. Wytwarza ono wysokie stałe napięcia elektryczne i jest niezbędne w fizyce jądrowej. Działanie tzw. Generators (akceleratora) van de Graafa polega na tym, że taśma z dielektryka, poruszając się wewnątrz izolującej cylindrycznej osłony, unosi ładunki elektryczne do wnętrza elektrody metalowej w kształcie np. kulistej czaszy; ładunki te są odprowadzane na powierzchnię elektrody. W rezultacie elektroda ładuje się do coraz wyższego potencjału, dzięki czemu możliwe jest przyspieszenie jonów lub elektronów w stalowej rurze akceleratora.

„Napięcie przyspieszające w powietrzu wynosi około 1000V/mm. Dotyczy to jednak wyłącznie krótkich dystansów. Przy większych odległościach poszczególnych obiektów, jak widać to np. na plaskorzeźbach z Dendery, napięcie przyspieszające maleje. Przy mniejszych może wzrosnąć do 780.000 V! Jeśli jednak powietrze podlega jonizacji za pomocą pary, przebicie może nastąpić już przy znacznie niższych napięciach. Wytworzenie napięcia o wartości 200.000 V jest dosyć proste przy użyciu generatorów elektrostatycznych. Za pomocą tzw. generatorów taśmowych, podobnych do akceleratora van de Graafa, można wytworzyć napięcie do 10 mln V. A zatem można wysnuć wniosek, że również przy użyciu bardziej prymitywnych generatorów można było wytworzyć napięcia osiągające wówczas kilkaset tysięcy V”.

Inż Garn zwraca też uwagę na inny interesujący w tym kontekście szczegół:

„Element łączący uchwyt żarówki (kwiat lotosu) i źródło energii (pojemnik) przypomina w uderzający sposób kabel. Można zresztą przyjąć, że do izolacji drutów miedzianych nie używano wówczas żadnego ze stosowanych dziś powszechnie materiałów izolacyjnych, lecz prawdopodobnie wykorzystywano w tym celu perły szklane lub cylindryczne drewniane kulki”.



Zdaniem Garna, na dwóch znanych mu płaskorzeźbach poszczególne segmenty kabla są relatywnie dobrze rozpoznawalne. Czyżby kolejne potwierdzenie naszej tezy?

Z powrotem do źródeł

Nim przejdziemy do praktycznej części naszych badań i zrelacjonujemy przebieg udanej próby uruchomienia modelu żarówki, skonstruowanej przez Garna w oparciu o wyjątkowo szczegółową płaskorzeźbę z Dendery, musimy jeszcze raz powrócić na moment do źródeł historycznych, mówiących o powstaniu egipskiej świątyni Hathor. Sądzymy bowiem, że tylko w ten sposób można naprawdę zrozumieć tajemnicę związaną z wyrytymi na jej ścianach niepowtarzalnymi wizerunkami. Dzięki temu wyjaśni się również, że reprezentowana przez nas teza – początkowo brzmiąca być może nieprawdopodobnie – nie jest jedynie urojeniem i że świątli kapłani Starego Państwa przed tysiącami lat stosowali rzeczywiście prąd elektryczny, inspirowani wyłącznie przez istotę o imieniu Tot, uważaną za boską, w przypadku której mogło chodzić o pozaziemskiego przybysza.

Dendera była w owym czasie metropolią VI dynastii górnoegipskiej i od dawien dawna głównym miejscem kultu bogini Hathor. Nazywana po staroegipsku „Iunet” lub „Tantere”, została podobno przyznana Hathor przez Ra „zamiast On” (Heliopolis). Wersja ta może nawet odpowiadać prawdzie, albowiem „Iunet” jako imię ma szczególne brzmienie i oznacza tyle co:

Miasto filarów!

Można dopatrywać się w tym odniesienia do magicznego symbolu *dzed* – lub do bazy operujących z tego miejsca podobnych do raket urządzeń latających, przypominających swym wyglądem formę staroegipskich obelisków.

Dzisiejsza świątynia Hathor bez wątplenia wywodzi się z epoki Ptolemeusza – faraonów panujących w Egipcie od 305 do 30 r. p.n.e., którzy zapewnili temu krajowi nową administrację gospodarczą i finansową, a także wynieśli Aleksandrię do rangi czołowego ośrodka handlowego i duchowego centrum wschodniej części basenu Morza Śródziemnego. Fragment budowli świątyni-

nej, jaką zastali w miejscu dzisiejszej świątyni Hathor architektki dynastii Ptolemeusza nie odpowiadał artystycznym wyobrażeniom inwestorów. „Położenie kamienia węgielnego” pod nową budowlą nastąpiło 16 lipca 54 r. p.n.e. Względnie w 27 r. i dokonane zostało przez Ptolemeusza XII. Jest to data gwarantowana, przynajmniej w odniesieniu do tej części świątyni, która obecnie wznosi się dumnie trzydzieści metrów ponad ziemią.

Inaczej ma się sprawa, gdy idzie o pomieszczenia podziemne tego miejsca kultu. Pod tym względem z hamburskim egiptologiem nie zgadzamy się nie tylko my. „Potężne fundamenty zawierają z pewnością wiele bloków starszych budowli, które zostały zburzone”, donoszą raporty innych egiptologów. W inskrypcjach umieszczonych w świątyni wytropiono zapiski dotyczące faraona Tutmosa III i Pepiego I, czyli dwóch władców, których panowanie przypada na okres między rokiem 1522 p.n.e. (XVIII dynastia) a początkami legendarnego Starego Państwa, tj. około 3233 r. p.n.e. Z tego też powodu jest mało prawdopodobne, aby trzy podziemne kondygnacje, mieszczące 12 krypt, zostały zbudowane przez Ptolemeusza. Przeciwno takiej hipotezie przemawiają zresztą znajdujące się w nich hieroglify. Ich „ogromną odmienność” w porównaniu z wyrytymi później znakami przypisywanymi Ptolemeuszom potwierdził już egiptolog Hermann Junker. Według niego „między starszymi inskrypcjami a pochodzącymi z nowszych czasów”, istnieją zasadnicze różnice gramatyczne.

„Należy jednak dokonać rozróżnienia między właściwą gramatyką Dendery a osobliwościami ograniczającymi się do poszczególnych tekstów, w których można rozpoznać pozostałości tego języka, w jakim spisana została pierwotna wersja tekstu”.

Tym samym uzasadnione wydaje się przyjęcie założenia, że początki świątyni Hathor sięgają tych czasów, gdy Tot przebywał jeszcze na ziemi i wraz ze swymi towarzyszami tworzył fundamenty wysokiej kultury staroegipskiej.

Takie samo stanowisko reprezentuje również Hans Bonnet, autor *Reallexikon der ägyptischen Religionsgeschichte* (Berlin 1952). Uważa on bowiem za możliwe, że „nawet chyba już Cheops mógł uczestniczyć w budowie świątyni Hathor”. Według niego, wspomniany wcześniej faraon Tutmos III, „przeprowadził rozległe prace renowacyjne, w których wykorzystał plan z czasów Cheopsa”. Tu Bonnet powołuje się z kolei na wcześniejsze badania egiptologa Johannesesa Dümichena, który w swej pracy *Baugeschichte des Denderatempels und Beschreibung der einzelnen Teile des Bauwerks* („Historia budowy świątyni w Denderze i opis poszczególnych części budowli”), wydanej w 1877 r. W Strassburgu stwierdził, co następuje:

„Wszystkie te części zniknęły pod wspaniałą, zachowaną w dobrym stanie nową budowlą, stworzoną za panowania ostatnich Ptolemeusza i Augusta”.

W tych najdawniejszych czasach Dendera była zarówno miejscem przebywania, jak i stacjonowania Hathor; pod którym to imieniem kryła się nie „bogini”, a zatem i nie osoba, lecz owa straszliwa broń „boga słońca” Tota. Określana jako „oko Ra”, „oko słońca” czy „uerus”, stworzona została po to, aby pod postacią „ziewającego ogniem węża” „niszczyć” wrogów boga słońca („jej pana”, jak wyraźnie zaznaczają stare teksty).

Kilka interesujących przekazów na ten temat zawarł w opublikowanej w 1912 r. w Lipsku książce *Zur altägyptischen Sage vom Sonnenauge das in der Fremde war* („O staroegipskiej sadze o oku słońca, które było na obczyźnie”) egiptolog Kurt Sethe. W jednym z nich znajdujemy na przykład sugestię, jakoby Tefnut, „córka Ra”, kochała „serce Ra” – „określenie pierwotnie raczej obce oku słońca jako ziewającemu ogniem wężowi, a właściwe Tefnut o postaci lwa”. Ponieważ wiemy już, że „serce Ra” w rzeczywistości oznaczało samego Tota, który jako władca pojazdu kosmicznego „Ra” dowodził tym statkiem, wydaje się, że mamy tu do czynienia z czymś zupełnie odwrotnym, a mianowicie, że to właśnie Tot niezwykle cenił („kochał”) niebezpieczną broń i że pod tym strasznym narzędziem walki „Tefnut” kryła się być może także „Hathor”, albowiem tzw. „oko słońca” miało, jak wiadomo, wiele nazw.

W swym zbiorze staroegipskich legend Kurt Sethe zwraca także uwagę na szczegół, który może być bardzo stosowny jako ilustracja „oka słońca Hathor” w jego prawdopodobnie właściwym kształcie. Podczas gdy u Hermanna Junkera wypróbowany w walce pojazd latający opisywany jest zawsze pod postacią „ziewającego ogniem węża”, Sethe doszedł do wniosku, że staroegipskie określenie tego pojazdu, „mimo zawartego w pisowni elementu ognia”, miało w rzeczywistości więcej wspólnego z czasownikiem „oświetlać”, a tym samym nie mogło „również oznaczać «palić»

czy «ogień»”.

O tym, że w przypadku „Hathor” alias „Tefnut” – wzbudającego postrach „oka Ra” – musiało chodzić o obiekt latający, świadczy fakt, iż (zdaniem Kurta Sethe) „jako towarzysz przybywającego z obczyzny oka słońca... niemal wszędzie” wymieniany był „Szu”, egipski bóg powietrza. Jak w wielu innych przypadkach, tak i tym razem starożytni Egipcjanie poddali coś fałszywej personifikacji. W istocie bowiem „Szu” symbolizował niezbędny do życia pierwiastek – powietrze, przestrzeń powietrzna zaś była niezbędna dla poruszania się „oka słońca” na firmamencie. A że nie chodziło tu wcale o słońce, wynika ze wskazówki, zgodnie z którą Abaton miał być tym miejscem, w którym „Hathor” została „uspokojona” przez Tota, „jej żar ostudzony”, a „jej członki” obmyte.

Rozmowy z „Totem”

Znalazłszy się po raz pierwszy w masywnej świątyni bogini Hathor w Denderze, mamy wrażenie, że stoimy oto w potężnej katedrze. Uroczysta cisza, otaczająca przybysza, budzi w nim nabożne uczucia. Panująca tam mroczna atmosfera potęguje jeszcze te doznania. Jedynie od czasu do czasu pojedyncze promienie słońca zbłądzą do wnętrza budowli, rzucając jasne smugi na dwadzieścia cztery potężne, pokryte hieroglificznymi inskrypcjami i rytualnymi obrazami kamienne filary, które wspierają strop rozległego przedsionka świątyni.

Na każdym z nich widnieje atrybut bóstwa, któremu to miejsce kultu poświęcone jest od zamierzchłych czasów – Hathor, uznawanej przez egiptologów za „boginię miłości”, mimo że w rzeczywistości spełniała ona zupełnie inne zadanie, w związku z czym nie można uważać jej za osobę. Prawdziwe znaczenie Hathor stanowiło zatem całkowite przeciwieństwo przypisywanych jej dzisiaj właściwości: nie była ona niczym więcej jak tylko narzędziem walki!

Przyjawszy takie założenie, z uzasadnionym sceptycyzmem należy potraktować widoczny na każdym filarze atrybut tego bóstwa – to coś, interpretowane przez egiptologów jako instrument muzyczny (podobny do grzechotki). Wydaje się wątpliwe, by ów przedmiot, który powtarza się w innych miejscach świątyni w formie elementów płaskorzeźby, był rzeczywiście tak niewinną zabawką, jak się utrzymuje.

Naszym zdaniem, te „świate hale” są stosownym miejscem do podjęcia rozmowy z tym, któremu była posłuszna nawet sama Hathor. Tą wyimaginowaną postacią jest Tot – początek wszelkiej mądrości, wszelkiej wiedzy. Bóstwo, któremu starożytny Egipt zawdzięcza swoje wyniesienie do rzędu najwyższych kultur świata. Tot uczynił wiele dla dobra ludzkości. On to rozjaśnił mroki nieświadomości – i to nie tylko w znaczeniu przenośnym. Przekazał bowiem kapłanom króleswa faraonów wiedzę o wykorzystaniu epokowej zdobyczy – elektryczności!

Poświadczają to niepowtarzalne wizerunki na płaskorzeźbach w Denderze. Ale jak mogło do tego dojść? W jaki sposób wtajemniczeni świątyni Hathor uzyskiwali prąd elektryczny?

- *Używaliśmy pompy próżniowej. W swej przedniej części ma ona wskaźnik przypominający termometr, pokazujący wartości skrajne. W rzeczywistości jednak chodzi o urządzenie pomiarowe stosowane w próżni, za pomocą którego z jednej strony można dokonywać przybliżonych, z drugiej zaś precyzyjnych pomiarów próżniowych. Zaletą tego urządzenia jest możliwość przyporządkowania pojedynczych zjawisk żarzenia się między ramionami panującemu w danej chwili ciśnieniu powietrza. W ten oto sposób można wykazać, że „wąż” kryjący się we wnętrzu żarówki czyni widzialnym sam początek wyładowania świetlnego lub gazowego.*

Jesteśmy świadkami eksperymentu. Zastosowany model odpowiada pod względem wyglądu modelowi przedstawionemu na płaskorzeźbie z Dendery. Jest jednak nieco mniejszy od oryginału. Najpierw wykonano szklaną kolbę, następnie zaś – w odpowiednich do płaskorzeźby proporcjach – skonstruowany został model „świecącej lampy”.

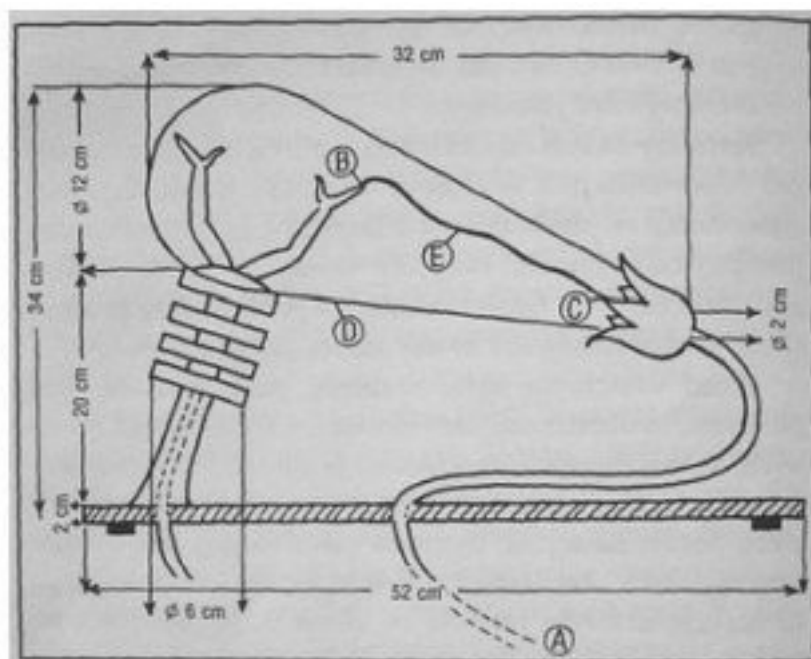
Przed właściwym wyładowaniem, podobnym do ogni św. Elma, dochodzi najpierw do szeregu wyładowań iskrowych, zaznaczających się rysunkiem gałęzi, a przypominających sztucznie wywołane błyskawice w atmosferze. Dopiero potem następuje moment kulminacyjny: ze środkowego odcinka metalowego „kwatu lotosu” – pełniącego tu funkcję uchwyty żarówki – „wyskakuje” podobna do węża wiązka światła. Doprawdy fascynujący widok...

- *Niewątpliwie. Jeśli teraz kolba szklana zostanie jeszcze silniej opróżniona, promienie znikną. Powstaje wówczas „brzuch”, który coraz bardziej się rozszerza, by wreszcie sięgnąć aż poza czubki palców umieszczonych w żarówce ramion filaru dżed. Wysokość ciśnienia zależy w zasadzie od sposobu konstrukcji lampy świecącej, a także od jej wielkości. Wyraźnie daje się zauważyć, jak zaczyna powstawać intensywnie świecąca „skóra”, przy czym po drugiej stronie wyładowanie zamienia się w czerwoną, świecącą „wiązkę”. W narastającej próżni „świecąca skóra” rozprzestrzenia się coraz bardziej, pokrywając wewnątrz żarówki niczym futro.*

W tym miejscu nasuwa się natychmiast pytanie: w jaki sposób udało się kapłanom wyssać z „żarówek” powietrze w celu wytworzenia jak najmniejszego ciśnienia? Czy czwarta płaskorzeźba z południowej ściany wschodniej krypty dostarcza nam prawdopodobnej odpowiedzi? Widoczni są na niej czterej mężczyźni wtryskujący z jakiegoś urządzenia ciecż (przypuszczalnie wodę)...

- *Wiemy dzisiaj, że za pomocą tzw. ejektorów A (strumienic) można wytworzyć znaczną próżnię, zwłaszcza gdy pompy występują pod postacią kaskady, czyli w szeregowym ułożeniu jednakowych części. Po wytworzeniu próżni w szklanej kolbie, do której wnętrza sięgają dwa metalowe elementy B, C, dochodzi do wyładowania już przy dosyć niskich napięciach, w zależności od wielkości szklanego balonu D. Przy ciśnieniu 40 torów (40 mm słupka rtęci) od jednego elementu metalowego do drugiego pełza nitka światła E. Przy powiększaniu próżni ta wężykowata linia rozszerza się, aż wreszcie wypełnia cały szklany pojemnik. Odpowiada to dokładnie ilustracjom z podziemnych krypt świątyni Hathor.*

Nasi czytelnicy zdążyli już chyba zauważyć, że prowadzona tu „rozmowa” nie była wprawdzie fikcyjna, ale ani nie odbyła się w przedsionku świątyni w Denderze, ani też naszym rozmówcą nie był Tot. Odpowiedzi udzielił nam za to człowiek będący absolutnym ekspertem w dziedzinie elektrotechniki, najbardziej predystynowany do tego, by w „zastępstwie” wszechstronnie utalentowanego mistrza staroegipskiej kasty kapłańskiej zaspokoić nasz głód wiedzy – austriacki specjalista inż. Walter Garn.



Usiłował on w zrozumiały sposób wyjaśnić nam, jak to było możliwe, by wtajemniczeni ze świątyni Hathor wytwarzali przed tysiącami lat prąd elektryczny. Dzięki niemu też, nasze twierdzenie, zgodnie z którym „węże z płaskorzeźb” stanowią dokładną ilustrację elektrycznego przebicia względnie wyładowania elektrycznego (gazowego), nie pozostało tylko czystą teorią. Skonstruował on zdolny do działania model, składający się ze szklanego pojemnika o długości 40 cm, jego przekrój zaś w najszerszym miejscu wynosi 12 cm. Końce zalane są żywicą, w której z jednej strony umieszczona jest elektroda płaska, z drugiej zaś elektroda zakończona ostrzem. Również wąż gumowy został zamknięty hermetycznie.

Oczywiście istotne pozostaje pytanie, skąd mogła pochodzić energia elektryczna? Obecnie

można na nie odpowiedzieć wprawdzie tylko teoretycznie, a mówiąc ściślej: jedynie w oparciu o poszlaki. Jednakże związane z nimi przypuszczenia zyskują na prawdopodobieństwie już choćby dlatego, że na wszystkich płaskorzeźbach z wizerunkami żarówek widoczny jest zawsze biegnący od uchwytu żarówki (kwiat lotosu) kabel, który najczęściej wiedzie do prostokątnego, podwyższonego pojemnika. Czyżby chodziło tu o ilustrację „generatora” względnie (jak nazywa go inż. Garn) „magazynu energii”?

Uwagę zwraca również postać odtworzona na płaskorzeźbie w pozycji kucznej z uniesionymi ramionami, w przypadku której chodził zapewne o tzw. „boga powietrza” Szu. Czy ma on jakieś dodatkowe znaczenie?

Walter Garn, „symboliczny” rzecznik Tota, potwierdza to przypuszczenie. Jego zdaniem istnieje związek między „powietrzem” a znajdującym się obok pojemnika *filarem dzed*. Prawdopodobnie ten czterotętnikowy filar naładowany był od wewnątrz gorącym powietrzem i pyłem, co umożliwiało stosunkowo łatwe wytworzenie napięć. Podsumowując inż. Garn stwierdza:

„A zatem wynika z tego jasno, że techniczno-fizyczna interpretacja wizerunków z Dendery jest możliwa. Dotychczasowe studia wykazały w każdym razie, że dalsze badania nad płaskorzeźbami z tej świątyni mogłyby wzbogacić naukę o bardzo cenne informacje, ukryte oczywiście pod mitologicznymi symbolami”.

Teraz, po udanym roszyfrowaniu hieroglifów z Dendery, należałoby podjąć – zdaniem Garna – jeszcze bardziej wnikliwe badania związanych z nimi płaskorzeźb i „wizerunki te prześwietlić również pod względem technicznym”. Studia takie nie mogłyby jednak być prowadzone tylko z jednego punktu widzenia, lecz powinny opierać się na współpracy naukowców wielu dyscyplin – włącznie z technikami.

Tak więc piłeczka została przerzucona ku reprezentantom wiodącego w tym względzie cechu – egiptologom. Czy podejmą tę inicjatywę? Czy będą gotowi włączyć w przyszłości do studiów egiptologicznych również ekspertów „obcych” dziedzin nauki?

Na odpowiedź musimy poczekać.

Posłowie

Łabędzi śpiew

Jakże często czytając dziś o jakiejś epokowej zdobyczy, podziwiając wynalazek wyznaczający nowy kierunek, skłaniamy się ku pogładowi, że globalny postęp ludzkości jest owocem XX wieku. Z jakimiż to nowinkami technicznymi, które miały być istotne dla przyszłości, nie mieliśmy już do czynienia w minionych dziesięcioleciach!

Czy jednak na pewno jesteśmy pierwszymi, którzy urodzili się ze zdolnością do kreatywnego myślenia i wynalazczości? Czy genialne idee realizowane są dopiero teraz?

Ten, kto tak sądzi, popełnia brzemienny w skutki błąd. Udowodnił nam to kraj, którego prastara kultura stworzyła rzeczy wielkie. Zapoczątkował on proces rozwoju, o jakim nasza akademicka mądrość nawet nie śniła. Krajem tym był Egipt.

Z nie wyjaśnionych powodów przemilczano wiele znalezisk wykopanych z piasku pustyni przez zapalonych badaczy, czy też odkrytych w świątyniach i grobowcach. W Dolinie Królów, na przykład, natknięto się na mumie, których szczęki wyposażone już były w mostki i sztuczne zęby.

Przyznana w 1945 r. szkockiemu mikrobiologowi sir Aleksandrowi Flemingowi Nagroda Nobla za wynalezienie penicyliny należałaby się w istocie nieznanemu „koledze” ze starożytnego Egiptu, albowiem penicylina, która została odkryta rzekomo dopiero w 1928 r., znana już była w królestwie faraonów – podobnie jak aureomycyna i terramycyna – przed czterema tysiącami lat. Wiemy to dzięki papiirusowi z okresu XI dynastii. Mowa jest w nim o pewnym grzybie, który rozwija się w stojących wodach, a którego używano do leczenia zranień i przewlekłych, otwartych ran.

Na innym zwoju papiirusowym, znalezionym w dolinie Nilu przez brytyjskiego egiptologa George'a Smitha, odnotowano także stosowanie preparatów do narkozy. W dokumencie tym podanych jest co najmniej 48 przypadków klinicznych oraz dokładny opis usypiania ówczesnych pacjentów, którego dokonywano przed operacją przy użyciu określonego lekarstwa.

Z zapisków hieroglificznych wynika również, że ówczesni chirurdzy wiedzieli o związku pomiędzy systemem nerwowym a poruszaniem się członków ciała, znali także przyczyny paraliżu. W tamtych czasach rozumiano też funkcje serca i arterii oraz umiano precyzyjnie zmierzyć puls pacjenta.

Za wyjątkowego geniusza medycznego uważany jest Imhotep. Żył on ponad 4500 lat temu i był podobno doradcą legendarnego króla Dżesera, któremu przypisywane jest wzniesienie słynnej piramidy schodkowej w Sakkarze. Grobowiec Imhotepa nie został dotychczas znaleziony.

Sakkara uchodzi za miejsce niezwykłych odkryć archeologicznych. Przed stu laty znaleziono tam w piasku pustyni osiem osobliwych przedmiotów stanowiących wyposażenie grobowca i przewieziono je do Muzeum Egipskiego w Kairze. Początkowo uważano, że są to wizerunki ptaków. Kiedy jednak w roku 1969 egipski lekarz i egiptolog dr Khalil Messiha przyjrzał się dokładniej jednemu z nich, stwierdził, iż ów oznaczony numerem 6347 staroegipski „ptak” stanowi w rzeczywistości model – *szybowca!*

Hipoteza ta została potwierdzona przez konstruktorów samolotów.

Miniaturka oryginalnego jednoskrzydłowego aeroplanu, wykonana z drewna balsamowego, opatrzona była nie mniej zagadkową grawurą: *Pa-Di-Imen*. Słowo to pochodzi ze staroegipskiego i oznacza „dar Amuna”. W mitologicznym świecie bogów doliny Nilu Amun uchodził za „pana tchnienia powietrznego”, pozostawał więc w wyraźnie bliskim związku z lataniem. Czczony był także jako „bóg słońca”. Czyżby więc znalezisko to (podobnie jak pozostałe siedem ptaków) należało łączyć w pewien sposób z Totem, „bogiem” wszystkich nauk?

Starożytni Egipcjanie wydają się niedoścignieni również w dziedzinie matematyki. Na znalezionym około stu czterdziestu lat temu *Papirusie Rindt* szwajcarski ekspert od komputerów, dr Felix Weber, odkrył wyraźną wskazówkę, na podstawie której można stwierdzić, iż pewne dane

rachunkowe są dziełem autora tego właśnie papirusu. Okazało się, że dzisiejsi specjaliści od komputerów operują nimi (np. przy mnożeniu czy dzieleniu), nie przeczuwając nawet, że zawdzięczają to kapłanowi, który zmarł przed 3700 laty.

Dowiedzieliśmy się także, że owi wtajemniczeni członkowie kasty kapłańskiej znali dokładnie zjawisko elektryczne i sposób jego zastosowania. Nie będzie więc żadnym zaskoczeniem fakt, że śłudzy świątyni potrafili też posługiwać się piorunochronami. Niemiecki egiptolog Johannes Dümichen rozszyfrował swego czasu wskazującą na to inskrypcję z Dendery. Również przed miejscami kultu w Medinet Abu i Edfu znajdowały się niegdyś pokryte miedzią maszty służące kapłanom jako piorunochrony. Czy znaczy to, że Benjamin Franklin otrzymał w 1752 r. swój patent niesłusznie?

Sensacyjne zdobycze starożytnego Egiptu przetrwały również w dziedzinie techniki, co znajduje odzwierciedlenie w materiale dokumentacyjnym i to zarówno w formie ilustracyjnej, jak i pisemnej. Kto nie chce dać temu wiary, powinien zwiedzić starą świątynię Setos w Abydos (Abdzu). Ponad drzwiami prowadzącymi do wnętrza znajduje się tu specyficzna płaskorzeźba: jej poszczególne elementy ukazują przedmioty, które z całą pewnością nie mogą być sklasyfikowane jako zwykłe symbole hieroglificzne. Można je raczej utożsamiać z bojowymi pancierzami, z podobnymi do helikoptera urządzeniami latającymi wyposażonymi w śmigło, a także ze współczesną łodzią podwodną. Nie jest też zaskoczeniem odkrycie innego znanego przedmiotu (położonego odwrotnie): broni maszynowej!

W staroegipskich *Tekstach Piramid* Dendera i Abydos przytaczane są – jak gdyby na potwierdzenie tego, co zostało tu powiedziane – jako „teatry działań wojennych” bogów. Jaką bronią wówczas walczono?

Kilkadziesiąt lat temu w oazie Dakhla na Pustyni Libijskiej znaleziono osobliwy przedmiot. Według opisu, miało to być tzw. „czrodziejskie zwierciadło”, o jakich wspomniano również w starych pismach królestwa faraonów. Tymczasem lekarz i egiptolog dr Fawzi Soueha z Kairu (z którym przeprowadziliśmy rozmowę) widzi w tym archeologicznym znalezisku podobiznę praegipskiego aparatu rentgenowskiego. Ów tajemniczy zabytek przepadł jednak bez śladu. Dlaczego?

„Hermetyczne” zamykanie pewnych pojemników i czynienie ich niedostępnymi przypisywane było genialnemu pomysłowi „posłańca bogów” Hermesa. Ale Hermes powinien być utożsamiany z egipskim Totem, a Totowi starożytni Egipcjanie zawdzięczają swój narodowy napój – piwo. On właśnie posiadał nań przepis, który przekazał później kapłanom. Dzięki temu możliwe było wówczas wytwarzanie warzonego z jęczmienia napoju. W Austriackiej Bibliotece Narodowej znajduje się napisany na papirusowym zwoju list arabskiego kupca Jakuba Ibn Saaida, w którym donosił on swemu egipskiemu partnerowi Sulejmanowi Ibn al Nagarowi, że wraz z listem wysłał mu także ładunek chmielu. Oznacza to, iż starożytni Egipcjanie potrafili warzyć piwo nie tylko z jęczmienia, ale i z chmielu.

Czy Totowi zawdzięczać także należy umiejętność wytwarzania soczewek powiększających z górskiego kryształu? Czy też za tą tajemnicą kryje się Imhotep? Przedmiot taki z epoki faraonów znaleziono kilka lat temu w jednym z grobowców w pobliżu Sakkary. Obecnie znajduje się on w British Museum w Londynie. Również sztuka pieczenia chleba i produkcja tego nie kwestionowanego podstawowego pożywienia zwykłego ludu przypisywana jest umiejętnościom starożytnych Egipcjan.

Co z tego pozostało?

Z przedstawionego wyżej materiału wynika, że starożytni Egipcjanie pod względem dostępnej im wiedzy zajmowali szczególną pozycję wśród narodów starożytności. Korzystali z niezwykłych umiejętności kasty kapłańskiej, która z kolei dysponowała tylko tym, co kiedyś pozostawił jej w spadku ów mężczyzna, którego czczono jako boga wszelkich nauk i którego pochodzenia nikt nie zdołał wyjaśnić. Jego tajemnica nie została nigdy odsłonięta.

Mężczyzną tym był Tot, istota o niedoścignionej inteligencji, przybyła – zgodnie z legendarnymi przekazami – z innej krainy: z obcej, nieznannej planety. Z Kosmosu!

Jego działalność w kraju faraonów zainspirowała niebawem kulturę całego świata starożytnego. Był on zarazem twórcą i nosicielem światła – uniwersalnym geniuszem!

Co pozostało z tego Egipcjanom?

Niewiele, jeśli wziąć pod uwagę możliwości i sposoby, jakimi dysponowali współcześni „administratorzy” kultury tego kraju, i porównać je z tym, co uczynili ze swoim wspaniałym dziedzictwem kulturowym. Nie zrobili nic, by przeciwstawić się bezwzględnej wyzyskowi. Przez długie dziesięciolecia szastano nad Nilem funtami i piastrami na rozwój turystyki, jednakże żaden z czynników oficjalnych nie starał się zapobiec postępującemu systematycznie upadkowi miejsc kultu. Dopiero teraz bije się na alarm!

W przyszłości turyści będą mogli podziwiać prawdopodobnie jedynie atrapy wspaniałych zabytków Egiptu. W ostatnim bowiem czasie zrodził się pomysł, aby zbudować kopie pięciu spośród najważniejszych grobowców faraonów (w tym także Tutanchamona) w celu ochrony oryginałów przed ostatecznym zniszczeniem wskutek szkodliwego wpływu środowiska i pary wydzielanej przez niezliczone rzesze turystów. Podobny los grozi także pozostałym budowlom w dolinie Nilu – np. Sfinksom czy piramidom w Gizie. Na razie jednak nikt nie wie do końca, w jaki sposób sfinansować te nadzwyczaj kosztowne projekty służące ocaleniu niepowtarzalnego dziedzictwa kultury. A przede wszystkim, kto ma wyłożyć na to pieniądze.

Jedno wydaje się pewne: Egipt prawdopodobnie również w przyszłości będzie czerpał zyski z dziedzictwa po swoich przodkach. Nawet jeśli to, co ma obecnie do zaoferowania, jest jedynie substytutem wcześniejszej oferty. Smutne wspomnienie dawnej wielkości. Każdy, kto mówi o Egipcie, myśli o jego spuściznie, która mimo wszystko pozostanie nieprzemijająca i niezniszczalna. Podobnie jak ów zagadkowy ptak z mitycznej przeszłości – motyw przewodni naszej następnej książki, mówiącej o podróżach kosmicznych i naukach tajemnych w starożytnym Egipcie:

Feniks z popiołu.